

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA
I. 854.582
T.1



1974 K 886/373a

HUGO.

I.
UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze,
Bogu na całe poświęcona życie,
Gdy odrzucała świeże wianku różę,
Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
Gdy pod całunem legła na marmurze.
Ustało prawie drżące serca bicie;
Łzy już nie płyną, lecz bladeść straszliwa,
Jak w chwilę śmierci jej lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne chłody
Wróciły niebu barwy lazurowe.
Przed krzyżowemi kryjąc się narody,
Słońce skwaremi utrudzoną głowę;
Chowało w morza Bałtyckiego wody;
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła,
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,
Skończone boskich tajemnic ofiary.
Czemż ten rycerz nieruchomy stoi,
O marmurowe oparty filary?
Twarzy nie widać, ale znać ze zbroi,
Że to obrońca chrześcijańskiej wiary,
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,
Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z głazu
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,
Co tak poźłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słyhać? — to odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesiony z chóru.
A rycerz zadrzał — to może ze strachu?
W tak ciemną porę! w tak posępnym gmachu!

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,
I patrzył w ciche klasztoru ustronie.
Wychodzi rycerz — z rycerzem ktoś drugi —
Oba skoczyli z pośpiechem na konie;
Pewnie miał giermka, pazia do posługi;
Lecz czemuż pędzą tak śpiesznie przez błonie?
Czemuż tak prędko z bitej zeszli drogi,
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli rozmowy;
Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
A potem nagle gniew gorzkiemi słowy
Wyrwał się z piersi gorącej Krzyżaka:
„Z radośnem sercem jam rzucić gotowy,
Kraj ten przeklęty! chciałbym lotem ptaka
Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej głowie,
Grozą tajemnych wyroków sędziowie.

„Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy,
Od nich uciekam w kraje dzikiej Litwy;
Lasy mi słodsze nad ciągłe obawy.
Jagiello z bratem tocząc krwawe bitwy,
Przyzwał nas w swoje odległe dzierzawy,

Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

„Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,
Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
A ufny w silnej i licznej załodze,
Wrogów, choć licznych, nie lękam się zdrady;
I sąd co trzymał mych czynności wodze
Puścić je musiał i stracił ich ślady.
W Litwie podstępem zradnym nie otoczy,
W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy.

„Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
I błyszczy Niemen szeroki przed nami!“
Zaraz się w rzekę rzucił rumak akory,
Parukał i pianę męszał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory,
Srebrnemi nocy uwieńczone mgłami;
Księżyc posępny płonąc na zachodzie,
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali, nim je ludzie wytną,
Piękne są bory, cudny las soanowy!
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy —
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy —
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim totniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze,
Rozległe ksiąząt na Lidzie dziedziny.
Z wschodzącem słońcem witały się wieże,

Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jeźdźców migają puklerze,
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny —
Nie jeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczą się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybko przemknęły rumaki.
Znikł obraz Lidy jak sennie marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie.
Słońce przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za Ponary chowało promienie;
Już dzień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy krzyżak wskazał zamku mury.

„Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica —
To ich dzierzawy, kędy zajrzesz okiem.
Nad zamkiem wieża — to pogan kaplica;
Tam między gęstym kadzidłą obłokiem,
Boga piorunu szczerozłote lica
Patrzają się jasnym brylantowym wzrokiem.
Widzisz to wielkie błękitu przestworze,
To Trocki zamek! a to — Trockie morze!”



II. RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malbarga gmachy,
Niż te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców złącą jasne szaty.
Sala zamkowa jak głucho więzienie —

Wiatr po niej szumi i wolno przewiewa,
Jej głębie wieczne zalegają cienie;
A setno z ziemi wybiegłszy filary,
To się zrastają jak altany drzewa,
To się znów dzieląc na setne konary,
Wspierają różnie łamane sklepienie.
A okna cięte w gwiazd rozlicznych wzory,
W dzień dają światło słabe jak o świcie;
Inne okrągłe lśnią w tęczy kolory —
Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebie.
A jedno w skłopięń zasępionych szczycie,
Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnej chwili,
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali;
I dwaj rycerze czuwają na sali —
Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli.
Starszy miał szyszak i pancierz stalowy,
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;
A ile razy do światła się zbliża,
Na pierśiach miga krzyż dyamentowy,
I miecz u boku obosieczny, długi...
Znam go! to komtur zakonu Krzyżaków,
To młody Hugo... Lecz kto jest ten drugi?
Ile z widocznych poznać mogłem znaków,
Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
Ani swej pierzi krył ciężką koleczuga;
Ubiór miał pazia — lecz pan mu się zwierza,
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą,
Słowa Hugona skryte, tajemnicze —
Często na pazia spogląda oblicze.
Bo też oblicze tak piękne, czarowne.
Spojrzenia pazia tak czułe, dobitne!

I oczy jasne, jak niebo błękitne,
Cmiał długie rzęsy, gdy nadto wymowne;
Włos jego spływa w złocisto pierścienie —
Ale na twarzy smutek, zamyślenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?
Czarną miał, ściśle zamkniętą, przyłbicę,
I czarny pancerz i naramiennice —
Olbrzymią postać żelazo okrywa.
Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,
Staął w milczeniu i załamał dłońcie.

— „Czegoś tu przyszedł? — rzekł Hugo ponuro —
Czyś jest brat rycerz chrześcijańskiej wiary?
Co mi przynosisz?“ — „Twoją śmierć Hugonie!“ —
Czoło komtura okryło się chmurą,
I rzekł do siebie: „Wybadać go muszę...
Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?
Czyliś gdzie widział Bodelszwingu ¹⁾ gruszę?
Czyli z Sandkirchen powracasz cmentarza?“
Na te nazwiska rycerz spuścił dłońcie,
I milcząc tylko dwakroć głową skłonił —
Pielęgnowany troskliwie w wazonie,
W oknach zamkowych kwiat róży się płonił ²⁾.
Zerwał go Hugo i rycerza bada;
A rycerz milczy — milcząc wziął kwiat róży,
Do piersi niesie i do ust przykłada.

¹⁾ Pod gruszą Bodelszwingu i na cmentarzu Sandkirchen odbierały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wyszczególnieniem znaków tajnych, po których sędziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolni mularze, poznawali się pomiędzy sobą.

²⁾ Róża była godłem trybunałów.

Czoło Hugona posepniej się chmurzy,
Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
— „Powiedz rycerzu czyliś jest bogaty?
Gdzie twoi bracia? gdzie twoja rodzina?”
— „Bogactwem mojem jedna złota sztuka,¹⁾
Bogactwem mojem są trzy miary wina;
A brat mój tutaj na mieczu wyryty.
W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,
A w drugiej sztylet, co w krwi wroga tonie.
Tacy rycerze są braćmi moimi,
Taka rodzina jest w Czerwonej ziemi,²⁾
Czy dosyć na tem? czy znasz mię Hugonie?”

Znasz mię! i dom mój i moją rodzinę.
Słuchaj więc, krótkie są wyroku słowa,
Zbrodnia spełniona i kara gotowa.
Znasz wielkość zbrodni — umrzesz za godzinę!
A ty, co pazia pożyczasz ubioru,
Ażeby kazić ludzi świętej wiary,
Tam zkad przybyłaś, wracaj do klasztoru:
Tam cię czekają wstyd, hańba i kary.⁴

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.
„Czy słyszysz luba odgłos jego kroków?
Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!
On mi śmierć przyniósł, gdym się szczęściem łudził.
O łatwiej! łatwiej było skonać wczora,

¹⁾ Każdy przyjęty do bractwa tajnych Sędziów, powinien być wkupić się jedną sztuką złota i trzema miarami wina.

²⁾ Tak nazywała się Westfalja, głównie ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięła od czerwonego koloru swoich herbów.

Dziś szczęśliwemu trudniej mi umierać.
Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać,—
Słyszysz jak szumią tam fale jeziora;
Księżyc mię żegna, żegnają mię fale.
A sen mój jaki będzie za godzinę? —
Lecz próżno! próżno! ja marnie nie zginę!
Mielizby życiem zarządzać zuchwale?
Czekaj tu Blanko, zostawiam w tej sali
Ten płaszcz, on w boju płatał by mi dłonie,
Ten hełm z piórami z nadto kruchej stali,
I miecz ten nadto lekki na ich głowy.
Weź moja luba i krzyż brylantowy,
On długo! długo błyszczał mi na łonie,
Może ci kiedy przypomni po zgonie...
Nie, ja żyć będę, chcę żyć moja luba!
Wszak ja w krzyżackim zhodował się domie,
I nieraz sławy szukałem za domem;
Mam miecz co zdziwia Polaków ogromem,
Mam zbroję, której stał tak twarda, gruba,
Że jej żelazo żadne nie przelomie.
Gdy się tak Hugo na boje ustroi,
Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi“.

„Jest jeszcze inna ocalenia droga.
Może w świątyni pogańskiego Boga,
Można się ukryć w jej lochach podziemnych,
W krętych przechodniach i kryjówkach ciemnych;
Ta droga bardziej pewna i ostrożna —
Wszak zdradą zdrady uchronić się można.“

To rzekł i wyszedł. Straszna zbroję wkłada,
W której już nieraz występował w szranki;
Potem zbiegł szybko przez zakryte ganki,

Do świątyni Boga, który gromem włada.
Tu ogień Znicza dymny i ponury —
Czarne filarów łamały się cienie.
Szedł rycerz, ciemne przeglądając mury,
Może w tych murach tajemne schronienie
Zbiegów bezpiecznie do świtu zatrzyma?
Lecz przobóg! zadrżał: kamienne bożyszczka,
Stojąc wokóło źwieżonego zgliszczka,
Żywemi w niego patrzyły oczyma.



III.

ZGON.

Nadeszła straszna godzina wyroku.
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku.
Przy świetle blade tlejącej pochodni,
Na dłoni rycerz oparty spoczywa,
Ofiara śmierci. — Znany płaszcz komtura.
Z posępnym krzyżem na barkach mu spływa;
Na hełmie znane kołyszą się pióra,
I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
I dobrze znany miecz u jego boku.
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?
Hugo ów śmiały, mężny przed godziną,
A teraz śmierci lęka się widoku?
Dla czegoż kryje lica w obie dłonie,
Czy łzy zastania co po twarzy płyną?
Cichość ponura — „Czyś gotów Hugonie?
Biada ci! milczysz?” Błysnął zamach stali.
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,

Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,
Spojrzał — i z wolna wyszedł z krwawej sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły razem,
Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!
Cały hartownem odziany żelazem,
Męztwem młodzieńcze płonęły jagody.
Wszedł, spojrzał bystro: „Blanko! Blanko droga!
Po co ten ubiór? te pióra? ta zbroja?
Czemu tak milczysz? Ach! na miłość Boga
Odpowiedz słowo! droga! luba moja
Odpowiedz słowo! przebóg twarz jak sina?
Jej dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!
I sztylet w piersiach! Więc była godzina!
On był tu...“ Zamilkł; tak boleść głęboka,
I żal tak ciężki jego serce ścisnął.
Piersi pracują jak wzburzone fale;
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

„Może myślała Blanka nieszczęśliwa,
Że mnie swym zgonem od zgonu zachowa?
Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
Ja mam żyć? luba! bądź zdrowa, bądź zdrowa!“

Księżyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powie dalszy los Hugona.
Zbójcecy sądów zniknęli rycerze,
A strasznym losem pana przerażona,
Cała się służba rozbiegła z wieczora...
Hugo już nigdy nie powstał w zakonie.
Gdzież się więc podział? niech powiedzą tonie!
Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!

Plakały po nim — a gdy z nocy końcem
Słońce promienną ukazało głowę,
Długo w dzień jeszcze ich łyzy brylantowe,
Na srebrnych liljach lśniły się przed słońcem! —

1829.



MNICH.



M N I C H.
POWIEŚĆ WSCHODNIA.

Jeden z braciaków zakonu w klasztorze na górze Sinai w Arabji, trudniący się zwyczajem średnich wieków przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniej kartce przepisanej księgi dodaje następujące słowa:

W samotnej celi w Sinaju klasztorze,
Czekam posępny, aż wiek mój przemienie;
Modłę się, patrząc na czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika.
Oto na białym księgi pergaminie,
Co się na kłamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskrzyszona myśli które się zatary,
Wskrzyszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarli.
Moja to praca nadal je zachowa!
Pod mojem piórem wzrastały wyrazy —
Różnie barwilem początkowe słowa,
Po ścianach błyszczą święcone obrazy —
Purpurę, złoto i drogie błękity
Łączyłem cudną malowidła sztuką.
Księga ta będzie dla wieków nauką,
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana;
Zapiszę na niej zdarzenie klasztorne.
Było to w roku — Narodzenia Pana —

— 15 —

W dniu gdyśmy zbójców odparli napady.
Gdy już ucichły modlitwy wieczorne,
Stałem przy łożu śmiertelnem z gromnicą;
Brat jeden konał, posępny i blady —
Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

~~~~~  
SPOWIEDŹ MNICHA.

I.

W zakonnej celi, pod habitem mnicha,  
Konam samotny. Włóż kamień pod głowę,  
Niech na nim zasnę. — Noc ciemna i cicha.  
Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,  
Ja sam jak palma usycham i więdnę.

Niegdyś na czele pokolenia ludu,  
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne;  
Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu.  
Pogardy okiem patrzałem na nędzę.  
A gdy mię rozpacz przycisnęła gwałtowna,  
Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem;  
Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,  
I cisnę sztylet, stal jego hartowna —  
Tak można było pisać na nim złotem,<sup>1)</sup>  
Jako ty piórem piszesz w twojej księdze.

II.

„Marzyła dusza. Ileż razy w spicki,  
Ścigałem w stepach znikome obrazy;

<sup>1)</sup> Jest to oznaką prawdziwej damasceńskiej stali, iż po-  
tarta złotem, zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcza.

Często myślałem, że już niedaleki,  
Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy —  
Płochę to było i marne złudzenie.

Raz jednak z wiatru zachodnim powiewem,  
Doszło mię dzikie, melodyjne pienie,  
Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.  
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła!  
Coraz doganiam wyraźniejsze tony;  
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:  
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,  
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili —  
W oczach się lśniły złociste ołtarze,  
Wyście śpiewali i światła palili.  
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;  
Każda kolumna jak palma stepowa,  
A na jej czole złoty liść rozkwita,  
A pod jej stopą skała marmurowa.  
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,  
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,  
A potem w dymie kadzideł zbląkany,  
W mglistych błękitach utworzył anioła.  
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,  
Widziałem tylko: że anioł nademną  
Roztaczał złotem malowane skrzydła,  
Spływał i patrzył w duszę moją ciemną...  
Wtenczas rzuciłem ojców moich wiarę!

### III.

„Ty mówisz muichu że to dzieło cnoty?  
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!

Dni moje gorzkie zatruly zgrzyzoty,  
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli.  
Sam ojciec przeklął: „Idź wyrodne dziecię!  
Idź w świat i zostań sam jeden na świecie!” —  
Przeklął — i wszyscy przedemną pomarli.

#### IV.

Jej piękność wiecznie tkwi w sercu wryta!  
Piękność dziewicy jest jak piękność kwiatu,  
Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.  
Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu,  
Utonie kiedy do mogiły piasku,  
Jeżeli ją tuman nakryje stepowy,  
Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;  
Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,  
Jak gdyby wczoraj rosła wśród oazy,  
Jak gdyby wczoraj zerwana na błoni;  
Tak postać Zary kwitnącą, od skazy,  
Mogiła myśli gasnących ochroni...

Pamiętam dotąd jej dziecinne słowa.  
Patrząc na śnieżne gór Iranu szczyty,  
Raz mnie pytała: „Tam, pod gwiazd błękity,  
Co to za lampa błyszczy kryształowa?  
Patrz jakim blaskiem gór wierzchołek splonął!  
Zapewne księżyc w ich łono utonął,  
I w alabastrach błyszczy się ukryty. —

Nie przeszła chwila, już byłem na górze  
Wśród śniegów lodu; i w tak prędkim biegu  
Wróciłem nazad, że doliny różę  
Kwitły utknięte w wazonie ze śniegu.



V.

Ja miałem brata... Całe pokolenie  
Było mi niegdyś jak wierna rodzina,  
Dzieliło razem i głód i pragnienie;  
A teraz każdy z braci mię przeklina,  
I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

Raz zapędzony na łowach daleko,  
Wracałem w skwarne pustyni południe.  
Koń mój z pod kopyt miotał piasek wrzący,  
Chwiał się znużony pragnieniem i spieką,  
W rozwarte nozdrza chwycił wiatr gorący.

Wtem jedzie Arab przez pustyni błonia.  
Rzekłem do niego: „Słuchaj bracie młody!  
Musisz mieć wodę, daj mi kroplę wody.  
Widzę że pełne twe juki podrózne,  
Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia“.

A on mi na to: „Czary moje próżne,  
Ostatnia pełna, ciskam ją o glazy;  
Umieraj zdrajco! Giaur niech nie żyje!  
Gdybym gdzie wiedział poblizkie oazy,  
Z których ty pijesz, albo koń twój pije,  
Zatrulbym wody — Bogdaj nie ochłódło  
Niebo, z kąd chłodu twa dusza wygląda.“

Krzyknąłem wściekły: „W żywocie wielbłąda  
Dla mego konia znajdę wody źródło!“

I oba zbrojni zwarliśmy się razem,  
Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.  
Upadł przeciwnik przebity żelazem —  
Koń mój pił wodę!!! Turban wroga złata,

Patrzę się, przebóg! ta twarz z pod turbanu  
Dobrze mi znana — Już nie miałem brata....

## VI.

Lecz koń mi został, i biegł przez pustynie,  
Koń, który myśli Araba przenika;  
Jak struś na stepach gdy skrzydła rozwinie,  
Ledwie się ziemi stopami dotyka;  
I grzywa konia z wiatrami igrała.

Lecz przebóg! koń mój chwieje się, upada.  
Patrzę! a w piersiach tkwi zbójcka strzała —  
Ojczy mój! Ojczy! okropna to zdrada!  
Tę strzałę w twoim widziałem kołczanie!

Rumaka mego przeszło śmierci drganie,  
Paraknął i głowa na piasku zaległa.  
Wtenczas spojrzałem na pustyni błonia,  
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa....  
Stepy bez końca.... Już nie miałem konia.

## VII.

Patrz! czy to śmierci posłaniec ponury,  
Wleciał do smutnej celi zakonnika?  
Motyl niestrojny w złoto ni w lazury,  
Ledwo z jedwabnej dziś zmarłychwstał truny,  
I znów tak blisko pogrzebu świecznika.  
Skrzydła czernieją jak zmarłych całuny,  
I ma na skrzydłach pisany gniew Boży <sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Na skrzydłach wielu motyli, a mianowicie szarańczy, znajdują się niewyraźne znaki; lud prosty wierzy, iż to są litery arabskie i że zawierają napis: „Gniew Boży“.

Co mu tak cięży, że je w ogniu pali —  
Tak dziki Arab gdy się los rozszroży,  
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;  
Lecz gdy noc ciemne przywdzieje zasłony,  
Lśni przed nim jasność samobójczej stali;  
Patrzy posępny na niebios sklepienia,  
Twarz ma poblada i wzrok zapalony,  
I widać drżenie wstrzymywanej ręki,  
Silne jak drżenie głodu lub pragnienia.

### VIII.

Piękny nasz kościół; u stóp jego wały  
Spienione miecą na głazy ukropy;  
Stoi na skale, jego krzyż nad skały  
Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy;  
A cudne palmy, pustyni królowe,  
Przy nim się zdają jak powiewne zioła;  
Czołem zmiatają ganki marmurowe,  
Jak gdyby chciały w prochu złożyć czoła. —

Lecz wczoraj! wspomnij godzinę przestrachu,  
Kiedy na kościół napadli Arabcy.  
Straszliwy odgłos rozbiegł się po gmachu,  
W klasztornej sali zebrali się mnichy,  
Ale coś znaczył mnichów odpór słaby?  
Już miano wydać kościelne kielichy,  
Gdy ja stanąłem: „Bracia! czyż niegodnie  
Mamy się poddać? niech nas Bóg ośmiela!  
Weźcie do ręki psalmy i pochodnie,  
I czarne szaty i krzyż Zbawiciela.“  
Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pędem,  
W sam tłum Arabów, niósłem ślepe ciosy.  
Za mną się światła snuły długim rzędem,

I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.  
Pod mieczem mnicha legł nie jeden zbójca,  
A kiedy wodza spotkałem na błoni,  
Mnichu widziałeś! on poległ z téj dłoni;  
W twarz mu zaglądam.... Już nie miałem ojca.

A gdy nieszczęściu uie mogłem uwierzyć,  
Rzekł mi konając: „Synu! kryłem lica!  
Abyś się w boju nie wahał uderzyć,  
Abyś wyrzucił sobie śmierć rodzica.  
Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj  
O zmarłych, ciesz się z tymi co zostali —“  
Ona — umarła — od zgryzot, od stali?  
Nie wiem, nie pytaj — lecz ojca przeklinaj! —

### IX.

I pokolenie płacze po swym królu;  
A jam ostatni z królów pokolenia,  
Jako pszczół matka, gdy w wymarłym ulu,  
Siedzi posepna nad córek grobami,  
I sama szuka grobowego cienia.  
Ale lza moja pamięć przodków płami.  
Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,  
Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita —  
Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;  
Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,  
Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy;  
I znów się głębiej oko moje wkrada,  
I znowu patrzy, znowu dziko marzy,  
Z łona księżycy wykwita twarz blada —  
I znów poznałem: to były jej rysy!  
Smutne pamiątki wznoszą się bez końca,

I tak się krzewią jak czarne cyprysy,  
Już duszy mojej odjęły blask słońca.

X.

To moje życie — Teraz śmierć się zbliża.  
I w sercu czuję nieznaną tęsknotę —  
Wyznam ci mnichu: choć ściskam znak krzyża,  
Noszę na piersiach amulety złote, <sup>1)</sup>  
Przez nią mi danc, jej ostatnie dary.  
A w nich koranu drzemie myśl zamknięta,  
Nie drzyj — myśl godna chrześcijańskiej wiary.  
Tak mówi prorok: „Dusza wiernych święta,  
„Niechaj miłością nienawiść odplaca:  
„Niech jako muszla srebrzystego łona,  
„Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,  
„Morderce swoje perłami z bogaca“ —  
Mnie przyjaciele zdradzili najszczeri —  
Mnichu ty gniew mi ukazujesz z czoła,  
Więc zerwij! zerwij talizmany z piersi!  
Muzułman gdy się z amuletem dzieli,  
Słyszy ostatnio westchnienie anioła —  
Zerwij. — Co słyszę? czy to wiatr w tej celi  
Smutnie zaszumiał. — Słyszałem westchnienie!

~~~~~

XI.

CIEŃ DZIEWICY ARABSKIEJ.

Ciebie głos westchnień tłumionych zasmucił?
Zniknęłam niegdyś jak senne marzenie,

¹⁾ Amulety są rodzajem talizmanów; urobione z drogiego kruszcza, zamykają najczęściej wiersz koranu.

A obraz drżący i zbladły powrócił
Do twojej myśli, gdy masz zawrzeć oczy,
Aby cię znowu do snu ukolysał.
Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy.
A ty się wiersza pozbywasz koranu!
O luby! pomyśl kto ten wiersz napisał!
Wspomnij na piękne krainy Iranu!
I patrzaj na mnie — tu jestem, tak blisko!
Czyliż ci moje nie znane wyrazy?

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko?
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cień miło podróznego nęci,
A gdy się zbliży, we mgłach się rozplywa: ¹⁾
W nich teraz żyję, w nich cień mój przebywa,
Błady, jak iskra gasnącej pamięci.

Oto przybyłam na blasku księżycy —
Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi,
Smiertelna bladeść twarzy mi nie kazi.
Chciałam być piękną — ukraśniałam lica
Kolorem róży czarownego kraju;
Chciałam być piękną — ożywiłam lica
Promieniem rosy — woń moich warkoczy
Jest tak łagodną jak technicznie róż maju.

Pomyśl mój luby! chwila już się zbliża,
Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?

¹⁾ Wielu podróżnych wspomina o tych dziwnych zjawiskach przyrodzenia. Pielgrzym dręczony pragnieniem, często spostrzega w pustyni niedalekie jeziora a nawet obrazy palm, które za zbliżeniem się wędrowca nikną... Są to może krainy duchów.

Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!
On nas rozdziela — odrzuć go daleko!
Pójdziemy błądzić, para błędnych cieni,
W błędne krainy. — Tam przed skwarną spieką
Wiecznie nas skryją z mgły uwiaue drzewa
Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,
Jaśmin srebrnemi kwiatami powiewa —
Inne tam słońce lśni nad tą krajiną,
Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje;
Jak eter czyste wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe,
A wiatr liśćcami wonnych kwiatów wieje.

A gdy twa dusza już od ludzi stroni,
Będziemy żyli samotni w tym raj, u
Ani Araba koń nas nie dogoni!
Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi;
Na skrzydłach wiatrów, po piaszczystej fali —
Kraj nasz czarowny, i mieszkańce kraju,
Spłyniemy w stepy — coraz dalej! dalej!
Żeby już nigdy nie napotkać ludzi.

Ach! pomyśl! pomyśl nad szczęścia obrazem.
Powiedz mi słowo — sen twój niedaleki —
Ty milczysz — Chcesz nas rozdzielić na wieki?
Pomyśl! — już nigdy nie będziemy razem,
I nigdy nasze nie złączą się duchy . . .
Ty milczysz? —“

MNICH.

Boże! zniknęła — O Mniczu!
Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!
Daj mi truciznę w święconym kielichu,

Albo mi powróć święty wiesz koranu!
Słyszałeś? smutna to była rozmowa!
Słyszałeś? —

SPOWIEDNIK.

Bracie ufaj w niebios Panu.
I sam się ludzisz — i twe myśli, słowa,
Brateś za płonne wyrazy dziewicy —

XII.

MNICH.

Ojcie! zgrzeszyłem.... Gniew Boskiej prawicy
Rozkruszy serce obłąkane, wrzące —
Mnichu! gdzie koń mój! gdzie koń mój stepowy?
Koi co tak prędko pustynie przelata,
Miejąc kamienie i piaski kipiące!
Wody dla konia! choćby ze krwi brata! —

Ach szybkie! szybkie odbyłem dziś łowy;
Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,
Którąm dziś rano wyścignął na wschodzie!

Mnichu! gdy potok lat prędko przeminie,
Zdaje się krótkim, jako przelot konia;
A jam tak prędko spieszył się przez błonia,
Aniś odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

Napróżno oczy podnoszę ku niebu,
Ciężka śmierć moja.... Z podwoi kościoła
Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu;
I orszak mnichów niesie kir, kobierce,
I światła w rękach i zakryte czoła —

Modlą się za mnie, lecz nawet pozoru
Niema boleści — Zimne mnicha serce!
I modły zimne jak mury klasztoru! —

Nieście mnie w stępy tam szukać grobowca.
Miło umierać wśród kwietnej oazy.
Widziałem drzewa co proszą wędrowca
Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
A gdy się zbliży drżą radości drzeniem ¹⁾
Tam drzewa czują — tu ludzie jak głązy.

XIV.

Niech po mnie zabrzmi w pustyni jęk dzwonu.
A może Arab co się jazdą strudzi,
Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,
Na pół ockniony nim znówu zadrżmieć,
Przypomni sprawcę swego króla zgonu;
Senny, z przekleństwem wymówi me imię!

1830.



¹⁾ Tomasz Moor w poemacie Lalla-Rook, wspomina o drzewach, które drżą liśćmi za zbliżeniem się człowieka.

ARAB.

A R A B.

Kłęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu.
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktyłów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I lzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych cierpień widokiem przerażam;
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bledną i śmiać się nie mogą.

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty.
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegną drogi od księżycyca.

I.

Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze.
Raz kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,
Gdym biegł na stopy, wróg ludzkiej uciechy,

Z lez cudzych winne wybierać haracze —
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny
Chata uboga, z ziemi bite strzechy
Kwieciste morza okryły rośliny;
Światło błyszczało przez łatane szyby,
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
Ha! czyż mieszkaniec tej nędznej siedziby
Będzie mi jeszcze wescelem urągał?

Nizkiej zagrody przestąpiłem progi,
Nędza tam była, lecz mieszkaniec chaty,
Człowiek napozór nędzny i ubogi,
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
Ten drżący starzec, pochylony laty,
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecko.
Był to ubogi nurek, a w tym piasku
Odgrzebał perły. — O nędzo żebraka!
Perły to? perły! tak mało? bez blasku? —
Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka,
I wiodłem starca ponad brzegi morza.
Patrz, rzekłem, oto z łupów karawany
Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;
Oto ją rzucam w te wiry, w te piana,
Dostań ją z głębi, a który z moczary
Perlę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne.
Zginęła perła, starania daremne!
Wyplynał — była na twarzy zgryzota.

Zatrulem szczęście i pokój człowieka,
Dalem truciznę, dalem mu nadzieję.

O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,
O jak obfite do morza zły leje!
Widziałem potem jak poszedł do chaty,
Z rozpaczą upadł na liściane łożę;
I wołał z jękiem i płaczem: O Boże!
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty!

Śmiałem się gorzko, był to śmiech szatana.
Dalej wielbłądzie! dalej na pustynie!
Może gdzie radość błysnie niespodziana —
Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;
Może gdzie zemsta to serce obudzi.
Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral nigdyś żył pod morską wodą, ¹⁾
Nieraz się smucił przewidując burze;
Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
Koral jak majtek cieszył się pogodą!
Ale zerwany wichrami jesieni,
Skamieniał, błądząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe.
Płynęła zwolna wielka karawana;
Gdy przyплыnęła nad pustyni studnię.
Powstała wrzawa ze śmiechem zmieszana;
Tłum cały bieży prędkiemi zawody.
Potem jak stadem spłoszone żurawie,
Gwarzy wesoło i zaczerpa wody —
Ale śmierć była w tej wody przyprawie.

¹⁾ Zdaniem naturalistów koral jest istotą żyjącą, a każda z jego gałązek składa się z mnóstwa ożywionych stworzeń.

Była trucizna. — Ha! po co się śmieli? —
Już piją! piją! jedna twarz pobladła.
Tam upadł drugi... tam bracia skostnieli,
I czara drżąca z martwych rąk wypadła.
Rzekłbyś, że Diwy, że ciemni Anieli
Na świat zarazy wyrzucili technienie!
Ani tak liczne na brzegu kamienie,
Jak były trupy! — Z całej karawany
Pozostał starzec, młodszy go ubiegli;
Pięciu miał synów — wszyscy trupem legli —
Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,
Gdzie ciała synów leżały na brzegu.
O! rozpacz! martwe było całe plemię!
Chciewie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,
Chwycił truciznę, z synami się złączy —
Przybiegłem — starca chwyciłem na strzemię,
I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,
Z pod kopyt iskry rozniecał w granicę.
Uniosłem starca i puściłem cało.
Ha! on chciał nmrzeć, ja mu dałem życie.
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało. —

Dalej wielbłądzie! po co zwalniasz kroku,
Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?
Tu cicho, pusto — i tylko z obłoku
Księżyc posępny czoło rozpromienia.
Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem, życie zamknie w sobie;
Cicha... lecz kiedy słońce je wypali,
Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie.

Rzekłbyś, że wspomnień napelniona tłumem,
Wszystkie zmieszany rozpowiada szumem.

III.

Dawnemi laty.... Jeszcze byłem młody;
Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
Bystrego konia puściłem w zawody:
Leciał i parzał i białemi piany
Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła.
Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć, ścigany,
A koń mój leciał jak gdyby miał skrzydła.

Wtem patrzę — między dzikich pustyń glazy
Jakby czarowne rajy malowidła,
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą między źródła kryształowe,
Stała dziewica, królowa oazy,
Omglona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku;
W połowie widna, skryta przez połowę,
A promień szczęścia jaśniał w czarnem oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
Oto koń nawet spina się i zżyma.

Dalej mój koniu! — Sroższy nad tygrysey,
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
Koń mię zrozumiał... zaniósł pod cyprysy,
Tam Solim w cieniu cyprynowym drzémie.
Dzięki ci koniu! Patrzę, jęgo rysy
Blyszczały szczęściem.... zginęła Solimie! —

Dziewico! wkrótce wróciłem w te strony,
Chciałem się łzami nacieszyć twojemi:
„Ha! gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?
'zy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?“

„Mój luby“ rzekła, „na piaskach spoczywa,
A wiatr pustyni jęgo ciałem miota;
Lecz skoro pierwsza błysnie gwiazda złota,
Dusza się jęgo od ciała odrywa —
Ty nie wiesz! nie wiesz! jakem ja szczęśliwa!
Jęgo duch w niebios niesiony błękiecie,
Przybywa do mnie, odzywa się w duszy.
A dusza jęgo zgaduje przybycie. ¹⁾

„Gdy nie milczenia nocy nie poruszy,
Gdy nawet serca, co wzruszone biję,
Zanadto głośnem wydaje się bicie;
On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.
Nie są to zmysłów znikome utwory,
Ja go tu czuję, widzę; on ponury,
Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,
Ubrany w tęczy złociste kolory.
Jęgo głos długie i długie godziny
Jak szmer fontanny duszę mi zachwyca;
A gdy ustami dotknie lekko lica,
Zda się, że spadły kwieciste jaśminy.

„Potem się zbliża i krwi krople pije,
Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;

¹⁾ Obraz, który tu następuje, jest oparty na podaniu wachodniem, że upiory wracając na świat, piję krew i dręcę osoby, które niegdys kochali za życia. Arabowie zaradzają powrotowi na świat upiory ucinając zmarłemu głowę.

A kiedy od niej błysnie i odżyje,
Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie,
Widzę z rozkoszą jak źródło wysycha.
On z piersi moich chwyta wątle tchnienie,
I sam z rozkoszą tem tchnieniem oddycha;
Na chwilę moje zatrzymuje serce,
I jego serce zaczyna bić zeicha.
Z oczu mi bierze po światła iskierce,
I jego oko tym się ogniem pali:
Z lic mych pożycza jasnego szkarlatu,
I jego lice bierze blask korali,
Cały rozkwita podobny do kwiatu.

„A gdy on smutny wini los i siebie;
Serca Solima zachwycona biciem,
Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie,
Że Solim jeszcze żyje mojem życiem.
Wśród nocy, w całej piękności i sile,
Błyszczy jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile;
Lecz skoro pierwsze promienie poranka,
Oświecą niebo w mgły różane strojne,
Próżno go tuli do łona kochanka,
On drży i zwraca oczy niespokojne;
I coraz głośniej i coraz błędniej —
I tak jak księżyc kiedy słońce zoczy,
Błędnie i we mgłach topi się i mroczy.
Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje.“

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci..
Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
Upiór mogity stepów nie porzuci!
Teraz dziewica cienia nie zobaczy —

Napróżno czeka każdego wieczora;
I miała umrzeć w objęciach upiora,
Przezemnie tylko umarła — z rozpaczy.

Dalej wielbłądzie! tak pusto dokoła —
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,
Tylko sęp krąży nad samotną skałą,
I głośno bije skrzydłami czarnemi.
Szczęśliwszych niema odemnie na ziemi.

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.
Źródło się kryje pod stopami drzewa,
Patrz jako liściem miłośnic powiewa;
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
Lęka się oczu srebrnego księżycy,
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
Wodom niobieskie odebrała szaty,
I dała swoją barwę, swoje lica;
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.

Stój! stój wielbłądzie! tę palmę podpalę!
O nie, zasypię źródłańe kryształę.
I skona palma w piekielnym upale.
Wkrótce z jej czoła kwiat opadnie biały.
Zostanie sama wśród pustej krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłej wskazują godziny,
Jak cień cierpienia wskazują mi lata.

Stój! stój wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom — śmierć się zbliża

Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej ciężkiwy mniej chyża.
Widzę zdaleka śmierć posępna, ciemną,
Już się czarnemi skrzydłami nasuwa;
Zasnę... Już widzę jak wkrótce nademną,
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje,
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,
Ze się pod ápiące skrada karawany.
Wielbłądzie! pan twój w innym błdzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raj.

Nie! nie chcę raj.

Nie! nie chcę raj. ... lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły;
Niech mi się wróćą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takim szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Tej samotności przerwać się nie waży.

JAN BIELECKI.

JAN BIELECKI.

POWIEŚĆ NARODOWA

oparta na podaniu historycznem.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Te źródła bogactw w zapyłonej ramie. —
Czytam.... Jak dziko ten język umarły,
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika,
Jak rdzawa kłamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?
Są to jak Sfiry te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „Kraj nasz dosięgnął szczytu:
Chylić się musiał“.... Precz z myślą szatana!
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie.... Okno klasztoru otworzę.
O! jak spokojne otchłanie błękitu,
Tam zdala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoly, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
Z nieszczęść obecnych, bezwładny, bez steru.

Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru!
Tam izba Parów, tu Tamiza ingława
Polyska słońcem, Przebiegałem chmurny,
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrawu,
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu;
A oni żyli. — Nie zajrzałem w urny.
Wybiegłem, więcej nie wchodzę w te ściany —
Ale samotny wracam dziś i co dzień,
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień.
Ci co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli śpiesznie do progów kościoła,
I umierając kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy,
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy,
Nie mając w duszy wrącego płomienia?

Posępny, siadę na odlamie glazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija!
Czytałem w księgach, a godło obrazu
Było „kraj zdradził, lecz zdrada zabija.“ —

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe:
Część po wsiach własne zamieszkała dwory;

Co było w kraju? nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

* * *

Pan Brzeżan w cudzej mieszka okolicy!
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkano adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe.
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy:
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy!

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie, ale bardzo blade,
Wydaje troski zachmurzonym czołem,
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzniały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,

Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty.
Już wino słabszo zwycięża rozumy —
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi — Szlachta wstaje, słucha.

„Bracia na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcie obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga, niepróżno przychodził;
Król go pochwalił... pochwalił, nagrodził.
Nie spojrział na mnie i odprawił z nieczem.

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Smiałżeby władać jak niemiecki książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzędzie.
Ja się usunę! niech mię grom dosięże;
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna! —

„Hej! szlachta! znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnął u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie!
A kiedy zamki wałą się pod gromem,

On podparł domu padające ściany,
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem,
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
Jękiem i dymem, iskrami płomieni...
Bracia, noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni.
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zburzę, spalę, grunt domu zaorzę.“

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś jakim cudnym blaskiem,
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany;
Jak się wahały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy!
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę.
Gdy się zmieszają wszystkie harwy borów,
Liście i kwiaty płyną jak potoki;
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta; już dosiadła koni.
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki;
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi.
Już pojechali.... Niech ich Bóg prowadzi.



II.

WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary
Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wetrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam poźółkniały ksiąg pargamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany;
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty —
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza.
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali. —
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło
Od lubej w miłym dany upominku
Skląbiał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem.....
A dalej, swaty za młodym rycerzem.
A dalej bracia husarze, pancerni.
A dalej służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok gdy przed wrogów tłumem,
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.

Ślubna jej szata była w dwa kolory;
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze,
Lśnił się herb: srebrne księżycą półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą helm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemie i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O! jakże cudna gdy się wstydem ploni!
Widne lzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co w pół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegoż smutna? — Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze;
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały,
I pochodniami świecili kozaki.
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat: „przedemną
Nie widzę domu. — Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą plugi,

Wieśniak ostatniej miedzy doorywa —“
Kiedy to mówił przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą. — Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady,
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno“ rzekł „Anno! wracaj! — nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami!
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!“... Zadrżał i spał konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żalobie,
Jej serce straszne skolatały cioay,
Po śnie wesela został płacz — pierścienek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek,
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.



III.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty !
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie,
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty ;
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiazdzistej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary ;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny,
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie, i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła,
Na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę ;
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I lzy zamienia w płacze nieszkodliwe ;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone,
Ściga za matką, chwytą za kraj szaty.

Wtem zaszczeakały brytany zbudzone,
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł ; czapkę miał na głowie,
Brzmiącą dzwonekami, obszytą w galony,

I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“

„Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.

A karzeł znowu nisko schylił głowy,

I rzekł „Sieniawski, Pan mój na Brzeżanach,

Dziś mię posłała po paniach i panach:

Jutro was prosi na swój Bał maskowy.

Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,

A wszyscy w dziwne przybrani maskary.“

— „Ha! precz mi z oczu!“ krzyknął cześnik stary,

„Precz! pan twój z nędzy, z łoz naszych urąga?

Precz! bo na Boga —“ Lecz nie skończył mowy,

Upadł na krzesło i zdjęty niemocą,

Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy.

Była to straszna chwila przed północą,

Wokoło słychać nocnych kurów pianie

I psy szczekały co wrót chaty strzegły.

Znagle zadrżały obrazy na ścianie —

Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:

Wszedł bładny człowiek — lecz na powitanie

Jak zwykle Boga imienia nie chwali;

I opatrzone w pieczęć zawinięcie,

Złożył na stole i sam się oddalił

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“

Wykrzyknął starzec, wosk rozlamał kruchy,

I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu —“

A dalej szaty z tureckiego szalu,

Wielkie ze złota ulane łańcuchy,

Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,

Perły daleko łowione w Bosforze —

Anna spojrziała i zbladła: „O! Boże!

Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną“.

Jak cudny obraz oczem się odkrywa!
Czy Zygmunt z gro¹ staje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecy co po morzu pływa,
Do Polski wnosi kar. wału święta? —
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie parfięta.
Snem mu się zdają te świetno Brzeżany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złożonemi łciany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę.... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze? —

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczajne narody —
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica,
A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu. ¹⁾
A pieśni majtków i szum cichej fali,
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tass się żali.

¹⁾ Wenecja.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy ;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory ;
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z koralu — —

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska? — Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim — Kto jest ta dziewczica?—
Próżna ciekawość, pod maską jej lica;
Ani się słowem wydaje w rozmowie.



IV.

ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzniały komnaty,
Głośnie to radość, lecz radość nie szczerą;
Śmiech słyszać! — śmiech ten wymuszony świata,
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśniej jak kwiaty z płótna,
Któreimi błyszczy biesiadnika głowa —
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez uczucia, choć piękna, lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie,
Nad jedną chwilę rozkoszy — choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumowi różnobarwne fale:
Szedł do komnaty gdzie ciemne marmury,

I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
W okolo stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złożonych niejedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy: smutna, nieruchoma.
Chodził starosta; krok niepewny, skory....
Za nim się cienie kładły od księżycy;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady.
Zawołał pazią, pomieszany, blady.
— „Paziu mój! paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty“ —
— „O Panie! twojej bojaźni nie dziękuję,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.“
— „Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obiegła szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę —
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny — Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! — Bracia! kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! przedź w paziu młody!“

Już nie czas.... Zewsząd tłumne pogan wrogi,
Biegną przez wielkie marmurowe wachbódy;

Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? haszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach, on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady,
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe.
Światła zadrżały, zgasły, tylko błady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych glazy — Wpadł jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza....
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatar —

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza!
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalii zaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżycy półkole
I gwiazda, nad nią helm ze strusiem piórem.

Błyśnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity.
Zasmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo.... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,

Którą brylantów moc wielką pokrywa,
Śmiech usłyszała i jakby od gromu,
Zadrzała, padła na głaz jak nieżywa —
A Tatar przybiegł i padł na kolana:
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa —
Twarz jego była straszna, obłąkana —
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiął, pełny słodkiej woni,
Rozwiany sphywał aż do stóp Tataru,
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się... gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
— „Tyż to mój luby! tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła“ —
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrzęła, i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili ciężko przebudzona
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!“ —
— „Ha! blady!“ pizerwał rycerz z dzikim śmiechem,
„Wszak zdradzam!“ zamilkł — lecz ostatnie słowo
Trzykrotnie głosem powtórzono echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy witał,
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano: zdrada.

Kraj cały we krwi — Wzniesł na księżyc oczy.
Patrz na te okna, na szkła malowidła....
Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszym patrzy i niepewnym licem;
Smutną ma postać, obumarłe barwy!
Inny jest człowiek gdy o szczęściu marzy,
Lecz gdy te same wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O! luba moja, po co te rozmowy?
Luba! chodź za mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twojem łonie dożyję siwisny,
Siwisny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“
— „Mój ojciec!“ — „Ojciec? — ojciec przeklnie ciebie!
I ty się lękasz? — Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci, lub ojczyzny?
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje —
Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi mymi!
Jest wszystko! luba czegóż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko.... prócz tej ziemi “ —



V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory:

Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce wzierając przez te szyby drzące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przegłądał przez ich szczyt wyniosły:
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły.
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny —
Zadzwoił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny:
Dziś plug spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice oltarz przystroili w kwiaty.
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochyłony laty.
Tłumi się coraz pieśń ludu nękająca —
I cichła... Ksiądz tylko słychać słowa,
Ci-hy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnio jaskółka i w gzymasy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła —
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błyśnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiaść w fawki, lub nie śmieli,
Bo oba kornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo :
„O bracia! dzieci! i tegożem dożył,
Ja stary wickiem z ubieloną głową?
Ze kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę nosę w Bożem słowie.
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę... Ksiądz prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami —
A teraz bracia! dzieci! ja przeklinam!...“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami.
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby!
Jakże niechętno? dźwiękiem ledwo żywe;
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgielk i zamięszanie.
Jeden z wędrowców co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca,
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,

Cieniem co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa.
Spojrzał i zadął... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa.
I rzekł: „Wyklęty! — my idźmy do domu!“ —
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmiociów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą.
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość, liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku, i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wóród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła.... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa.
Czy brak w niej czucia? bo sucha żreniea,
Twarz nieruchoma, jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty,
We włosach jasne przepaski z korali.

„O mój najmilszy! — rzekła — o mój drogi
Jesteśmy sami, już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął, a w te progi
Unarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami! —“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła ; krzyż jeden wyrwała z mogiły ;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny.
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły —
I cicho smutno płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało technienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy.
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał, a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno — Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza ;
Nieszczęsna, Boskiej wzywała pomocy !
Widna jej postać przy blasku miesiąca.
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłońią,
Smutne się echo o groby roztrząsa,
Lecz echo coraz słabsze niesło razy ;
I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
Tonące modły, jako śpiew daleki...
Dziewica biała, na kamiennym progu,
Usnęła — może usnęła na wieki — !

I cicho ! niechaj głos pieśni stłumiony,
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie ;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę co ziemię osłania ;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,

Jęki rozpaczy i wrzawa wesola,
I płacz boleści i śmiech obłąkania —
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła —!

1880.



ŻMIJA.

ROMANS POETYCZNY Z PODAŃ UKRAIŃSKICH

w sześciu pieśniach.

Ż M I J A

PIEŚŃ I.

S U M A K.

Piękny to widok Czertomeliku!
Sto wysp przerzuęły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słysząc szum trzciny, słowika pień.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czola —
Jakby rusalek cudne ogrody;
Gałązką mącą wodną błękity.
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie.
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana,
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła,
Zamek się patrzy w fali źwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.
A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.

Cogła koralów świeci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie.
Kilka ogromnych paszcz samostrzału,
Patrzy strzelnicą na Czarne morze :
A górą zamku okna z krystalu,
Świecą się, palą, jak ranne zorze ;
I tysiąc barwy w każdym promyku,
Co się z tych okien nazad odkradnie.
W zamku pan mieszka Czertomeliku,
Dumny Ataman co Siczą władnie ;
Lecz czy sam mieszka ? któż to odgadnie.
Nikt nie był w zamku ; mówią, że czary
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
Nadludzką sztuką wzniosła filary ;
Lecz kiedy wzniosła ? nikt nie pamięta. —

Nie jeden rybak wieczorną doba,
W Czertomeliku płynąc ostrowy,
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą,
Śpiew słodszy, miłszy, niż szum dniewprowy.
A rybak milczał, płynął pomału,
Kiedy wieczorne zorze zapadły,
Widział jak w zamku okna z krysztalu,
To się paliły, to znowu bladły ;
A z okien blaskiem konały pieśni.
Żnów cicho, glucho, a rybak stary
Zegnął się drżący — to czary — czary !
Wszak rybak czuwa ? wszak rybak nie śni ? !

Już to noc trzecia gdy gasną zorze,
Błyska na zamku ogień jaskrawy....
Ho ! to kaganiec, to znak wyprawy,
Popłyną czajki na Czarne morze.

Kozaków obóz zalega brzegi,
Pośród czaharów spisa polyska ;
A ponad Dnieprem w długie szeregi,
Gęsto strażnicze płyną ogniska.
Tam na mogiłę wtapiał wysoka
Gęślarz i śpiewa pieśni z mogiły....
Jeżeli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?
O śpijcie! śpijcie! przeszła wam pora,
I wyście żyli.... tu.... w Ukrainie,
I wyście żyli — to było wczora!
My dziś żyjemy, czas szybko płynie,
Pocóż tu wracać z licem upiora,
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żalobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie :
I wyście żyli! to było wczora.

Płynmy więc! płynmy w Natolskie grody,
Burzyć pałace, rąbać fontanny —
Żelazem niszczyć Turków narody
I porwać obraz Najświętszej Panuy;
Obraz co płacze rzewnymi łzami,
A gdy go człowiek w fali zanurzy,
Morze gniewliwe bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy,
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż wrogów statki w falach pochłonie....

Lecz gdzież jest Hetman? w rauniej godzinie
Wyszedł i w stepach błądzi od rana.
Oto przy brzegu czajka hetmana,
Powiewnym żaglem bicli się w trzciniu.
I wkoło gwarzy zgraja zebrana :

Wszak nam na drogę brak na zwierzynie;
Idźmy na łowy! idźmy na łowy!
Lecz gdzie nasz Żmija Hetman Niżowy?

Ty śpisz sumaku! ty śpisz sumaku!
Między błyszczące rosą czabary;
A tutaj strzelce w stepach Budziaku,
Otoczą wkrótce knieje i jary.
Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!
Bo milcząc strzelce idą na łowy;

I coraz ciszej,
Między parowy,
Pomiędzy trawy,
Toną i toną;
A zorze płoną,
I świt jaskrawy

Pozłaca niebo na wschodzie.

O jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w stepowe knieje;
Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc błednieje —
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, błednie, czerwieni,

Niebo się mieni;
Gwiazdy w lazurze,
Już gasną, gasną;
I polne róże

Powstają z rosy perlami.

I cicho łowce szli manowcami.
Trzymaj myśliwce ptaka na dłoni,

Zakryj mu oczy złotym kapturem;
Niech nastrzępionem nie szumi piórem,
Niech się nie trzępie, w dzwonki nie dzwoni;
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.

Sokół się chmurzy,
I ociemniony
Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

Tam szelest jakiś! czy to zwierz ruszył?
To nadto wczesnie! to nadto skoro!
O! nie, to lekki chart tam na smyczy,
Niechętny więzom piszczy, skowyczy,
Skarć łowcze charta ręką i sforą.
Pierwej wyśledzić sumaka tropy,
Potem go gończe podniosą głosem.
A potem charty.... I chart karcony
Przypadł do stopy;
Okryty wrzosem,
Kwiatem zroszony,
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże
Gdzie się kończy ta dolina;
Tam Kozacy wielkiem kołem
Stójcie cicho — a drużyna
Niech tam idzie drogą, dołem,
Niechaj tonie w trawy, ziola...
W tej dolinie sumak leży.
Gdy starszy strzelec zawoła,
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary
Otoczył Kozak, tonie w czahary.
W krzakach się kryją ponure czoła,
I cicho, jakby ludzi nie było!
Jakby się tylko o łowach śniło!
Wiatr wieje w kniei i szumią zioła,
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;
Świat płonie ogniem umalowany,
I słońce wstaje nad martwe stepy,
Oblane złotem świtu burzany
Ognistej barwy kwiatem się palą,
I gną się z wiatrem; fala za falą
Przebiega stepy milczące. —

Cicho.... Wtem trąhy zagrały grmiące,
I zagrzmiał razem pod niebo wzbity
Z brzękiem surm, kotłów, okrzyk wesoty,
I uwolnione z więzów sokoły
Szybko w powietrza lecą błękity,
Krążą i kraczą, dzwonekami dzwonią,
I psy spuszczone jęczą i gonią.
Czekają łowce: wśród strasznej wrzawy
Patrzą na niwy złożone świtem,

I oto śmiga
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga,
I przez zagony,
Przed szybką smyczą,
Sadzi przez doły;
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.

I jeden sokół już zleciał nisko,
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.
Chart wiatronogi za zwierzem tropił,
Już go dościgał — już blisko.... blisko —
A sumak leci, bojaźnią ślepy,
Leci w zasadzkę — wpadł na oszczepy
Drgnął tylko — upadł, a tłum wesoly
Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
Żeby wystraszyć co tylko żyje
Pomiędzy trawy. Lecz sokoly,
Krążą i kraczą, dzwonekami dzwonią,
Ogary znouwu jęczą i gonią.
Czekają lowce. — Wśród kwiatów fali
Znów coś mignęło? — to sumak nowy?....
O nie! to Tatar miga od stali,
 Jak wiatr stepowy,
 Jak wąż piersiami
 Trawy rozcina,
 Między kwiatami
 Złotem połyska.
 I łuk napina,
 I strzały ciska
 I rohatyny kolczate miota.

Dziwi Kozaków ta zbroja złota,
Musiał to jakiś być wódz Tatarów? —
Puścić ogary: — jeden z ogarów
Już go dościga, ha! zobaczycie!
Ogar to stary, dobrze się sprawi,
Wskoczy na piersi — i w strasznej męce
 Wydrze mu życie,
 Zgniecie, zadławi. —
Już go doścignął — rzecz niespodziana!

Skacze na piersi, liże mu ręce,
U stóp się kładzie, wyje, skowyczy:
Wszak to jest ogar! ogar hetmana!
Pierwszy z ogarów! tak sławny w Siczy;
Nieraz Tatara wytropił w jarze,
A dzisiaj znalazł pana w Tatarze.

Wróciła nazad psiarnia zagnana,
A Tatar leci i trawy łamie.
Patrzcie! — i sokół siadł mu na ramię
O dziwy! dziwy! sokół hetmana!
Siadł na ramieniu, nastrzępia pióra,
Zda się, że skrzydłem nagli go w biegu.

W łowców szeregu,
Okrzyk dokoła;
Strzał lekkich chmura.
Ściga Tatara;

I jedna w piersi trafia ogara,
Druga pod skrzydło trafia sokoła,
Trzecia Tatara w czoło drasnęła. —
Czy krowa płynęła? czy łza płynęła?
Nie można wiedzieć — stanął, zakrywa
Oczy zalane czy krwią, czy łzami.
Z piersi ogara obróże zrywa,
Z szyi sokoła pierścień z dzwonekami;

I znów przez stepy,
Wprost na oszczepy,

Leci w zasiane wrogiem parowy. —
Tam go wstrzymają! nie, nie wstrzymali!
Daleko zdradne prześcignął łowy,
I zniknął w burzanów fali. —

Nie — to nie było senne widziadło;
Bo tam gdzie przebiegł, pośród wadołów,

Bez życia szczęciu Kozaków padło,
I sześć ogarów — i sześć sokolów.



PIEŚŃ II.

P Ł A C Z K A.

Z tententem konia leci przez wrzozy:
To pan nasz, Żmija, hetman na Niżu.
Bielą się wzbite tumany rosy,
Z pod kopyt konia spłoszone wrony
Stadem się zbiły. siadły na krzyżu.
W burzanie miga kołpak czerwony,
Stalowa zbroja miga w burzanie:
— „Witaj Hetmanie! witaj Hetmanie!” —

— „Zdrowia drużyno, co słyhać w Siczy?
Czy szumią żagle? — czajka gotowa?
Czy nam złą wróżbą wrona nie krzyczy?
Czy zawsze nasza fala dniewprowa
Tak jak płynęła, płynie do morza?
Ha! tak? to dobrze. — Nim błysnie zorza
Być w pogotowiu. — Teraz niech czara
Zaszumi miodem, pieśń grzmi wesola....
Lecz gdzie mój ogar? puścić ogara!
Gdzie jest mój sokół? puścić sokoła!

Stróż psów hetmańskich, ptasznik Hetmana,
Dzieci nieletnie, wyszli z drużyny;
Pobledli oba uczuciem winy,
I wyczytali gniew w oczach pana.
Potem rzekł starszy: „Nieszczęsne łowy!
Na nasze łowy ktoś rzucił czary.

Gdzie niegdyś leżał sumak stepowy,
Dzisiaj okryte zbroją Tatary,
Trudzili charty i skrzydła ptaków.
Od strzał tatarskich sześciu Kozaków
Pośród stepowych padło wędolów.
I szczęście ogarów — i szczęście sokołów.
Tatar ci zabił psa i sokoła.“

— „Kłamstwo! to kłamstwo!“ Hetman zawoła,
„Gdy w polach jęczą wasze cięciwy,
Smycz moja pada, a Tatar żywy? —
Umiem wybadać prawdę za mgłami
Uwitą w słowa krzywoprzysiężne.
Znacie tę obróż? pierścień z dwonkami?
Śmiercią wam biją dzwonki mosiężne.“
Snać, że obróżę charta poznali,
Pieśń śmierci w głosie dzwonek odgadli;
Oba zadrżeli, oba pobladli;
Łza im błękitne oczy kryształili.

— „Parę kłamliwą, co razem wzrosła“
Rzekł srogo Żmija „polecić Bogu,
Wsadzić do czarjki, w czarjce bez wiosła,
Niech z Dnieprowego spływają progę.“ —

Już odszedł Hetman. — Powstały gwary,
Zkądże wie Żmija o naszych łowach?
Czy mu przynieśli pierścień Tatary?
Czy gdzie ukryty sam był w parowach? —
W różnych domysłach zabrzmiały struny.
Jako żurawi nuta wędrowna,
Pieśń przez srebrzyste płynie pioluny,
Mięsza się z echem — dzika, czarowna....

Bo kiedyż Kozak o czarach nie śni?
Może domysły rozkwitną z pieśni?

~~~~~  
POWIEŚĆ KOZACKA.

RUSALKA.

Nad mogiłą w mgłach wysoko:  
Krąży sokół, siadł na krzyżu.  
Pod tym grobem spi głęboko,  
Niegdyś Hetman, pan na Nitu.

Jeszcze sława Zaporozła,  
Jako miesiąc błądy, nowy,  
Nie przebyła w czajkach morza,  
Nie wleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi,  
I samotna róża biała.  
Zapicnione skalne progi,  
Mglisty błękit wód zwierciadła.

Przy Rusalce wysp Hetmana  
Widać było w blask miesiąca.  
Jego luba z mgły uwiśna,  
Z mgły dniewprowej, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłońią,  
Zapalała czarnem okiem —  
«Luby» — rzekła, «tam się płonią  
Polne róże nad potokiem.

«Dzwonki barwą lśnią błękitną:  
Uschną dzwonki na pokosach,  
Lecz z różami, gdy przekwitną,  
Rozkwitają w molch włosach.

«Duchem zmarłych na tym świecie  
Żyje, kwitną jak mogiła.

Cóż po łąkach? cóż po kwiecie?  
Niechaj uschną, bym ja żyła». —

— «Czarna duszo! precz odemnie,  
Już miłości nie ocucę». —  
— «Wyrzekasz się? lecz daremnie!  
Znów zawołasz — znów powrócę». —

Rusalka się w mgłę rozpływa.  
Nocą błądy miesiąc świeci,  
I po łodziach lśnią łuczyna,  
I do Dniepru toną sieci.

Hetman smutny i ponury;  
Płynie z wolna łódź Hetmana!  
Przed nią postać z mglistej chmury,  
Płomieniami malowana.

Taka piękna ponad falą,  
Gdy się o nią blask roztrąca.  
Wpół się ogniem lica falą,  
Wpół się swebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,  
Choć to może duszy zguba,  
Hetman woła: «Chodź tu do mnie!  
Chodź tu do mnie moja luba!»

Odtąd zawsze, zawsze razem.  
Hetman w więzy lgnął widziadła,  
Choć jej dusza zimnym głazem  
Na twarz różne barwy kładła.

Zawaze piękna — z polnych głogów  
Róże złote włosy wieńczę —  
I kradzioną z nad porogów,  
Mgliste szaty złoci tęczę.

Gdzie zarastał gaj odludny,  
Jednym słowem — jednym rankiem,

Wzniosła z wyspy zamek cudny,  
I obwiodła złotym gankiem.

Z koralowej zamek cegły,  
Wieża druga, trzecia, czwarta,  
Na skinienie w niebo biegły:  
Lud go narwał zamkiem czarta <sup>1)</sup>.

W zamku, jak kładzione kosę  
Powiązała róż szkarłatny;  
Brylantami jakby rosę,  
Polskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzył na kobierce,  
Okiem blask brylantów ściagał:  
Ciągłe patrzył — stygło serce;  
Dla Rusalki już ostygł. —

Ta choć zimna pod obłokiem,  
Zimne serce wnet odgadła;  
Szybko, szybko, czarnem okiem  
Brylantowe blaski kradła.

Kwiaty brata do warkoczy,  
Hetman spojrział, wzrokiem tonął  
Nad brylanty skrzę jej oczy!  
I znów kochał — i znów płonął. —

— «Luba! ty masz blask anioła» —  
— «Więc mi nagrodił, jeśli warta?  
Daj sokola, daj mi charta,  
Zabij charta i sokola».

— «Czarna duszo — precz odemnie!  
Sercem się z szatanem kłóczę». —  
— «Znów zawołasz? lecz daremnie  
Przyjdiesz do mnie — ja nie wrócę». —

<sup>1)</sup> Czertomellk.

Odplynęła. — Hetman kroczy  
Zamyślony po komnatach.  
«Co! — nie wróci?... a jej oczy  
Takie cudne, włosy w kwiatkach...»

Myślał. — Z oczu trzy ogromne,  
Po niemieckiej płyną twarzy.  
Rzekł do siebie: «Już nie wspomnę!»  
Nie wspomina, ale marzy.

«Nad zamglone chmur błękitny,  
Oto miesiąc już się płoni;  
Już mój sokół, chart zabity,  
A jej niema?... pójdę do niej». —

Jakże miłe technienie wiosny?  
I wód fall święta, chłodna?  
Nad porogiem czarne sosny  
Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągłe burzo,  
Łamią w falach blask księżycy;  
Nad śalami w mglistej chmurze,  
W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jej stopach chart błądawy,  
Niespokojny i ponury:  
Na ramieniu sokół mgławcy,  
Nastrzępiony, patrzy w chmury.

— «Jakżeś piękna!» Hetman woła,  
«Któż ci może ująć bezkarny?  
Chodź tu luba — spłosz sokola,  
Chart niech leci gonić sarny.

Tu pod moich ust płomieniem,  
Twe się blade mgły rozplonią.  
Jak tu miło! pod sosn cieniem!  
Prosi, błaga — okiem, dłonią.

Lecz dłoń jego, ciężka wina!  
Czy przypadkiem, czy po myśl,

Na krzyż srebrną mgłę rozcina,  
Znak zbawienia święty kreśli:

Przed krzyżem się mgły rozpierzchnęły  
Jak złamane wód błękity;  
I Rusałki rysy zmierzchnęły,  
Obraz zniknął w mgłach rozbity....

Znikła.... słychać tylko burze  
W głębi Dniepru — i szum piasków;  
Lecz mgła splywa, splywa w chmurze  
Zabłąkanych kilka blasków,

I rozbite mgły zwierciadła,  
Wiatr przybliża, zmniejsza, zmniejsza,  
Lśni Rusałka, lecz poblądła,  
I poblądła — i smutniejsza.

Potem rzekła: «O mój mity  
Zegnam ciebie, ginę, ginę,  
Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,  
Tak w uściskach się rozplyną.

«Proszę, błagam nadaremno,  
Prótno czekasz na tej skale:  
Lecz chodź ze mną! lecz chodź ze mną!  
Droga do mnie przez te fale.

«Mgły tu zimne ale jasne;  
Gdy i ciebie mgła okryje,  
Patrz mój luby — teraz gasną,  
W twych uściskach znów ożyją.

«Sokół żywy, chart twój żywy.  
Z tobą razem, jak z sokołem,  
Pójdę, błędzić nad te niwy,  
Nad dymiących chat padołem:

«Pójdę z tobą — tak w mgłę ciemną  
Ostoniona, jak w kryształ

O chodź ze mną! o chodź ze mną  
Droga do mnie przez te fale.

Hetman kochał — obłąkany,  
Hetman kochał — ogniem płonął;  
Z progu spojrział w Dniepru piany,  
Padł do fall — i zatonął.

Gdy go skryły burz odmęty,  
Potrzaskały w proch granity;  
Duszę zbawił obraz święty:  
Krzyż na piersiach miał wyryty.

Od grzechowej zmary czysty,  
Już ulata w nieba stopy:  
Za nim wrzesał sokół mglisty,  
Chart Rusałki rzucił stopy.

A Rusałka, nad ostrowy  
Sama jedna — we łzach woła:  
„Kiedyż! kiedyż Hetman nowy  
Da mi serce, psa, sokcia“.

Pieśń kona z echem — i wnet jałowe,  
Dziki domysły urosły w gminie;  
Więc Hetman kocha fali królowę?  
Na oslep leci w przepaść i ginie?  
Zawsze samotny — zawsze nie z nami;  
Gdzieś na cmentarzach, nad mogiłami.

Ciszej! — tam zachód krwawy, ponury,  
Ozłocił stopy, jary i chmury;  
Zagasa słońce, słychać jak zdala,  
O brzegi bije spieniona fala.  
Ciszej! — tu smutno mogił wybrzeże.  
Oto ostatnio zachodu blaski,  
Złocą wichrami burzono piaski;

Złocą trzy cerkwi posępne wieże,  
Co nad brzeg Dniepru wybiegły stromy,  
I tysiąc grobów, gdzie przez wylomy  
Posępno trumien wieka świeciły.  
O! dzika Siczy! twoje mogiły  
Z piasku uwiane, a grób tak kruchy  
Gdy pod przechodnia zapadnie nogą;  
Potem w mgłach srebrnych płynące duchy,  
Wczorajszych mogił znaleźć nie mogą.  
Tam białą postać słońce oświeca.  
Łatwo z wybladłej odgadnąć twarzy,  
Że to posępna mogił dziewica,  
Że to siczowych płaczka wyśpiarzy.  
Stała na wieku spruchniałej truny,  
A wiatr jej czarne unosił włosy,  
I wzruszał wianku srebrne piołuny,  
I różę wianku, lśniące od rosy.  
Mówią, że niegdyś, płaczka ta miała  
Czoło wesołe, lica różane;  
Lecz przymuszona płakać, płakała —  
I dzisiaj zmysły ma obłąkane  
Zmysłonym płaczem.... i we łzach oczy.

To Hetman Żmija na cmentarz kroczy.  
Stanął na grobie, rzekł: „Witaj Kseni!  
Witaj o sławna płaczko pogrzebu!  
Ty nas modlitwą polecasz niebu —  
Przez ciebie pieśnią w grobie uśpieni,  
Sen mamy cichy, gdy zbroja rdzawa  
Zimną się rosą ziemi napawa.  
Straciłem dzisiaj ptaka i charta,  
Wierni mi byli — i tem boleśniej;  
Jeżeli zgraja twych pieśni warta,



Chart mój i sokół wart także pieśni!  
Spiewaj nad niemi! — „Bluźniesz mój miły!  
A ja do takich prośb się nie niżę.  
Czujesz to zimne drżenie mogiły...  
Słyszysz! jak skrzypią spruchniałe krzyże?  
Jak z dzikim wrzaskiem rybitwa biała  
Ponad błękitną falą się wiesza?  
Pieśń moja smutna, gdybym śpiewała,  
Wszystkie te dzikie głosy pomięsza.  
Ciszej!“ Lecz Hetman nie słuchał mowy,  
Wzrok miał ponury. — Pomiędzy trzciny  
Lśni Dniepru fala i próg dniewowy.  
Wśród skał posępnych fale się zwały,  
Na skałach dzikie rosły kaliny,  
I mech czerwony i sosny karły.  
Na progi czajka z falami leci,  
I już zawisała ponad urwiska.  
A w czajce dwoje płynęło dzieci.  
Łódka z pianami w głązy się wciska,  
A pod nią otchłań pieni się, burzy —  
Te dzieci polkną dniewowe fale!  
Młodsze chwyciło za kwiccie róży,  
Co się po nagiej zwieszala skale:  
I padło w przepaść z gałązką kwiatu.  
Starsze po sosnach pnie się na głązy.  
Napróżno ręce podaje bratu,  
Słyszy huk fali i obłakano,  
Mając na ustach modlitw wyrazy,  
Rzuca się z krzykiem w przepaść i pianę....

I nic nie wyszło z fal tajemnicy,  
Nic z głębokiego serca Hetmana;  
Dłoń swoją oddał w ręce dziewicy.

Ta zachmurzona i pomieszana,  
Wiodła go w cerkiew. W cerkwi tak ciemno  
Posrebrza szyby księżyc na nowiu;  
Serce przenika trwogą tajemną  
Szyba brzęcząca w ramach z ołowiu;  
I przez otwarte dachu szczeliny,  
Wglądały z kwiatem drżące kaliny.  
„Kseni“ rzekł Hetman „co to się znaczy?  
Słyszę jęk smutny i płacze rzewne:  
Czy to jest nocne pienie puhaczy?  
Czy ty chorągwie wzruszasz cerkiewne,  
Ze się bez wiatru smutnie kołyszają?“

— „Luby! chorągwie spokojnie wiszą,  
Może je wzrusza technicznie mogiły.  
Czego się lękasz? czego? mój miły!  
Chodź za mną“. Zdjęła lampę z ołtarza,  
Weszli w podziemnych lochów zakręty.  
O! jak tu głucha cisza przeraża,  
Tu połamane Turków okręty;  
W spruchniałych deskach, w zbroje przybrani  
Leżą do koła śpiący hetmani.  
A jako kazał obyczaj grecki,  
Każdy miał w ręku święte obrazy,  
Na nich tajemne modlitw wyrazy,  
Usta przymknięte, w nich piaszturecki.  
Kseni do małej zbliża się truny;  
I strasznie drżała ręka dziewicy,  
Gdy podnosiła czarne całuny,  
Splamione gęsto łzami gromnicy.  
O! nieba, dziecię pod całunami,  
Piękne i żywe. — Kseni pobladła,  
I przed hetmanem zalana łzami,

Klasnęła w dłonie — do nóg upadła.  
„Mój luby, rzekła, to dziecię — dziecię!  
Teraz się w ciemnych grobach ukrywa.  
Luby, niech pop nas połączy skrycie,  
Pop moim ojcem.... Ja niezcześnie!wa!  
Łzy moje płyną na wzgardę światu.  
Gdy plotę z polnej róży zawoje,  
Wnet drżące liście padają z kwiatu.  
Wszystko usycha, wszystko — co moje!  
Świat mi szyderczym śmiechem przygania.  
Zlituj się luby!“ — Lecz próżne słowa,  
Już wyszedł Hetman.... śmiech obłąkania  
Połknęła w ziemi cisza grobowa.



### PIEŚŃ III.

### P O Ż A R Y.



#### PIEŚŃ ODPYWAJĄCYCH.

##### I.

„Ho! daleko Czarne morze,  
Gdzie się czajki kąpią w pianach;  
Palmy zamki na Bosforze,  
Jako trzciny na limanach.  
Fiękną to pożar łąk, oczeretów,  
Lecz jakże płonie wspaniale  
Wielki las masztów, las minaretów.  
Szumcie czajki! szumcie fale!  
Ho! Kozak panem  
Błkitnoej fali.  
Urra ho! dalej! urra ho! dalej!  
Z naszym hetmanem  
Urra ho! dalej! —

II.

«Nasza czajka szybka, zwrotna,  
Choć nie błyszczą w malowidłach;  
Jak jaskółka czarna, lotna,  
Na sitowia leci skrzydłach:  
Pięćdziesiąt wiosel w blegu ją nagli,  
Dla Turków niede podarek,  
Dwa dział ze spitu i sto janczarek;  
Z szumem wiosel, z szumem żagli.  
Ho! Kozak panem i t. d.

III.

Lećcie z nami morskie wrony,  
Gdzie południa świeci gwiazda:  
Lećcie z nami — wam na galazda  
Damy turban zakrwawiony.  
Za nami wrony! za czajek śladem!  
Dla was, co potar ocali,  
Łachmany żagliw zasumcie stadem,  
Z szumem wiosel — z szumem fall.  
Ho! Kozak panem i t. d.

IV.

«Jak wesoło czajki płyną!  
Piękny widok przy pogodzie,  
Gdy chorągwie się rozwiną.  
Gdy obwieją nasze łodzie —  
Mijamy cmentarz, nasze mogiły,  
A tam nas żaden nie słyży!  
Sen ich szanujmy, sen słodki, miły,  
Żagle ciszej! wiosła ciszej!  
Ho! Kozak panem i t. d.

V.

«Zmarłych uspi blask miesiąca,  
I szum brzozy, pieśń ołtarzy;  
Równie smutna, drzka, drżąca,  
Jak zbłąkanych pieśń wiosłarzy....  
Chaty, mogiły, znikają nagie.  
Zasumcie! zasumcie wiosła!

Bodaj nas do nich fala odniosła.  
Szumcie czajki — szumcie żagle.  
Ho! Kozak panem i t. d.

VI.

Pieśń dziś smutna, czajka pusta,  
Lecz powrócą pełne łodzie.  
Tym co zginą wlotym w usta  
Piastr wyblity w Carogrodzie.  
Pacierz za nich, a potem wina,  
Wina w weneckim kryształe:  
Za pamięć druhów plje drutyna.  
Szumcie czajki, szumcie fale.  
Ho! Kozak panem i t. d.

Tak dziką pieśnią, przy wiosel pracy,  
Chaty żegnali — a przed chatami  
Na brzegu stali tłumem rybacy,  
Starce siczowi, zalani łzami.  
Jeszcze niekiedy nuta wędrowna,  
Od zabłąkanych powraca czajek —  
O! pieśni dzika, pieśni czarowna,  
Zmieszana z dźwiękiem wiosel i grajek,  
Upływa z echem, jak upłynęła  
Młodość; tak rybak marzy i wzdycha.  
Wrócił ponury, milczał — sieć cicha  
W błękitne fale Dniepru tonęła. —

Niech wolniej pieśń płynię, na moim torbanie  
Strun braknic.... Któż wyda kozackie pożogi?  
Huk ognia, trzask domów co lecą w oteblanie! —  
Rwę struny torbanu i ręka drży z trwogi.  
Śpiewając, sam jestem jak Turek wybladły,  
Choć widzę ogniska płonące po chatach!  
Zatrwała mię każdy liść z drzewa opadły,  
I szelest sumaka co śmiga po kwiatkach....

Jak ciche, błękitne przystanie Synopy!  
W okolo na palach podnosi się szaniec,  
A fala błękitna konała u stopy  
Latarni portowej, gdzie w nocy kaganiec  
Oświeca dalekie błękitu odmęty.  
Dla kupca, dla majtka, to widok jedyny,  
Te mnogie przy groblach uspione okręty.  
Gdzie siatkom podobne krzyżują się liny,  
I białą się żagle, — zo strzelnic galery  
Wygląda blask spizu, gdzie drzemie grom bitwy;  
Na masztach różnego koloru bandery,  
Tak lekkie, krajane jak skrzydła rybitwy.  
Gdy niebo i morze nie łączą się mgłami.  
Ciekawe wejrzzenie z wież puszcza się szczytu,  
I ściga okręty z białemi żaglami,  
Co zdają się płynąć do nieba błękitu.

Dziś tłumem się grobla napelnia portowa,  
I fala spieniona od huku zadrzała.  
Poznali huk Turcy — to mnogie brzmia dział;  
Lecz w której to stronie? — Od stron Oczakowa.  
To może znać dają galery Sultana,  
Ażebym strzedz portów od hord Zaporozia.  
Ha! cóż nam te czajki? nam trwoga nieznana,  
Sam huk je dział naszych zatopi do morza.  
Tak Turcy mówili.... Lecz kiedy po fali  
Noc cienna posępne rozciąga całuny,  
Na czarnych niebiosach błysnęły dwie łuny,  
To płonie Białogród — Trebizont się pali!  
Noc była ponura, a luna szeroka  
Pozłaca księżycę i szczyt minaretów.  
Otwarto żelazne podwoje meczetów.  
Przy lampach lud wzywa modlitwą Proroka;

A potem ufając w przesnaczeń wyroki,  
Skończywszy modlitwy, lud wrócił do domów.  
I wszystkich w haremach sen ujął głęboki...  
Obudzą się może wśród ognia i gromów. —

Gdy Ulem meczetu zamykał podwoje,  
Nie spostrzegł zapewne, lampami olśniony,  
Że Turek posepny ubrany we zbroje,  
Stał między filary jak gdyby uspiiony,  
I ani się ocknął — choć słyszał ponury  
Jęk rdzawych zawiasów i ryglów loskoty,  
I widział po ścianach jak łuny blask złoty,  
Oświecał żyłami krwawione marmury.

W haremie nie widać, że niebo się pali,  
Bo mury wysokie, krzew gęsty i drzewa.  
Dziewice w złocistej zebrały się sali,  
Gdzie płoną pochodnic, róż technienie przewiewa.  
Jak szczerze tam śmiechy, jak miłe zabawy!  
Bo Basza daleko — na czterech fregatach  
Na Czarne gdzieś morze przedsięwziął wyprawy,  
Eunuchy w odległych usnęli komnatach. —

Dziewice obsiadły sadzawki, gdzie z głazu  
Tryskają fontauny, lamp ogniem iskrzone;  
Z westchnieniem widomem przez gazy zasłone,  
Słuchają miłosnych gazałów Szirazu.  
Ta żądzy tajemnej kraszona rumińcem,  
Choć przyszłość zna swoją, a jednak ciekawa,  
Dziecinnie się śmieje, gdy w dłoni jej trawa  
Węzłami spojona, rozwija się wieńcem.  
Ta smutna, kwiat róży po liatku obrywa,  
Liść każdy opadły ma tajne znaczenie,

Ostatni liść róży jej przyszłość odkrywa;  
Zerwała ostatni, i słybać westchnienie;  
I długo dumala nad kwiatem opadłym,  
Ze łzami na twarzy i z czołem poblądłym.  
Ta kwiaty obrywa, ta patrzy jak kwitną:  
Ta chroniąc płeć dłoni od wiosny upału,  
Podrzuca na dłoni dwie kule z kryształu,  
Lub płoszy wachlarzem mgłę kadzidl błękitną.

Zulema szukając zaciszy i chłodu,  
Usiadła samotnie na złotem wezgiowiu;  
I okno otwarła na kwiaty ogrodu.  
Noc była tak ciemna — bo księżyc na nowiu  
Cieniami pokrywał fontanny i drzewa;  
I tylko przez okna barwione i kraty  
Od sali się światło złociste wylewa,  
Na drżące pod oknem z kwiatami granaty.  
Na niebo zamglone patrzyła dziewica,  
A myśl jej igrała z ciemnością i mgłami.  
Czy sen to? — Przy blasku niepewnym księżycy,  
Widziała minaret pomiędzy drzewami:  
Na szczycie z ołowiu, jak światło poranku,  
Mignęły płomienie niepewne jak zorze.  
Ukazał się rycerz na wieży krużganku,  
W turbanie na głowie, w tureckim ubiorze.  
Spojrzała dziewica, westchnęła boleśnie,  
I oczy odwraca, zapomnieć by chciała,  
Bo tego rycerza widziała gdzieś we śnie.  
Znów patrzy — o nieba! tatarska to strzała  
Puszczona pod chmury ze skrzydłem płomiennem,  
Wróciła na wieżę i zgasła na szczycie.  
To może w jej oku zroszonym i sennem.  
Lśni gwiazda przelotna po niebios błękitno?



Lecz zkądże się nagle szczyt nieba rumieni?  
W około płomienne rozlały się blaski,  
I słyhać zdaleka trzask głuchy płomieni,  
I słyhać jęk ludu, gwar dziki i wrzaski,  
I straszny szczęk broni i grzmionie janczarek.  
Na wieży krużganku znów nowe zjawiska,  
Od króla polskiego kosztowny podarek, .  
Złożona chorągiew hetmańska polyska. .  
Gdy miasto w płomieni okryło się wianku,  
Chorągiew dla Turków — to całun grobowy!  
A przy niej stał kozak na wieży krużganku,  
Zelazem błyszczący od stóp aż do głowy.

W światłości czerwonej haremu ogrody;  
Odkryły się kręte gaików zarysy,  
I ciche kanałów złościły się wody,  
Po wodach cień smutne rzucały cyprysy.  
Fontanny jak ze snu zbudzone pożarem,  
Tryskają pod niebo złotemi słupami.  
Wieść straszna, wieść śmierci przebiega przez harem.  
Rzezańce wzruszeni rozpaczą i łzami,  
Prowadzą dziewice po jasnym ogrodzie,  
Nad kanał, wokół drzewami zarosły;  
Tam różę haremu usiadły na łodzie,  
A wiosła je szybko od brzegu odniosły.

Czy mamże powiadać, jak czajka w haremy  
Przez kraty akrużzone na kanał wybiegła?  
I krzyki żon Baszy — i radość Zulemy,  
Gdy z wieży rycerza przed sobą spostrzegła.  
Ta postać, wpół żagleń na czajce owiana.  
Znajoma Zulemie.... Nie zdradzę tu w pieniach,  
Tajemnic ukrytych w nieśmiałyach westchnieniach,

I w oczach Zulemy i w oczach Hetmana.

. . . . .

„Skorzej żeglarzo! skorzej! czas nagli  
Księżyc jaśniejszy i dłuższa zorza.  
Może nam wicher uciec z pod żagli,  
Może nas cisza przykuć do morza;  
A ciężko będzie po martwej fali,  
Tłuc się wiosłami i bladnąć z głodu!

„Cóż to za gwiazda we mgle się pali?  
Ho! to latarnia z wież Carogrodu.  
Dalej za światłem! dalej! i dalej!  
Jak trzej magowie za gwiazdą wschodu,  
Jak trzej magowie za gwiazdy lotem,  
Lećmy po złoto, choć nie ze złotem. —

„Ho! ho! ostrożnie. Czajka na czatach  
Niech daje baczność, zdala i zblizka —  
Szczęśliwi oni w rodzinnych chatach,  
Wieczornie teraz palą ogniiska;  
Pełne ryb sieci i piwa dzbany,  
I pies ich nawet w chacie spoczywa;  
A tu na morzu kozak zblakany.  
Gdy się przez czajkę fala przeléwa,  
Jak morska wrona ze srebrnej piany,  
Otrząsa skrzydła, na wierzch wypływa;  
Byleby w fali znalazł dolara,  
Lub piastr turecki. — Ho! baczność wiara!

„Lecz my szczęśliwsi niż oni w chatach,  
Gdy nas obwieją dymem pożary;  
Milo w tureckich błaznić komnatach,

I pić i złote chować puhary;  
Lub leżeć w siatce, gdy kołysana  
Lekko się waha, buja na maszacie;  
I patrzeć w niebo i drwić z Sultana.

„A teraz bracia dobrze rozważcie:  
Oto zdaleka wieża drewniana,  
Czy ją zapalić? czy zrównać z piaskiem?  
Oto na wieży latarnia miga,  
I brylantowym pali się blaskiem.  
Niech moja czajka brzegu dościga,  
Ja sam pod zręby ogień podłożę....  
Lecz jeszcze okiem rzucę na morze:  
Jak cudny widok! — Tu czajek dwieście,  
Które noc kryje i groźna strzeże.  
Zdała rząd świateł, Pera przedmieście,  
Dalej Sofijskie złożone wieże;  
Ledwo ich blade widać zarysy  
Na ciemnem niebie.... Tam krzew żaloby:  
Tureckich grobów smętne cyprysy.  
I w nocy nawet czernią się groby.  
I gwar daleki i morza szumy,  
I myśl o wachodnich roi straszdyłtach....  
Zda się, że widzę jak widmo Dżumy,  
Płynię nad miastem, na czarnych skrzydłach“.

Już zniknął Hetman — czas szybko bieży —  
Cicho i głucho — słycać jęk dziki....  
To pewno strażnik skonał? — Na wieży  
Błękitne siarki widać płomyki.  
I nagle światło na morze pada,  
Krwawo się czarna fala rumieni,  
I twarz miesiąca zagasa blada.

Słysząc huk ognia i trzask płomieni,  
I ożywione jak malowidłem  
Dalekie miasto z minaretami  
Z cieniów wypływa — a tu chmurami  
W dymach pożaru zbudzone wrony,  
Niekiedy białem migają skrzydłem.  
Słysząc pisk ptactwa — ogień szalony  
Wzmaga się, rośnie. Ogniem owiana  
Straszniejsza niżli widmo pomoru,  
Niżli pochodnia w gmachach szatana,  
Świeci Kozakom wieża Bosforu.

„A teraz druby — hej! do zabawy! —  
Dalej! w przedmieścia gdzie Grek zdradziecki,  
Gdzie kryje złoto kupiec wenecki;  
Lecz pamiętacie — gdy świt jaskrawy  
Pozłoci niebo, wrócić do łodzi,  
I przynieść wiele złota z wyprawy;  
Będziemy piastry mierzyć na garnce.  
Lecz jeżeli kogo szatan uwodzi,  
Jeżeli się z lupu nie wypowiedzi,  
Niechaj pamięta: w Zmii janczarce  
Pięć kul się kryje, biada mu! biada!“ —

Już świta — świta... Ognie pożarów  
Gasty przed słońcem, a wschód był krwawy.  
Patrzcie! pod miastem chmura kurzawy,  
Czy to się zbliża rota janczarów?  
Migają zbroje. — Zasiąść na ławy,  
I szyję harmat zwrócić do wałów;  
Jeżeli się zbliża — wnet stem wystrzałów  
Przywitać Spachów.... Nie będzie boju.  
Biała chorągiew błysnęła w tłumie,

Posłowie niosą słowa pokoju;  
Oto kadzidło hetmańskiej dumie...  
Słyszę ich trąby i rozstrojony  
Dźwięk surm tureckich, dziki i huczny;  
A w tłumie miga kolor zielony:  
To jakiś Emir, Basza buńczuczny.  
Koń jego szybki jak błyskawica —  
— „Cóż tam Emirze od twego pana?” —  
Emir pozdrowił nisko Hetmana,  
I rzekł: „Syn słońca a brat księżycy...”  
„Ho! przerwał Hotman, wasz Sultán stary  
Jak brat księżycy zbladł przed pożarem.  
Jeżeli cię z jakim przysyła darem,  
Chętnie przyjmujemy Sultana dary;  
Lecz póki jestem w brzegach Bosforu,  
Póki mam silne prawo zdobywczy,  
W darach mieć mogę prawo wyboru....

„Pierwsza jest corkiew... Dla cerkwi w Siczy  
Żądam obrazu... Między ikony  
Jest w Carogrodzie obraz święcony,  
Obraz co płacze rzewnymi łzami;  
A gdy go człowiek w morzu zanurzy,  
Morze gniewliwie bije falami,  
Pieni się, huczy, pryska i burzy,  
I póty gniewne podnosi tonie,  
Aż pogan statki w falach pochłonie.  
Lecz to dla popa... Słuchaj Emirze!  
Niech sobie mnichy walczą cudami;  
Póki mam szablę i czajki chyże,  
I zamek w Siczy, król nad zamkami,  
Póki mam tysiąc różnego chłopca,  
Co po obrazie?... Obraz dla popa.

„Słuchaj Emirze! dla mej drużyny,  
Złota potrzeba cudnego blasku!  
Nie rodzą kruszców nasze krainy,  
Dniepr się nie toczy po złotym piasku:  
Gdyśmy go cały orali flotą,  
Pytając: Dnieprze! ma twoje łożo  
Złoto?... On czajki wyniósł na morze,  
Aż pod Carogród — rzekł: tam jest złoto.  
Tu pięć tysięcy jest młodzi z Siczy,  
A więc syn słońca, pan twój łaskawy,  
Da pięć tysięcy piastrow odprawy.  
Dla mnie.... jednego niech nie doliczy.

„Emirze! teraz dar dla hetmana,  
Nie piatr lurecki, nie malowidło...  
Widziałem pyszny pałac Sułtana,  
Gdzie się on kryje błądy ze strachu.  
Kaźcie rozrzucić pałacu skrzydło,  
A każdy kozak gruz weźmie z gmachu,  
Z kamieniem w pola Siczy powróci,  
Jak skarb przechowa na dnie skarbnicy;  
Potem ten kamień na grób mi rzuci:  
Wstanie mogiła, pod tą mogiłą  
Głucho śpiącemu będzie się śniło,  
Że w czajce grozę waszej stolicy.“ —



PIEŚŃ IV.

C Z A J K I.

Kozacy wygnani nad Donu brzegami,  
Gdy Dniepr opuszczali, pieśń smutna i szczytna,  
Z rozpaczy wyrazem, zmieszana ze łzami,  
Na głowę carycy przekleństwa miotła.

O falo błękitna! o falo błękitna!  
Tys czajki nosiła — tys lzy te widziała. —  
.....

„Zda się że słońce piękniejsze świta,  
Gdy do powrotu czajka zwrócona;  
Miła tej fali barwa zielona,  
Czajkami w srebrną pianę rozbita.  
Jak się te nurki spokojnie pławią,  
Pod słońca blaskiem skrzydły trzepocą.  
Lecz, kto wie druby, może przed nocą  
Srebrne się morza fale zakrwawia? —

„Ha! zgadłem bracia — tam na obłoku  
Turecki żagiel z wiatrem ucieka.  
Zaczęte łowy! mieć go na oku,  
Lecz się nie zbliżać, zawsze zdaleka.  
Niech żadne wiosło czajki nie nagli,  
W dzień się nie zbliżać, nie stawić czola;  
Galery mają oczy sokoła,  
Zaraz dostrzegą.... Zwinąć pól żagli....

„A przed obrazem Bogarodzicy,  
Co burzy morze i czajek strzeże;  
Zapalić świecę, a przy tej świecy,  
Niech pop odmawia głośno pacierze.  
Gdy wydam rozkaz — za mym rozkazem,  
Wziąć pośród siebie czajkę z obrazem,  
Lecz niech się teraz pop nie przysłuży,  
Niechaj obrazem morza nie burzy,  
Niechaj się modli — innej usługi  
Teraz nie żądam.... Jakże dzień długi!

„Ho! ho! szalony ten sułtan stary,  
Budować takie wielkie galary,  
Co trzykroć tyle nabiorą wody,  
Niż nasza czajka; za to z czajkami  
Tureckim statkom nie iść w zawody:  
Gdy pełnym żaglem płyną za nami,  
My na mielizny.... często w pogoni  
Okręt ich pryśnie o piasek ławy,  
I tak jak szklanny puhar zadzwoni.

„Widzicie druhy jak zachód krwawy?  
To wiatr nam wróży — korzystać trzeba.  
Więc nieco białych żagli rozwinąć,  
I robić wiosłem.... ku słońcu płynąć.  
Postawić czajki w płomieniach nieba,  
Tak aby słońce było za nami....  
Ze zwiniętymi teraz żaglami  
Utonąć w blasku.... pod tą opieką  
Nas nie wyśledzi ten upiór smoczy,  
Co ma z kryształu stokrotne oczy,  
Temi oczyma sięga daleko.

„Dzięki ci Boże! oto do końca  
Dzień nachylony blade się pali,  
Oto nad falą widać pół słońca,  
A pół do ciemnej kryje się fali,  
I na świat rzuca odbłysek ponury —  
Już się nad słońce fala podniosła,  
Po niebie krwawe snują się chmury.  
Teraz do żagli! teraz do wiosła!“ —

Okrzyk stokrotny  
Bije o chmury;



I żagiel lotny,  
Jak skrzydło ptaka,  
Białemi pióry,  
Czajkę kozaka  
Niesie. Ta drżąca,  
Wygina szyję,  
Kapie się w wodzie,  
Fale roztrąca;  
I kozak żyje,  
I czajka żywa.

Już lecą... Błady na wachodzie  
Zza chmury księżyc wypływa. —

„Ho! dobra wróżba, galera Baszy....  
Lubię mieć sprawę z Baszy galorą  
Znam tę banderę, a nad banderą  
Buńczuk, co płocze jaskółki straszy.  
Widzę przy ogniach tureckie twarze,  
Zdają się blade.... Czekać w pobliżu,  
Aż nam galera boki ukaże,  
Aż na nas spojrzy okiem ze spiżu.“

Galera okropną cichością owiana,  
Jak widno posępne, jak pałac zaklęty,  
Choć wiosło nie szumi, choć żagiel zwinięty,  
Bez ludzkiej pomocy, czarami szatana,  
Odwraca pierś złotą ozdobną straszędem,  
I boki jej księżyc bladawy oświeca.  
Trzydzieści paszcz widać przy blasku księżycy,  
Zkąd wkrótce ognistym wyleci zgon skrzydłem....

„Druhy! do wiosel! już dają znaki,  
Ażeby iskrą podrażnić działa;

Lecz my pierzchniemy stadem jak szpaki,  
Próżno nas będzie kula szukała,  
Dalej! do wiosel! — I mnogie wiosła  
Wnet zaszumiały.  
Czajkę zbląkaną,  
Fala rozniosła,  
I żagiel biały  
Z białawą pianą  
Zmieszany zginął na morzu —

I rzekłbyś, że fala to czajki pożarła  
Ze Kozak grób znalazł w błękitnych fal łożu.  
I cichość posepna i cichość umarła  
Okryła na chwilę błękitny odmetu.  
Lecz iskrą galery zbudzono już działo  
Wzruszyło sen głuchy — błysk widać z okrętu.  
I dział trzydzieści zagrzmiało.

Dym czarny chmurą na morzu drzymie,  
I okręt zabrzmiał szatańskim śmiechem;  
Lecz nim śmiech skonał z trzykrotu echem,  
Czajki stadami błysnęły w dymie.  
Pobledli Turcy.... oto kozaki  
Na piorś okrętu rzucają haki,  
Dra się na pokład. — Nad pogan karki  
Widać wzniesiony miecz Atamana,  
I nad turbany pióro Hetmana,  
I atamańskiej odgłos janczarki.  
Wśród damasceńskich krzywych pałaszy,  
Miecc się Żmija okropnym bojem:  
Gdzie walczyl Basza, syn młody Baszy,  
Na pół makowym spity napojem.

„Ojczu!” do Baszy rzekł Selim młody,  
„Giniemy — pozbądź niewczesnej dumy.  
Łódź okrętową spuścić do wody;  
Gdy ja sam wrogów zatrzymam tłumy  
Uciekaj ojczu!” — Na środek skoczył,  
I pośród tłumy, swój turban biały,  
Błyskiem krzywego miecza otoczył.  
Jęk na pokładzie, janczarki grzmiąły.  
Pośród pałaszy w błysku i dymie,  
Hetman młodego spotkał Selima;  
I dwa się miecze starły olbrzymie.  
Żmija miecz wroga na mieczu trzyma,  
A drugą dłonią z janczarki błysnął,  
Strzelił pod maszty — i płomień nagle  
Szybkiem poskokiem spłynął na żagle,  
Aż na banderze złotej zawisnął;  
I maszt sosnowy zajął się z trzaskiem....

„Byłaby walka w cieniach schowana,  
Trzeba ją takim oświecić blaskiem —  
Oto pochodnią błyszczą Hetmana“.  
Z trzaskiem pożaru znów szczeł oręża  
Słychać — i dźwięki hartownej zbroi.  
Miecz straszny Żmii, jak żądło węża,  
Krwi wroga szuka i krwią się poi.  
Koszula Żmii utkana w druty,  
Hartowna wprawdzie na próbę kuli,  
Lecz miecz Selima w Damaszku kuty,  
Przedarł drucziane węzły koszuli;  
Krew popłynęła aż na kobierce  
Co okrywały Baszy okręty.  
Żmija się zemścił — ugodził w serce:  
Schylił się Selim jak kwiat podcięty,

Upadł na pokład ze chrzęstem stali;  
Padając okiem rzucił po fali,  
Przez fale plynie łódź okrętowa,  
Tam jego ojciec. — Selima głowa  
Spadła na piersi....

Czajka wesoła.

Zuów ślizką pierśią roztrąca piany,  
I na błękitne wpływa limany;  
Nad limanami z ołowiu czoła,  
Wież Oczakowa widać wysoko;  
A wież turecka załoga strzeże.  
Dostrzegło czajek pogańskie oko,  
I wiankiem ognia błysnęły wieże.  
Dym widać srebrny, huk słyhać głuchy,  
Lecz czajki ciche — cicho jak duchy,  
Gdy wiatrem wzdęta żagli pierś biała —  
Płyną wstecz Dniepru, dalej! i dalej!  
Zuów z wież tureckich zagrzmiaty działa,  
Lecz huk bezsilny skonął na fali.

Jak cudnie błyszczą czajek szeregi!  
Słońce pozłaca barwy orszaku —  
Jak cudnie błyszczą Dnieprowe brzegi,  
Kwiat oczeretów szkarlatem świeci.  
Niekiedy w ciszy Tatar Budziaku,  
Mignie na koniu, jak wiatr przeleci;  
Lub w oczeretu kwiatkach ukryty,  
Patrzy na czajki, na fal błękity.



## PIEŚŃ POWROTU.

Czajki! czajki! Sicz przed nami!  
Oto brzegi Zaporota!  
A daleko za czajkami,  
Już potarów gaśnie zorza;  
    I wśród morza,  
    Między mgłami,  
Płonie wielka masztów sosna,  
Sita żagłów spadła.

Gdy nam błysnie nowa wiosna  
Znowu zadrzy dziec wybladła,  
Znowu zagrmi śpiew janczarek;  
Lecz w tym roku dość zachodu,  
    My do miodu!  
    Z brzękiem czarek  
Pijmy w naszej Ukrainie,  
Młód nasz przepalony.

Gdzieśmy byli, kto popłynę?  
Za trupami chyba wrony,  
Wrony czajek przyjaciółki.  
Co śmierć kraczą Asawule,  
    Kiedy kule,  
    Jak jaskółki,  
Nad czajkami, po przestworzu,  
Lecą chmurą czarną.

My Kozacy siejcm w morzu.  
Gdy się z wiosną plony zgarną,  
Pełnym workiem piastry świecą  
Podle, jako liść zółkniały;  
    Jak wleciały,  
    Tak wylecą.  
Przez pół roku pan dostatni,  
Kozak wojewodą.

A gdy wyjdzie piast ostatni,  
Znów z Kijowa Dniepru wodą  
Do chat naszych. — Kozak śpiewa

A gdy nędze zakłopotą:  
W łodziach nocą,  
Lénia łucrywa;  
I do ciemnej Dalepru wody  
Cicho sieci toną.

Miło błędzić gdzie ogrody  
Wschodnich Baszów, kędy płoną  
Złota blaskiem jabłka duże:  
Lecz się nallej schyllić z konia,  
I wśród błonia  
Polną różę  
Zerwać, zanieść z ranną rosą,  
Lubej w upominku.

Pierwej fale wyspy zniosą,  
Niżli Kozak dla spoczynku  
Tknie się pluga... gdy raz złotem  
Da zakupić ręce panu,  
Wśród limanu,  
Zlany potem,  
Zlany łzami, będzie w stożec  
Składał kryształ soli.

«O! nie pójdzie Zaporotec,  
Zaprzędany do niewoli,  
Błądzić!...

O cicho! cicho drużyno!  
Czy tam widzicie żagle za nami?  
Żagle się galer białą za trzcina,  
Za kozackimi płyną czajkami.  
W Czertomeliku płynmy ostrowy,  
Tam będą czajek bezpieczne floty:  
Próżno nam buńczuk zagraża złoty,  
I pierś galery i żagiel płowy.  
Oto na brzegu nasze rodziny —  
Czajka ma czucie, wierność brytana

I tak jak brytan o stopy pana,  
Tak się o wodne otarła trzciny.



PIEŚŃ V.

B A S Z A.

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.  
Jakże mu piękno zdają się chaty!  
Róża je polna ubiera w kwiaty,  
Malw różnobarwnych drżące kolumny  
Aż ponad strzechy rosną i kwitną;  
Owdzie spruchniałe skrzypiąc żurawie,  
Sięgają w studni wodę błękitną;  
Tam Zaporozec napawa konia,  
Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,  
I gwarząc z echem wraca przez błonia,  
Kiedy wieczorna zablýśnie gwiazda.  
Na śpiew szczeniem pies się odwoła.  
Chaty wiszące w parowach siola,  
Jako jaskółcze czernieją gniazda....

Ale dla Turków jakże zdradzieckie  
Czertomeliku wysep zakręty!  
Gdy w nie galery weszły tureckie,  
Utkwił na miejscu żagiel rozpięty.  
I tak za czajką płynące wrogi,  
Co wprzód grozili, blade od strachu,  
Nie mogli znaleźć powrotu drogi,  
Jakhy w Egipskim zbląkani gmachu.

Kozak spokojne porzucił chaty,  
I biegł na brzegi — tam pop z gromnicą,

Przywdziewa lśniące złotem ornaty,  
Trzykroć oświęca Dniepr kadzielnicą,  
A gdy odmówił z księgi pacierze,  
Rzekł do Hetmana: „Mój wierny synu,  
Czy wierzysz w cuda?“ Hetman rzekł: „Wierzę“.  
Lecz uśmiech jakby na wzgardę gminu,  
Oświecił blade lice Hetmana.

A pop rzekł dalej: — „Więc w imię Pana,  
Jeżliś ochrzczony weź obraz święty  
Gdzie malowana Bogarodzica,  
Zanurz do fali — niechaj okręty  
Zatoną, zgasną jak ta gromnica.“  
Rzekł — i gromnicę rzucił do wody.  
Tłum cały milczał, a Hetman młody  
Jakby ze wzgardą słuchał rozkazu;  
I malowidłem cudownem błysnął,  
Lecz nim tknął fali ramą obrazu,  
Obraz się w drobne sztuki rozprysnął.  
A pop zbladł drżący — zbladła drużyna —  
Hetman zawołał? „Czemuż blednicie?  
Jeżli pękł obraz, nie moja wina,  
Spruchniał w tureckim wisząc meczecie!  
Ale ten okręt zastrzął przed wschodem słońca;  
Turków wytracę przed wschodem słońca;  
Jednego tylko zostawię gońca,  
By o tem zaniósł wieść do Stambułu. —  
Cóż ten szmer znaczy? czyż szabla Zmii  
Tak się na karkach tureckich starła,  
Ze już kozackiej nie tknie się szyi?!  
Do chat kozaki! — niech myślą Turki  
Ze już drużyna nasza wymarła:  
A gdy noc głucha padnie na wzgórki,



I na parowy — być w pogotowiu  
Na odgłos trąbki... Do chat Kozaki! —

Już przy zachodzie dniewprowe ptaki,  
Czaple się kładły do snu w sitowiu.  
Galera pierśią nie miała wody,  
A spód jej ledwo w trzcinach widomy;  
I nad zielone wysep ogrody,  
Wyrastał wielki maszt nieruchomy.  
Słońce złociste, niećmione mgłami,  
Tonie w oczeret — blaski niknące  
Spały na żaglach, a nad żaglami  
Zwieszały liście brzozy płaczące;  
A jeszcze wyżej, na żagłów szczycio  
Bandera Baszy połyska złotem,  
I jeszcze wyżej, w nioba błękicie,  
Jaskółki szybkim krążyły lotem.

Tak cichy widok... Niech Turki marzą,  
Że są panami stu wysp na Niżu;  
Niech śpią głęboko — bo już na krzyżu  
Usiadł jak do snu sokół stepowy,  
Smutny wszedł miesiąc z płonąca twarzą,  
I na zamglone patrzył ostrowy.

Cichość posępna i noc głęboka.  
Na straży Turek zbrojny połyska,  
I z chat kozackich nie spuszcza oka.  
Ale po chatach gasły ogniska.  
Turek odmawia modły Proroka,  
I tak się rajska otoczył chwałą,  
Że ani dostrzegł, jak pośród cienia

Mierzonym razem światło lyskało,  
Jakby budzone ognie z krzemienia.

Podobnie kiedy Turków ogrody,  
Bogatym w kwiaty błysną granatem,  
Tak zdala trzciny nad Dniepru wody,  
Nagle rozkwitły ogniastym kwiatem.  
I blask pożłaca ciche brzoź czoła,  
Czterech płomieni błysnęły koła,  
A gdy znalazły upływu łożo,  
Pobiegły szybko, w jedno się złąły,  
I wnet ogromne pożaru morze,  
Pod okręt wzniosłe toczyło waly.

Na krzyk strażnika, ze snu zbudzeni  
Zbiegli się Turcy. Rozpacz straszliwa!  
Rozpacz bezsilna! — morze płomieni  
Suche okrętu deski podmywa.  
Zawyli strasznie i odurzeni  
Umiłkli.... Cisza spadła straszliwa....  
Potem w tej ciszy, galerom znana,  
Dziko zabrzmiała trąbka Hetmana.

Na odgłos trąbki, jak z ogniów piekła  
Wstali kozacy na czarnych skałach...  
Rzekłbyś, że zemstą dzicz ta zaciekła,  
Gasi pragnienie w ogniastych wałach.  
Na nagich głazach, obwiani w dymie,  
Jako posągi stali olbrzymie....  
Rzekłbyś, że dusza ich marmurowa  
Nie słyszy jęku, głosu rozpaczy....

I słyhać grzmiące Hetmana słowa:  
„Druhy! nim płomień Turków obsaczy,

Kto do okrętu dopłynię z wodą,  
Jeżeli jest Basza, Baszy wyszuka,  
Baszę wykradnie — takiego kruka  
Bogatą piasstrów uczczone nagrodą<sup>4</sup>.  
Kozacy milczą — Za skarby świata  
Któż pójdzie w piekło? — Patrzcie! sam Żmija,  
Jak istna żmija ogień przelata,  
I padł do fali, wśród fal się wzbija;  
I znów zatonał.... Tam iskry padły,  
Ho! ho! z tej wanny nie wyjdzie cały —  
A teraz słyhać Turków wystrzały.  
Widzę go znowu: gdzie tłum wybladły  
Wpadł.... oto Turek w rękach Hetmana.  
Już maszt się pali, już żagiel sponął,  
Hetman do fali z Turkiem zatonał,  
A płomieniami fala zawiana....  
Milo to płynąć w takie ukropy!  
Patrzcie tam! patrzcie! Hetman na skale,  
Na znak tureckie rozwija szale.  
Waż mu się, Turek, wije z pod stopy.

Nad rankiem, kędy oczeret plouał,  
Błękitne tylko krążyły dymy;  
Galery Baszy pożar pochłonał,  
Na skalach czarne znikły olbrzymy.  
Tak na skinienie Hetmana ręki,  
Wznoszą się ognie, gasną pożary —  
Po wyspach słyhać wesole gwary,  
I dzikie śpiewy, torbanów dźwięki.  
Czemuż tak głośnie wesele w Siczy?  
Czemuż się tłoczy lud do tej lipy  
Z tak głośnym śmiechem? Czy dział zdobyćzy?  
Czyli po zmarłych wyprawia stypy?

Czy mu chorągiew przysłał Król Polski?  
O! nie ztąd radość.... Pośród drużyny  
Wznosi się wielka klatka ze trzciny,  
A w klatce siedzi Basza Natolski.  
Przed kilku dniami stu miast był panem,  
Zamykał tysiąc dziewięć w haremie,  
Był ojcem syna; a dziś bez ziemie....  
Syn jego poległ walcząc z Hetmanem.  
Z Hetmanem dzikie żywioły w zмовie  
Zniszczyły miasta, a zgraja dzika  
Jak na tygrysa patrzy w sitowie,  
Plwa mu na czoło, palcem wytyka.  
Co musiał cierpieć? nikt nie wypowie,  
Ale cierpienia w sercu zamyka;  
Gdy go raniło goręczy słowo,  
Na wzgardę chował twarz marmurową.  
Lecz chociaż duma wiele wytrzyma,  
Gdy z urąganiem wystąpił hardo  
Kozak, ubrany w zbroje Selima,  
Basza na niego spojrział z pogardą,  
Lecz gdy stanęły w oczach przytomne  
Syna pamiątki: pierśi nabrzmiały,  
W oczach się dtugo dwie łzy zbierały,  
I spadły na twarz dwie łzy ogromne.

Już ciemnem skrzydłem noc się nasuwa,  
I gmin się rozszedł, po chatach gwarzy.  
Tam zbrojny kozak, stojąc na straży,  
Liczy godziny, nad więźniem czuwa.  
I okolica mgłami zawiana.  
A teraz słyhać hasło strażnika:  
— „Kto idzie?“ — „Hetman!“ — „Witam Hetmana!“  
Żmija milczący klatkę odmyka.

Potem odwraca twarz zamyśloną:  
— „Precz ztąd kozaku! Żmija na straży.“  
Wszedł zgięty — odkrył lampę tajoną,  
Potem ją światłem podniósł do twarzy:  
— „Żyć będziesz Baszo! wzgardę przeżyłeś.  
Znasz mnie?“ — „O znam cię! znam cię szatanie!  
Syna zabójco!“ — „Krew za krew stanie....  
Baszo! mojego Ojca zabiłeś.  
Blask cię buńczuków zaślepił wabny,  
Tyś go oczernił, ty od Sultana  
Przyniosłeś Baszy stryczek jedwabny,  
I sam na Baszę! i sam na paua!  
Ja słabe mając do zemsty ramię,  
Ja sam, syn Baszy, z miasta wygnany,  
Gdym okiem żegnał rodzinne ściany,  
Widziałem głowę ojca na bramie;  
I dotąd jeszcze, dotąd w noc ciemną,  
Tę bladą głowę widzę przedemną:  
Jak mnie krwawemi ściga oczyma.  
Lecz teraz Żmii cienie nie straszą;  
Sen mój kupilem śmiercią Selima;  
Jeszcze krwi twojej trzeba mi Baszo!  
Krew swoją oddasz za łzy Zulemie,  
Łzy które lała w twoim haremie;  
Lecz w równej walce, oddasz ją zbrojny.  
Teraz idź za mną, nie bój się zdrady.“ —

Szli oba we mgłach. Basza spokojny,  
Oczy obracał na księżyc błady.  
Szli krętą ścieżką, gdzie wśród wybrzeży  
Wznosi się zamek nad Dniepru wały.  
Koło ogromnej środkowej wieży,  
Wież mniejszych lekkie wybiegły strzały;

W wieżach się smutny puszczyk odzywa,  
Śpi blask księżycy i mgła przepływa.

Weszli do zamku, weszli do sali;  
Po ścianach błyszczą zbroje — a z góry  
Blask od kagańca padał ponury,  
I słyhać zdala szum Dniepru wali.  
W dalszych komnatach — o dziw nad dziwy  
Jakie tam cuda w zamku dniewnym?  
Na ścian wysokich tle lazurowem  
Płoną lamp gwiazdy; kobierców niwy  
Kwiatem zabłysły, a kwiat tak świeży,  
Jak gdyby z ranną rosą zerwany,  
Gdzie niegdzie kryształ zastąpił ściany;  
W zwierciadłach oko bieży i bieży,  
Nową odkrywa salę za salą!  
W każdej te same lampy się palą,  
Czy to są czary? tak długim gankiem  
Mógłby wędrowiec zająć aż do Boga!  
Z marmuru sali cięta podłoga,  
A delfin złoty obrzucał wiankiem  
Kryształ, co daje miłe ochłody;  
A światła płoną pod szklami wody.  
Patrzac na ognie, kryształ i kwiaty,  
Oko zalénione w ciągłym zachwycie  
Przez okna sali bieży z komnaty,  
Bieży odpoczac w nieba błękiecie;  
I wpada nagle jak w otchłań ciemną,  
Przez którą srebrny księżyc przepływa.

Hetman sprężynę ruszył tajemną,  
Złota się nagle ściana odkrywa  
I nowa sala... Sali polowa

Alabastrowem światłem zaciemiona,  
W połowie ze mgły spada zasłona,  
A za mgłą srebrną znów jasność dniowa.  
Gdy na złocistym siedli dywanie,  
Na znak Hetmana, zdala za mgłami  
Zabrzmiały arfy — słysząc śpiewanie,  
Stłumione zrazu echem i łzami  
Cichej fontanny. Potem ze śpiewem,  
Dwanaście dziewic, kwiaty kobierca  
Depce — i płynie z zasłon powiewem.  
Basza dłoń prawą podniósł do serca,  
Potem zbladł cały, oczy odwrócił,  
I twarz rękami zakrył obiema,  
I rzekł: — „Mój sztylet tak mię porzucił,  
Sztylet niewierny jak ta Zulema“. —  
— „Baszo! — rzekł Hetman — ona szczęśliwa,  
Z waszych pałaców bierze podarki;  
Dla niej po morzu czajka ma pływa  
Błyszczą pałasze i grzmią janczarki;  
Dla niej to Żmija przez długie lata  
Zdradzał i zaprzął swego proroka,  
I twarz zmienioną nosił dla świata,  
Choć w sercu była rana głęboka.  
Hetman — i razem wróg mej drużyny,  
Często przebrany z bracią Tatary,  
Na własne siola niósł pożary;  
Często przez długie, długie godziny,  
Pamiętam, nawet przed dniem wyprawy,  
Jak wąż ukryty pomiędzy trawy,  
Patrząc na słońce, leżał dzień cały  
By choć dzień jeden ukraść obłudzie,  
By świst kozackiej usłyszeć strzały;  
Sokół mnie poznał prędzej niż ludzic,

Tak twarz wprawilem, aby udana  
Nosila barwę. W takiej niewoli,  
Jak liść dwubarwny srebrnej topoli,  
Cierpiałem mękę — niewyplakaną:  
Gdym własne siola palit i burzył,  
Gdym na przekleństwa gminu zasłużył,  
Błogosławili.... Ale już blada,  
Już gwiazda Żmii mroczy się, spada;  
Gdy w mojej dłoni pękł obraz święty,  
Odkryją zdradę, spadnie ta głowa —  
Przeklną!“ — Głos grzmiący przerwał mu słowa:  
„Więc bądź przeklęty! więc bądź przeklęty!“ —  
I przed Hetmanem stanął w komnatach,  
Ze srebrnym krzyżem pop w czarnych szatach.

PIEŚŃ VI.

W A L K A.

Szczęśliwe czasy dawnych rycerzy!  
Szczęśliwe czasy! gdy cud po cudzie  
Barwił powieści. Dziś kto uwierzy,  
Jacy to byli stalowi ludzie,  
Jakie to były zamki zakłete,  
W czarnych cyprysach dusze zamknięte?  
Takie powieści śpią niewierzono,  
Takie powieści kryją klasztory,  
Gdzie mnich przez szyby patrząc barwione,  
Świata nadawał tych szyb kolory.  
Dziś kto uwierzy, że na skinienie  
Ręki Hetmana, we mgnieniu oka,  
Zagasły światła? Arf kona brzmienie,  
Z ciemnością spada cichość głęboka.

Popa okropna przejęła trwoga,  
A Hetman mówił z twarzą wesołą:  
„Biada kto tutaj w imieniu Boga,  
Wstąpi w czarami skreślone koło.  
Lecz gdyś tu przyszedł, bądź pozdrowiony!  
Zostaniesz moim gościem na wieki,  
Słońca nie ujrzą twoje powieki,  
Rdzą się okryje ten krzyż srebrzony;  
Nikt nie usłyszy jęku — prócz Boga“.  
Skinął — zapadła nagle podłoga....  
Pop przeniesiony w lochy podziemne,  
Zniknął — i słychać było westchnienie....  
Znów skinął Hetman, a na skinienie,  
Dzień światel wpłynął w komnaty ciemne.  
Gdy się rozjaśnił, dwoje rycerzy,  
Znów przez te same wyszło podwoje,  
I do narożnej wstąpiło wieży,  
By się do walki stroić we zbroje.

Basza wziął turban stałą, podszyty,  
Piersi drucianą kryje koszulą,  
I miecz Damaszku, z dwóch mieczów zbity,  
I ciężki czekan z kolczatą kulą.  
Tak uzbrojony lekki i rzeński,  
Za pasem sztylet zawiesił Fezki;  
Wziął tarcz z sitowia, jakiej do wojny  
Używa w stepach Tatar budziacki...  
I już był gotów. — Hetman kozacki,  
Bezpieczniej wprawdzie, lecz ciężko zbrojny;  
Zakął pierś męzną w pancierz ze stali,  
Niósł hełm z przyłbicą ściśle zakrytą,  
A z piór i włosów na hełmie kitą  
Rośnie we dwoje, do sklepień sali;



Kopiją wstrząsa do rzutu celną;  
Przy boku błyszczy miecz obosieczny.  
Tak z Baszą sercem i zbroją spreczny,  
Wychodził staczać walkę śmiertelną. —

Już się na biały dzień zabierało  
Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone  
Chmury nadrannym wiatrem kręcone,  
Już się z mgłą dolin mięszały białą.  
I słyhać oddech poranku świeży,  
Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;  
Swiergocą wróble na zamku wieże,  
Na pół uśpione między kaliny.  
I księżyc błady i gwiazdy bładły,  
Szarzeją światłem nieba błękity,  
A kawki krążąc stadem obsiadły,  
I ołowiane wież czernią szczyty.

Wsiadli do czajki obaj rycerze...  
Płynęli z wodą. Hetman ponury  
Patrzył na wichrem kręcone chmury,  
Na mgły, tumany, na zamku wieże;  
A jego serce choć stała zbrojne,  
Tak mocno bije, tak niespokojne,  
Jakby w przeczuciach; zadrżał — i nagle  
Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle,  
I pędził czajkę; ta w szybkim biegu,  
W chwile na drugim stanęła brzegu.  
Tam z serca trwogę odpędził płoną.  
„Jak los osądził, — rzekł — niech się stanic.  
Baszo! czy walczysz pieszo? czy konno?“  
„Gdy arabczyka dasz mi Hetmanie,  
Ujrzyysz jak lekko na siodło wskoczę,

Jak z konia biję i koniom toczę“.  
Hetmana trąbki słyhać odgłosy:  
Wnet nauczone na trąbkę pana,  
Dwa szybkie konie lecą przez wrzosa:  
„Biały twój Baszo! czarny hetmana“ —  
Oba rycerze siedli na konie,  
Oba pędzili szybko przez błonie,  
Póki kaganiec z wież Oczakowa  
Nie błysnął gwiazdą ze unty wywity.  
Za wodzą Żmii stanął koń wryty,  
A Hetman rzecze: „Na próżne słowa  
Nie traćmy czasu, poleć się Bogu.  
Tam twój Oczaków, kędy się palą  
Mnogie kagańce w masztowym lesie.  
Tam twoje wieże — do wież tych progu,  
Gdy mię zwyciężysz, koń cię zaniesie,  
Gdy padniesz — trup twój popłynie z falą“.

Rzekł, ściślej zamknął w przyłbicę czoło,  
I czarnej tarczy okrył się skrzydłem,  
Basza jak jastrząb krążył wokoło,  
Na różne strony zwijał wędzidle,  
I rzucał czekan i koniem toczył.  
Tarcza hetmana wydała dźwięki,  
Trzykroć od tarczy czekan odskoczył  
I na rzemieniu wrócił do ręki;  
Trzykroć odskoczył — za czwartą razą  
Zgruchotał twarde helmu żelazo;  
Lecz ugrzązł w helmie, Żmija zaś chwytą;  
Nie pośpiał Basza odciąć rzemienia;  
Tak związanego, gdy zbył strzemia,  
Hetman pod końskie ciągnął kopyta.  
Skrwawiony ostem i oczeretom,

Czołga się Basza jako gadzina;  
Zmija miecz wznosi — Basza sztyletem,  
I lewą ręką rzemień przecina,  
Wstając pod koniem, ów sztylet srogi  
Aż po rękojęcie wraził pod strzemię.  
Rumak Hetmana runął o ziemię,  
Lecz Hetman szybko powstał na nogi,  
Odrzucił dzidę, miecza dobywa;  
I znów grzmi walka, walka straszliwa!

Daleko słychać szezęki pałazy,  
I tarcza daje odgłos jak dzwony.  
Już krew turecka, krew święta Baszy,  
Lśni po burzanach jak kwiat czerwony;  
Ten widok sity Hetmana dwoi,  
Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,  
Podniósł i spuścił — lecz raz był mylny,  
Sam padł, swalony ciężarem zbroi;  
Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy  
Tłoczył mu piersi, wznosił sztylet mściwy,  
I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,  
Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,  
Podniósł panczerza i pod paucerzem  
Wbił po rękojęcie, aż krwią zapłynął.  
Basza siadł na koniu, spał go ostrogą,  
Leciał jak z wiatrem chmura stepowa;  
Lecz nie do Turków, do Oczakowa; —  
Na północ wsteczną poleciał drogą.

Już zniknął... Błado wachód się czerwieni,  
Już się oddala tentent po wrzosie.  
Tu koralową barwą jesieni,  
Błyszcza burzany w srebrzystej rosie,  
I szpaków stada po nieba sklepach

We mgle się kąpią — i lgną do łozy.  
Gdzie dwie samotne plakały brzozy,  
Hetman kozacki konał na stepach....

Ciszej! — tam jakiś śpiew obłąkany,  
Z echem przez suche płynie burzany;  
Pieśń taka smutna, dzika i rzewna.  
Oblana złotem słońca promieni,  
Zbliża się postać, jak cień niepewna,  
Dziewica mogił — to młoda Kseni!  
Pieśń jej jak lutni niesfornej głosu  
Nagle skonana, krzykiem ucięta,  
Bo koło Kseni skrwawione wrzosa;  
A choć przyłbica Żmii zamknięta,  
Już go poznała — tak dziewic oczy  
Wprawne w miłości, choć obłąkane.  
Ale napróżno wysłedza ranę,  
Chce krew zatrzymać rąbkiem warkoczy.  
Gdy mu przyłbicę wzniosła na czole,  
Żmiję do zycia wróciły bole;  
Spojrzał — i poznał, lecz nie rzekł słowa,  
Ani się zdradził nagłym poznanicem.  
I była cisza — cisza stepowa,  
Przerwana czasem łzami i łkaniem  
Smutnej dziewicy. Kseni oczyma  
Ścięga wejrzenie zgasło Hetmana;  
A Żmija oczy wlepione trzyma  
W stronę, gdzie mglistą chmurą owiana  
Wznosi się zamków Siczowych wieża,  
Nagle blask ognia ztamtąd uderza,  
Potem się rozlał po Dniepru fali —  
Między wieżami płomień się wije.  
— „Zdrajca — rzekł Hetman — Kseni! klnij Żmiję!

Oto mój zamek, zamek się pali!  
W zamku twój ojciec!... A Basza mściwy  
I nad nim jeszcze zemsty dokonał.  
Przekleństwo jemu!<sup>4</sup> — westchnął — i skonał.

Zaledwo skonał — przez kwiatów niwy  
Rzucając za się wzrok niespokojny,  
Na koniu Turek przeleciał zbrojny,  
I zniknął wo mgle.... Śmiech dziki Kseni  
Smutnie po rosach zabrzmiał: „Mam syna!  
Ojciec mój skonał pośród płomieni.  
Syn mój jak świeża rośnię kalina;  
A Hetman.... Syn miał ojca Hetmanem,  
I żyć nie będzie pod innym panem.  
Lecz wam kozacy, wam nie pokażę  
Syna mojego — w grób go zakopię;  
Ale krew jego przyniosę w czarze,  
I krwią mogiłę ojca pokropię.“

Jakie tam było po chatach łkanie,  
Gdy wieść okropna biegła przez siola!  
Zgasł! wołali, zgasł! Hetmanio!  
Któż jak ty w czajce lotem sokoła,  
Z nami na Czarne popłynię morze?  
Kiedyż takiego ujrzymy pana?  
Kiedyż drugiemu ślać będziem łozę,  
Gruzami z wielkich gmachów Sułtana? —

Wieżą tłumami kozackie kity,  
Hetmańska trumna już nad mogiłą;  
A w trumnie Hetman łoży odkryty.  
Coś mu się we śnie straszno śniło,  
Bo wyraz wzgardy w twarzy wryty.

Z żagłów tureckich śmiertelna chusta  
Spowila ciało. Złotym obrazkiem  
Pop go opatrzył, posypał piaskiem,  
Kawałek chleba włożył mu w usta,  
Zgrają tym samym obdziclił chlebem;  
A gdy wymówił ostatnie słowo,  
Płaczki zaczęły pieśń pogrzebową.  
Lecz jedna z płaczek, szła za pogrzebem,  
Śmiechem zbłąkała pieśni odgłosy;  
A choć wesela tańc nie umie,  
Na przekór śmiechom, jak srebrne rosy  
Łzy jej do wielkiej płyną łzawicy;  
A gdy łzy cudze zbierała w tłumie,  
Gdy w czarę padło światło gromnicy,  
Kółem się wszystkie chmurzyły twarze,  
Widzieli wszyscy, krew była w czarze!  
I krew do grobu wylała cieśni...  
Padła — skonana.... Konaj, o pieśni!

1881.





# W SZWAJCARJI.



## I.

Odtąd zniknęła jak sen jaki złoty,  
Usycham z żalu, omdleвам z tęsknoty.  
I nie wiem czemu ta dusza z popiołów  
Nie wylatuje za nią do Aniołów?  
Czemu nie leci za niebieskie szranki:  
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

## II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada.  
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.  
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.  
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?  
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza —  
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmięsza;  
A czasem tylko jakie białe jagnię,  
Przez tęczę idzie na skrajne doliny,  
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;  
Lub jaki gołąb' co wody zapragnie,  
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,  
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.  
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,  
Ze z tęczy wyszła i z potoku piany,  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca,



Tak jasną była od promieni słońca!  
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!  
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —  
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,  
To zakochały się w niej moje oczy!  
A za tym zmysłem co kochać przymusza  
Poszło i serce, a za sercem dusza.  
I tak się zaczął prędko romans kłecić,  
Ze chciałem do niej przez kaskadę lecieć;  
Bo się lękałem, że jak widmo blade,  
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,  
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,  
I roztopi się i zgaśnie i zniknie!  
I byłem jak ci, co się we śnie boją,  
Bo jużem kochał, bo już była moja! —  
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,  
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;  
Powiew miłości owiał mię uroczy —  
~~Stąpalem przed nią i spaściłem oczy.~~

### III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny —  
I zśliśmy razem u stóp tej lawiny,  
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka  
Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;  
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,  
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.  
Pamiętam chwilę... poranek był skwarny,  
Tęmny szmerem spłoszyli dwie sarny;  
To jakby szczęścia ludzkiego świadome,  
Stały blisko, złote, nieruchome —  
I utopily oczów błyskawice,  
W kochanki mojej błękitne źrenice;

I długo patrząc, nieruchome obie,  
Głowy promienne pokładły na sobie!  
Rzekłem: one się zakochały w tobie!  
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,  
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,  
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,  
Do swego gniazda, do perel i róży;  
A gdy zobaczył, że oczów nie mruję,  
Całą jej białą twarz zamienił w różę.  
A wiecie? ani tak za serce chwyta,  
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita,  
Ani tak oko wędrowca zachwyca,  
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,  
Kiedy od słońca różane ma lica;  
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,  
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

#### IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,  
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami.  
I nie wiem czy tam była łódź pod nami,  
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,  
Chodzić po wodach i po niebie latać.  
A ona tak mię prowadziła wszędzie!  
Ach ona była jak białe łabędzie,  
Była jeziora błękitnego panią;  
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,  
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,  
Za tą jasnością rybek korowody,  
I wyrzucały się aż do niej z wody.  
I z takimżeśmy płynęli orszakiem,  
Uśmiechając się w błękitu krainie.  
Bo ona była jak wodne boginie:

Miała powozy z delfinów, z gołębi,  
I kryształowe pałace na głębi,  
I księżycowe korony w noc ciemną —  
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem  
Myslałem całe długie pół godziny! —  
Wspowiadałem się potem z tej winy —  
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem  
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,  
I powiedziała mi w głos, że mię kocha —  
I odesłała mię znów na jezioro,  
Łódkę swą pierśią odtrąciwszy białą —  
A ja — ach! nie wiem co się ze mną stało!  
Czy mię anieli do nieba zabiorą,  
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,  
Czy uśmiechami rozerwie się łono —  
Czy serce jak lód rozegrzany taje,  
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,  
Czyli w nią wtapiał cały anioł złoty? —  
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?  
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty  
Na serce spadły, jak gołębi ebanura,  
Pięć tży i białe w niem obmywać pióra,  
Aby się czyste rozlecieć po niebie —  
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.  
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,  
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,  
Stoi cichości pełna i kolorów  
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,

Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,  
Że się już dawno sercami kochamy;  
A pod tym progiem są na wodzie plamy  
Od sosen, co się kołyszą na niebie  
I od skał cienia; gdzie, mówiąc do siebie,  
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.  
A pod tym progiem fala tak się toczy,  
I tak swawolna i taka ruchoma,  
Że wzięta w siebie dwa nasze obrazy,  
I przybliżyła, łącząc je rękoma,  
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.  
Ach! fala taka szalona i pusta!  
Że połączyła nawet nasze usta,  
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.  
Fala tak pełna ruchu i promieni,  
Ze jednym światłem objawszy nas koleś,  
Zmieszła niby anioła z aniołem.  
Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna.  
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

#### VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,  
Przez jasne łąki do lodowej groty.  
Tam ją obielił dzień alabastrowy;  
I mróz na czole mej jasnej królowej  
Perłami okrył wszystkie polne róże.  
I ze sklepienia lzy leciały duże;  
A we łzach sylfy z jasnością ogromną,  
Deszczem spadały, na białą i skromną.  
Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,  
Cała się szatą okryła zazdrośnie,  
I wszystko oczom ciekawym ukradła,  
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła

Na alabastry widne, choć zakryte.  
Tak nieruchomo stała, a koło niej  
Igrały tęcze w blaski rozmaite.  
I wtenczas modlić się zacząłem do niej :  
Ave Maria!  
Jak biała róża kiedy się rozwija,  
Róż pokazuje z piersi odemkniętej,  
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.  
I zamysłona odwróciła głowę,  
Palec na ściany kładąc kryształowe ;  
Jak ta Ło imię ukochane kręśli,  
Lub o błękitnych czuciach jakich myśli. —  
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła :  
Może za miłość ja pójdę do piekła,  
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,  
Wszczepioną będę w kryształowe lody,  
Jako ta bańka z powietrza i tęczy —  
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy  
Ta jasność słońca stworzona promieniem,  
Którą lód w sobie mrozi i zabija,  
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —  
Ave Maria!

### VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!  
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,  
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony,  
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory  
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą :  
Gdzie we mgle jeleni przelatuje skóry.  
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żalobą  
Rzucają cienie na lecące chmury !

O moja luba! tam pójdę za tobą.  
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,  
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,  
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;  
Ześmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,  
I ulecieli z plejadów gromadą.  
I tylko po nas potok spadnie głucho,  
I błyszczącą łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,  
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,  
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?  
Ach! najciekawszi na świecie nie zgadną,  
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!  
I wiele nam róż do okien świeciło,  
I wiele wiszeń naokoło rośło,  
Ile słowików na wiszniach się niosło;  
Ile tam w każdą noc miesięczną, błądą.  
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;  
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić....  
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,  
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie! —  
Łąka i szalet i wisznie w parowie,  
W takim parowie, że stróż anioł biały,  
Rozwijał skrzydła od skały do skały,  
I nakrywał ten cały parów dziki:  
Szalet i róże, i nas i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,  
I nadto barwy co się w różach płoni;  
I chciała nas już miłość ująć zdradą.

Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą...  
Byliśmy niczem niestrwożeni, sami,  
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.  
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,  
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.  
Była jak anioł co myśli i słucha —  
I nagle, takim przejrzystym obłokiem  
Rumieniec smutny twarz jej umalował.  
Że nie wiem dotąd jak się wszystko stało, —  
Aleń ją w usta różane całował.  
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,  
Sercem bijącą, brylantową w oczach.  
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach  
Coś pomieszalo się i coś urzekło;  
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,  
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami...  
Odtąd jużesmy nie czytali sami.

## XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadza.  
Smutniejsza, cichsza, i bialsza i bladeza,  
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,  
I obrywała różę na strumioniach;  
Albo przy kaskad naciągniętej lutni  
Stawała słuchać, tak jak ludzie smutni,  
Z twarzą spuszczoną, lub sama w ustroni,  
Ręce na białą zakładała szyję.  
Jak ta co boi się, albo się broni.  
Lub jako gołąb, co w strąmieniu pije.  
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.  
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,  
I jaskółeczek utraciła zwinność,  
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,  
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,  
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;  
Lilija jedna wszystkiemu jest wienna.  
Otoś ty wczoraj w tem źródle co bije,  
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;  
A tam za tobą prosta, niedaleka,  
Jak służebnica co z rąbkami czeka,  
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,  
Oczekiwała aż wyjdiesz z kąpieli.  
Widząc was obie takie białe, w parze,  
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;  
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,  
I jeden tylko poruszyłem listek,  
Ten listek, inne poruszył listeczki,  
I szmer się zrobił — ty wybiogłaś z rzeczki;  
I także prędko uciekała złękta,  
Ześ łonem kwiatu potrąciła pręty;  
I lilijowa wnet łodyga pękła,  
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;  
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą.  
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.  
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą,  
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadsidło mirry,  
I widać było, że nie wiedząc płonie.  
Głębszemi oczu stały się szafiry,  
I prędsza fala białości na łonie,  
I dziwnym ogniem rozpalone skronie  
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatom —



Ona z tych była, co się skarżą matkom,  
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,  
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;  
Gdy kwiaty szepcą miłośnic do ucha,  
Co zamyślonę własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą  
Aniołom boskim mówisz rozżalona?  
Jak ci, co mówią skarżąc się i płaczą.  
Że była burza gromami czerwona,  
Ze była grota pociągna i ciemna,  
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;  
Ze była trwoga w ciemności tajemna,  
Razem niepamięć jakaś boskiej kary,  
I skarga smutna czystych nimf, podziemna,  
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,  
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy....  
I ptasząt nas tak obudziły gwary.  
Mówisz ty o tem? jak ta co się skarży?  
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!  
Bo każda twoja brylantowa lezka  
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.  
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,  
Z rozpromienionem na błękitach czołem,  
I nieskończoność całą miał obszarem,  
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi,  
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,  
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,  
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.  
Słońca się może bała na lazurze,

Że za promienne będzie i za duże,  
Albo że będzie jako czarna plama.  
Ale na niebie była z tęczy brama,  
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.  
Wyszła.... i najprzód ją zdziwiły róże,  
Ze takie były jak wczoraj różowe.  
Zerwała jedną i podniosła głowę,  
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,  
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,  
Krążek księżycy tonący w błękicie,  
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,  
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;  
Aż gdzieś w kryształe jeziora spostrzegła  
Na licu swoim przezroczystą białość,  
Żywały uat koral, i większą omdłałość,  
I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.  
Więc osłoniła się cała w warkoczu.  
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

#### XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,  
Kiedy go wszystkie słowiki ucieszą,  
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,  
I ciszej źródła po murawach dyszą;  
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,  
I o czym cichem pomówić ze światem,  
Z każdym słowikiem, z listoczkim i kwiatem.  
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą  
Wychodzi biały pierścionek Dyanny:  
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,  
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,  
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny.  
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą!

Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;  
Jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.  
O takiej chwili z moją panią skromną,  
Jużesmy siedli w naszych progach sielskich  
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek  
Z gór było słyhać pustelnika dzwonek.  
Rzekła raz: „chodźmy do staruszka celi.  
Może rozgrzeszy, może rozweseli,  
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli“.  
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,  
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,  
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;  
I ustroiwszy się jak gór dzławicę,  
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę! —  
Ani jej oczy kiedy takie ładne,  
Ani jej usta takie były świeże!  
Motyla miała czarnego na głowie —  
Ten alabastrów od smagłości strzeże;  
I przedświecony od słońca w polowie,  
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże,  
A pod motylem pochowane róże,  
Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,  
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawo.  
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,  
Złośliwy motyl usiadł przechylony.  
Myślałem, że mu to skrzydło połamię....  
Siadł i na lewe przychylił się ramię.  
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,  
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna?!  
Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,

Szalet się oku wydawał jak trumna:  
Małeńki, cichy — kiedym spojrział z góry:  
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury,  
I niespokojne o nas gołębie,  
I zadumane o nas w łąkach trzody,  
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,  
Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;  
Wszystko zaczęło mię straszyc i smucić,  
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.  
Szedłem posępny i drżący na góry —  
Jeziora czarne, głązy; śniegi, chmury,  
Girlandy z orłów na błękitnym łodzie,  
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,  
Dom pustelnika śniegiem przysypany,  
I dwa ogromne na straży brytany,  
Krzyżyk na celi, gdzie ślady gile,  
Cola, pustelnik stary, książki w pyłe —  
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi....  
Pamiętam tylko, że promień zachodu  
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi.  
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu  
Kładłem pierścionek.....

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!  
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.  
Są lzy, co mówić na zawsze zabronią.  
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie,  
I widzę jasne błękitne spojrzenie,  
Co się zaczyna nademną litować —  
I widzę usta, co mię chcą całować,  
I drzę — i zuów mię ogarną płomienie.

I nie wiem gdzie iść, i gdzie oczy schować?  
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?  
I staję blady i kreślę jej rysy;  
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;  
Lub błędzę między róże i cyprysy.  
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,  
Zmysły utracił, i płacząc usiada  
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;  
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemu oknami fontanna,  
Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;  
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem  
Zyją słowiki; jedna szyba szklanna,  
Gdzie co noc błada zaziera Dyanna,  
I czoło moje smutnym blaskiem mami,  
I tak mię budzą zalanego łzami:  
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.  
I wstaję blady, przez okno wyzieram.  
Słuchając różnych płaczów na dolinie.  
Słowiki jęczą i fontanna płynie —  
Mówią mi o niej — ja serce otwieram  
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą.  
I schnę i więdnę — i ach! nie umieram —  
I co dnia budząc mię fontanny płaczą.

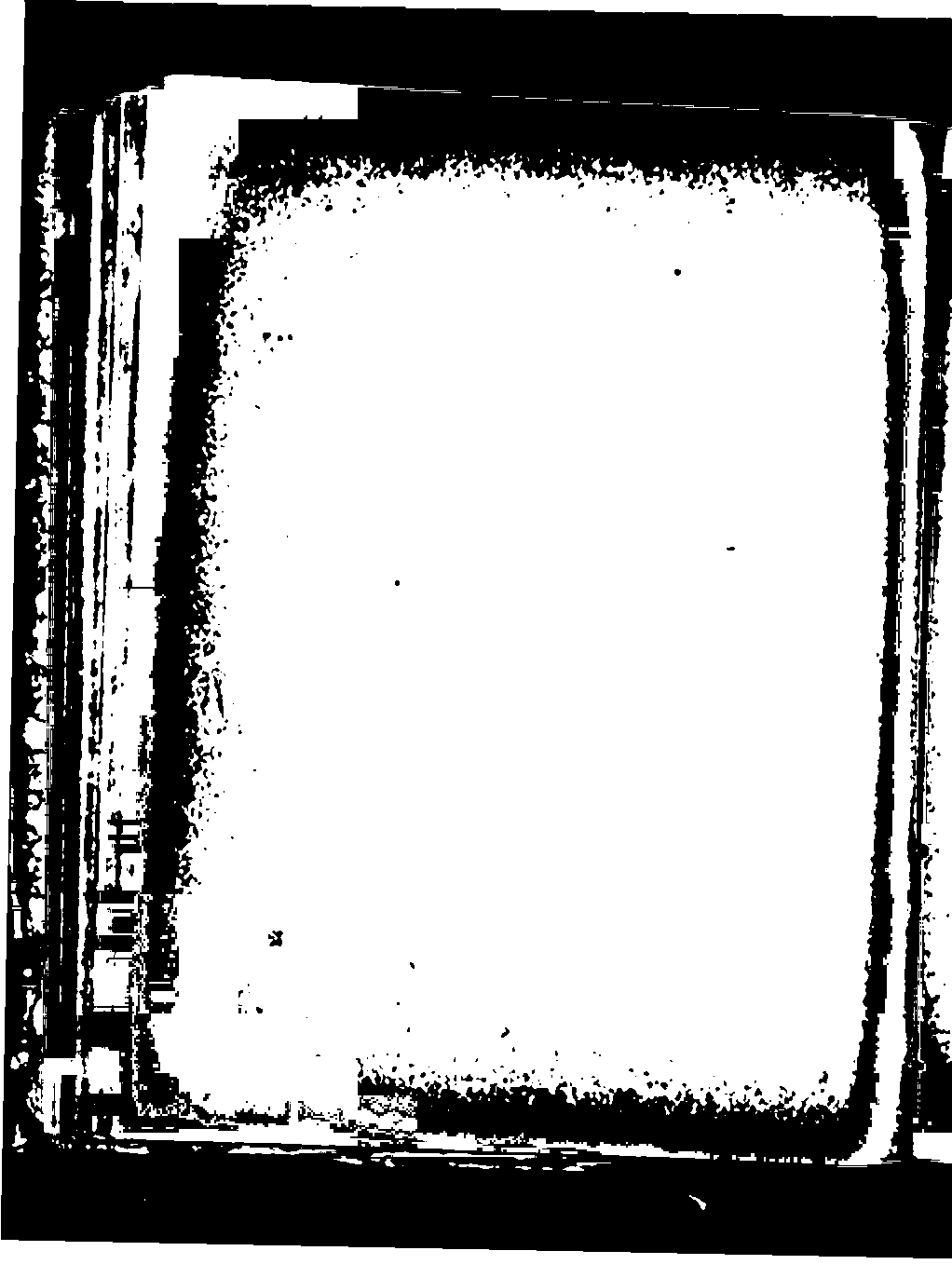
XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębioną  
Nie wiem jak sobie jej postać malować?  
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,  
Jak z roztwartymi skrzydłami gołębioną?  
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożną?

Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę  
Wbijają oczy błękitne, otwarte,  
Na każde moje spojrzenie ostrożna?  
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,  
Chodziła gdyby zaklęta królowa?  
Czy kiedy cicho usnie pod jaworem?  
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa  
W księżycu blasku biała, lub wieczorem  
Od Alp, na śniegach różowych — różowa? —

XXI.

Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą  
Tam pójdę! aż na ciemnych skał krawędzie.  
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,  
I tam polecę, gdzie one polecą,  
Bo i tu, i tam, za morzem i wszędzie  
Gdzie tylko poszłę przed sobą myśl biedną,  
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;  
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.  
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,  
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —  
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem  
O moje serce rozdarte i krwawe;  
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,  
Idąc po fali.... zaszeleści złotem,  
I załaskocze tak duszę tajemnicę,  
Ze stęskni, ocknie się — i wyjdzie ze muic.



# OJCIEC ZADŻUMIONYCH W EL-ARISH.

---

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieod-  
bicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni mię-  
dzy Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wy-  
mysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma  
swojami państwami nazaczył myślą na błędnym piasku gra-  
nicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tem  
miejsce namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem  
straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syrii dostać się  
nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu  
uleść losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na  
smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dui dwana-  
ście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce pu-  
ste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiano, mogło  
prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wi-  
sieć w błękitnem niebie, nad głową moich przewodników  
Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali za-  
raz uklęknąć wielbłdom, a w twarzach ich czarnych widać  
było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo stra-  
znego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish.  
Pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu zo-  
baczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym czło-  
wikiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant



włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknoscią na wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada; starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem jaknajwygodniejszym uczynić. Wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróźnej gromadki, a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mię otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę, i szła do morza — za nią biała wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego, roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze. Nad morzem zaś na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha; straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy, a zaś architektura jego i żółtawa białość, nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórze piaskowe, a na nich strąży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orientalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga: rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy, czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści, a pokażą się mu we właściwszem świetle, albowiem je zobaczy przez lzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wzięwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilję Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej, i ku owym dniom, które dawniej spędziłem na ucztach w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wichrem morza zerwonego na Śródziem-

ne, gruchnęła w nocy i polala się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyśłone o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli przerażenie. — Szeleszczący od wichrów i deszczów namiot chwiał się nademną i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem. — Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżno tu byłyby opisy, albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni. — Anelli myślał że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą. — Przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestraszów; krzyk Arabów uwiadomił mię o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczoraj zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, narzmiiała nocną ulewą i srebrnymi pletwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku — unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórze na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja nauczony doświadczeniem,

już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższym rozbiłem namiot, i przyszły dnie pogodno, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży, i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta, kołysały mię do snu. A wtenczas — może mię anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie gdzie miałem chwile spokojne; gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelację Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni zawieszanej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. Wielbłądy moje znów ukłękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, węzom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu. A kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodło, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mię pożegnać. A czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kolów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarła po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku

lilje białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilje, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historia jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleb i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemuż jest dla niego wspomnienie w niezrozumiałym języku, i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu!



## OJCIEG ZADŹUMIONYCH W EL-ARISH.

---

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,  
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.  
Małeńkie dziecko karmiła mi żona —  
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,  
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,  
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów  
Chodziło co dnia na piasku pagórki,  
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;  
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,  
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.  
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,  
Synowie moi ogień rozkładali,  
Zona, z synaczką przy piersiach, warzyła.  
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła  
Promienistemu słońcu się odśmiewa;  
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.  
A ja samotny wracam! — O! boleści!  
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;  
Odkąd do mego płóciennego dworu  
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,  
Jaka się w sercu mojem dziś zamyka!  
Wracam na Liban, do mojego domu —  
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika

Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —  
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki  
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?  
Naprzód błękitne na Libanie chmurki  
Pytać mię będą o synów, o żonę,  
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione,  
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha —  
I wszystkie będą mię pytały echa,  
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem  
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.  
Wielbłądy moje cicho się pokładły;  
Dziecko jak mały aniołek w obrazku  
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,  
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.  
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?  
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,  
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.  
Przyszła do ognia i wodą z potoku,  
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci.  
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku  
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie,  
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,  
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.  
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,  
Powalił się tu, jak palma złamana.  
Przybiegłem — nie czas już było ratować. —  
Siostry go chciały martwego całować;  
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!  
Porwałem trupa i rzuciłem straży,  
Aby go wzięła na żelazne zgrzebla  
I tam gdzie grzebią zarażonych grzebla.

A od tej nocy tak pełnej boleści,  
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina  
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.  
A patrz! — tak cicho umierały obie,  
Że choć po śmierci najmłodszego syna  
Oczy się moje do snu nie zawarły,  
Ja nie słyszałem jak obie umarły!  
I nawet matka własna nie słyszała,  
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.  
Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,  
Dwie moje córki, zabite zarazą,  
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;  
I porzuciły nas! — i bez powrotu!....  
A jak dorosłym przystoi dziewicom,  
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowym?  
Zawsze tam wchodzi za lasem palmowym,  
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;  
Zawsze to niebo niesplamione chmurą;  
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,  
Że słońce słońcu nierówne złotemu;  
I już nie takie jakie było wczora.  
Ale podobne do słońca upiora,  
A niebo, które patrzyło na zgubę  
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,  
Tak mi się mgliste zdawało i grube  
Ziemi wyziewem i słońca purpurą.  
Że nie wiedziałem czy pacierz doleci,  
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.  
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.  
Małżonka moja serce miała lżejsze,  
I nawet moje dzieciątko najmniejsze  
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać.  
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,  
Bo nie wiorzyłem, żeby wzięwszy troje  
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!

O! była to więc piekielna godzina!  
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna  
Śmierć zobaczyłem. Ach! ja go tak strzegłem! —  
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny —  
Niktby nie dostrzegł — ja ojciec spostrzegłem —  
On do tamtego stawał się podobny;  
Stawał się jak mój trup pierworodzony:  
Z jasnego blady, z bladego czerwony.  
Patrzę! na twarzy plam żelaznych krocie....  
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!  
I pochwyciwszy go z takimi trądy,  
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,  
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;  
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaaliśmy blizcy  
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.  
Łamałem ręce i wołałem głośno:  
Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —  
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną  
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził  
I patrzył: — tego z pamięci nie zatrzeć!  
I nie wiem jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?  
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,

Chciałem go spalić na popiół w ognisku:  
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,  
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;  
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy....  
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.  
Od tego zgonu i od tej boleści,  
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,  
I pod namiotem tym zapowietrzonym,  
Zyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie.  
I śmierć przed samą śmiercią udawali.  
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,  
Ze się ten bałwan zarazy przewali.  
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!  
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,  
Już omdlałego na boleści świeże.  
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!  
Miałem na syna trzeciego cierpienia,  
Powieki bez łez, i serce z kamienia,  
Boleść już była jako chleb powszedni.  
I pod oczyma mi konał mój średni,  
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie,  
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.  
To też Bóg jemu wynagrodził za to,  
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,  
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.  
Skonał i skościł, i stał się jak kamień.  
A tak okropnie po śmierci wyglądał,  
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,  
Ale chciał tylko lice swoje wrzucić  
W serca nieczute, oczy nam przerazić



I wiecznie zostać w rodziców pamięci.  
Z twarzą co woła: jesteście przekłęci!

Skonał. Myślałem wtenczas — o, rozpaczy! —  
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,  
Jeśli Anioła śmierci przyszłe po nie:  
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie  
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę —  
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!  
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.  
Ach! ona była młoda! taka ładna!  
Taka wesoła, kiedy moją głowę  
Do lilijowych brała chłodzić rączek.  
Kiedy robiwszy z jedwabiu osnowę,  
Około cedru biegła po trawie,  
Jak pracowity snując się pajączek!  
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie ●  
Ona robiła — i te smutne oczy  
Ona rąbkami złocistych warkoczy  
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią  
Jako na różę, przez me łzy i słońce.  
Ach, ona była domu mego panią!  
Ona jak jaśni anieli obrońce,  
Najmniejsze dziecko w kołysce strzegła —  
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;  
I wszystkie nasze oplakała ciosy,  
I wszystkie nasz łzy wzięła na włosy.  
Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,  
Ze śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.  
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich  
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić....  
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści.  
Naliczyliśmy ranków już trzydzieści.

Narazcie zbywszy pamięci i mocy,  
Położyłem się i zasnąłem w nocy.  
I we śnie, w lekkie owinięte chmury  
Ujrzałem moje dwie umarłe córki.  
Przyszły za ręce trzymając się obie;  
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,  
Poszły, oczyma cichemi błyszczące.  
Nawiedzić inne, po' namioście śpiące.  
Szły cicho, zwolna, schylały się nisko,  
Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;  
Potem, na moją najmłodszą dzieweczynę  
Obiedwie ręce położyły sine....  
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwą  
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!  
Przyszła jak ptaszek, cicho po kobiercu,  
Rzuciła mi się rączkami na szyję;  
I przekonałem się, że Hatfe żyje,  
Słyszac jej serce bijące na sercu.  
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —  
Córka!!! — lecz na co z boleścią się szczyżę?  
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!  
I ta mi córka na rękach umarła!  
A była jedna najstraszniejsza chwila,  
Kiedy ją bóle targaly zabójcze,  
Wolała: ratuj mię! ratuj mój ojczy!  
I miała wtenczas czerwone usteczka,  
Jak młoda róża kiedy się rozchyła.  
I tak umarła ta moja dzieweczka,  
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —  
A piękna była jak anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem  
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.

I, nieostrożni! zaczęli hakiem...  
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —  
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —  
Tu ją przed memi oczyma rozdarli.  
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!  
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma  
Siedziała trzy dni matka nieruchoma  
W kącie namiotu żółta, jakby z drewna.  
Dziecina stała się blada i rzeczna,  
Bo mléko matki zaczęło wysychać,  
I co dnia było płacz w kołysce słychać.  
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —  
Ona inaczej wydaje się tobie;  
Może złociста, jasna i weselna?  
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!  
Przez tę równinę, przez te piasku kupy,  
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.  
A tam na wzgórzu, kędy morze bije  
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;  
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,  
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.  
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina  
Śpiewającemu słyshał muezina:  
Jakby się nad mym ulitował losem,  
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,  
Krzyżąc ze swego piaskowego stoga  
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.  
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!  
Szumem pożaru, co miasta zapala,  
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca —  
Zarazą, która dzieci me wytraca,

I bierze syny z łona rodzicielki.  
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

Wszystko co miało tylko twarz człowieka,  
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.  
Namiotu mego — córki go uprzedły —  
Płótna na rosie poczermiały, zwiędły,  
I podarły się, i lekko napięte  
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.  
Zarazę było znać na tym namiocie —  
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,  
Co zlatywały się tutaj o brzasku,  
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,  
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,  
Po źer przestały się wszystkie zlatywać.  
Czy odstraszyło je podarte płótno  
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?  
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,  
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!  
Z wieczora huczeć już zaczęło morze!  
I słońca się krąg pochował ponury,  
I niebo czarne zaciągnęły chmury.  
Nec przyszła, dotąd w pamięci ohydna,  
Ciemna, od gromów czerwoności widna.  
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę.  
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;  
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze.  
Jak się nademną w ciemności kołysze  
I od piorunów się cały czerwieni,  
Podobny grobom szatańskim z płomieni.  
Zdawało mi się za burzy loskotem,

Żem slyszal martwe dzieci za namiotem,  
Wszystkie jęczące przeraźliwie, glucho! —  
Więc natężałem słuch, serce i ucho;  
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,  
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!  
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!  
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle  
W kolysce zcicha zapłakało dziecko —  
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,  
Bo zaraz matka, ja, oboje razem  
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy —  
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,  
To tak wydawał się obojgu głośny,  
I tak rozdarty, i taki żałośny,  
I tak z głębożkich wnętrzości wyjęty!  
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!  
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,  
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żaloby:  
Umarło — z takiej jak tamte choroby.  
I poszło leżeć między trupy bratnie,  
Moje najmilsze! i moje ostatnie!!!  
Śmierć mi je czarna wzięła nielitośnie.  
I już nie wróci, ani mi urośnie...  
Ani je kiedy mój dom już zobaczy! —  
I już nie wróci nigdy! — o rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.  
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami  
Leżało dziecko na stole nieżywe,

Nieruchomością śmierci przerażliwe.  
Uczulem wtenczas patrząc na tę postać,  
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,  
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —  
Ubyłoby mi z serca pół rozpacz.  
A to już — ani zarazy strażnicy,  
Ani ja niesłem do Szecha kaplicy,  
Gdzie się nam trupia otwierała brama,  
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.  
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć  
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,  
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,  
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.  
Smutek podobny był do nienawiści,  
I stanął czarny, wielki między nami.  
Więc rozłączeni byliśmy i sami.  
I nie mówiliśmy do siebie słowa —  
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa  
W pustym namiocie między mną i żoną,  
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —  
Słońce wschodziło w upały czerwono,  
Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci,  
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —  
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —  
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.  
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;  
Zgoła innego jęku ni szelestu —  
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu,  
I kwarantanny przybyli lekarze,  
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.  
Widziałem jak się każdy z nich zadziwiał,

Bo nachyliłem się był i posiwiiał.  
A żona moja od niespań i troski,  
Była jak bursztyn, albo żółte woski;  
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,  
Jakiś okropny ceglany rumieniec,  
A oczy pełne takiej błyskawicy  
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.  
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,  
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —  
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?  
Ja, co me wszystkie całowałem trupy —  
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —  
Żona, co nawet nie tknęła połowy  
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,  
I zachwiała się z jękiem — i upadła.  
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,  
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię  
Upadłem przy niej, jak martwy na ziemię  
I obudziłem się — na dni czterdzieści....

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,  
Że chciała z grobu swojego dzieciątka  
Jakiej pamiątki, kamienia, lub kwiatka,  
Włoska w złocistych na głowie obrączkach,  
I ta po dziecku umarłem pamiątka —  
Patrzaj! obrazek ten co trzymał w rączkach,  
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,  
W mogiłę z główki maleńkiemu zdjęte —  
Bo biedna matka miała tyle mocy,  
Ze odkopala dziecko o północy —  
Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,  
Pocałowała w usteczek korale,  
I znów włożyła do trupich obślónek. —

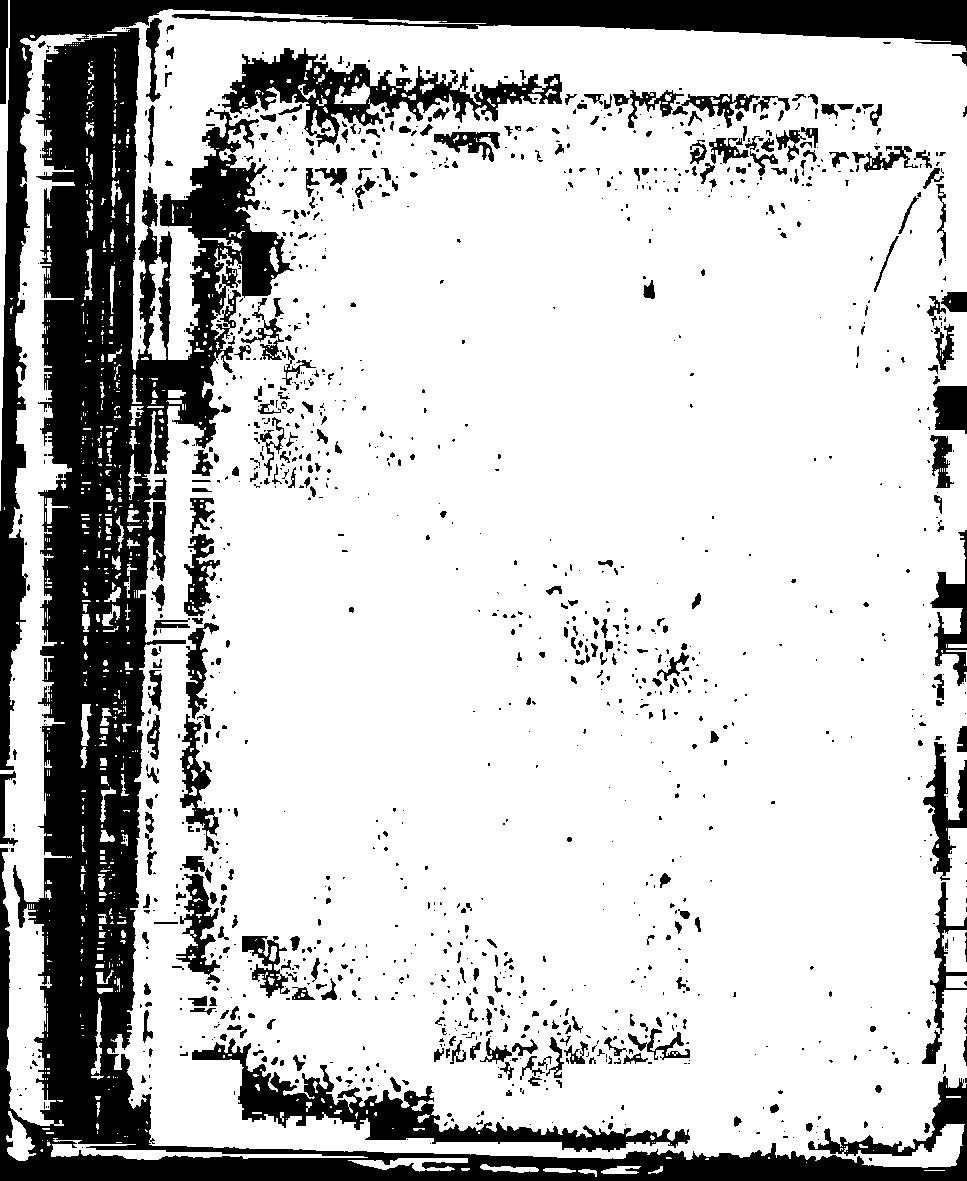
Te upominki i ten pocałunek,  
Zazdrośnej ziemi Szecha ukradzione,  
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło.  
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.  
Potem wróciłem do płóciennej nory,  
Schować się w cieniu jak nocne potwory.  
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,  
Ani mię ludzie widzieli na stepie.  
Stałem się jako zdziecinniali starzy —  
W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,  
Tylko te siwe i okropne lica,  
Które mi wzięła zarazy martwica!  
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną  
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.  
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,  
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;  
I często dziwnym natrafiłem losem  
Na głos, co moich hyl dzieciątek głosem.  
Z obłąkanego budziły mię śnicia  
Po nocy hycn przeraźliwe wycia,  
Tam nad trumnami... i słuchałem błady  
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.  
Stałem się wreszcie jak wąż gdy ochłodnie —  
I przechodziły mi dnie i tygodnie,  
Bez żadnych bólów, pamiętek, omamień.  
Stałem się twardy i zimny jak kamień.  
I raz — ach, boska nademną opieka!  
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —  
I ach! — nie była to już twarz człowieka.  
Lecz głowa mego starego wielbłąda.

Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną;  
Ze rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście,  
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.  
O! gorzka wolność i chwila odlotu!  
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;  
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,  
Będę wyrywał koły i powrozy,  
Które — o! Boże wiekiuisty świeć mi! —  
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.  
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!  
A może tobie posępnym szelestem  
Te płótna więcej boleści powiedzą?  
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!  
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?  
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,  
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem....  
Wszak ty nie jesteś synu, moim synem.  
Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótna  
Straszne się muszą obcym ludziom zdławać  
Śmierć od zarazy?... ach! to śmierć okrutna!  
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,  
Potem cię ogień pali, piersi gora,  
Ach! ja tak moich widziałem ośmiro!  
I co dnia patrząc na tak konające,  
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.  
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróźnych,  
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych.  
A nie zostało mi nic — oprócz Boga;  
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!





# POEZJE ULOTNE.

— 625 —

## GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczory,  
Są hymnem tego świata — a ten hymnu posępny,  
Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępny,  
Wpada między grające przed Jehową sfery,  
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przekłeta,  
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.  
Szczęśliwy kto się w ciemnych marzeń zaniknął ciszę,  
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy —  
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić;  
I przeszłość jako obraz ściemniały i płowy,  
Pełny pobladych twarzy, ku słońcu odwrócić —  
I ściagać okiem światła obrazy i cienie,  
Jak lśniące rozprysniętych kawałkam kamienie,  
Tam — pod okiem pamięci — pomiędzy gór szczytem,  
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska  
Z doliny, wązkim nieba nakrytej błękitem,  
Czarowne, gdy w mgie nocnej wieńcem okien błyska,  
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,  
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.  
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,  
I z szumem w kręte ulice wpadają załomy.  
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,

Większa nad inne, miastu panująca cieniem;  
Stary, posepny zamek, który czołem trzyma,  
Różne przybiera kształty, chmur łamany wirem;  
I w dzień strzelnie błękitnych spogląda oczyma,  
A w nocy jak korona, kryta żalu kirem,  
Często szczerby wickowe przesuwają powoli,  
Na srebrzystej księżycy wachodzącego twarzy.  
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,  
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy;  
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,  
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;  
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,  
I ujrzy je zmysłami, pozna blade mary,  
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,  
Dziś chleb ten zgorzkniał, piolun został w głębi czary.  
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,  
Odwrócił oczy — serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ściecha,  
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,  
Ma sen całego życia... A gdy tak przemarzają,  
Dzieci na świat nieznaną smutną patrzą twarzą.  
I białym przerażają czołem od powicia;  
Smutne pomiędzy ludźmi, bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali,  
Siedziało dwoje dzieci — niezmięszani w tłumie.  
Oba wo spółzawodnej wykarmieni dumie,  
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.  
Młodszy wiekiem nadzieje zapowiadał,  
Piers mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;  
Włos na czole dzielony na ramiona spadał.  
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.

Widać, że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką  
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.  
Ludzie nieraz „on umrze“ mówili przed matką:  
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy,  
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie  
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga.  
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie  
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!  
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,  
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecię:  
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.  
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.  
Pożerał książki, mówił jak różne narody;  
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,  
Trawił się; jego oczy ciemne i błękitne,  
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,  
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,  
Tonąc w otchłań marzenia, sły prostemi loty,  
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.  
Gdy patrzył w niewidziane oczyma obrazy,  
Ludzie obłądność w oczach widzieli — lecz skazy  
Żadnej dostrzedz nie mogli. Młoda pamięć obu,  
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,  
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha.  
A przeczuciami życie widzieli do grobu.  
I nie ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,  
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,  
Nie odwracając lic. W ciemnej, szkolnej sali,  
Smutna poezja duszy dała dźwięk uroczy.  
Na ciemnych, mglistych szybach zawieszając oczy,  
Wiosną, wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali

Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory  
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem;  
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,  
Twarze, umalowane zimnemi kolory,  
Obracali na stronę z kąd przyjść miała wiosna,  
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.  
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękicie,  
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna,  
Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,  
Wynaleźli woń tęskną, dziką i ulotną:  
Była to woń wierzbami oplakanej wody;  
Z cichej fali wstawiała każdego wieczora,  
Tajemniczo w powietrzu rozlewając chłody.  
Potem jesienią dzieci wyobraźnia chora,  
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,  
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,  
Smutna poczja duszy oba serca żywi;  
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,  
Odmienne czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,  
Młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydłą,  
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.  
Młodszy marzenia stroił czarnoksiężką szatą,  
A potem, silną wola, rzucał je przed siebie,  
I stawały — i widział przed sobą obrazy,  
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:  
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,  
Że się zapozna myślą z myślącym ludzi tłumem.  
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.  
Jego towarzyszył, większy nauką i laty,  
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;  
Sprzął razem i powiązał dwa niezgodno światy.

I nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy,  
Budził i rzeczywistość zimna roztrącała.  
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,  
Posągom jego myśli brakowało ciała.  
Dusza, jak w kryształowem zamknięta przezroczu,  
Patrzała na świat dzikiem obląkaniem oczu,  
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci, myślą dwoistą i duszą,  
Składali jedne, piękne całością obrazy.  
W dnie wiecenne, przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,  
Gdzie nad niemi różowe rozkwiatały ślasy,  
Gdzie wisnie jak dziewice, w białych wiosny szatach,  
Między zarumienione kryły się jabłonie;  
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,  
Zamieniali słowami uczucia wzajemne.  
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,  
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku  
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,  
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku —  
Niebu Tytanowemi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,  
W światło zbite u góry, w ciemność spodem złane;  
Tych ogniwa jak szczeble wschodów połamane,  
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy —  
I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,  
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,  
Różnem życiem przez wieki rozkwita — i kona  
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów.  
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,  
W człowieku myślą, światłem staje się w aniele.  
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,

W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.  
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie —  
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje,  
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.  
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;  
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,  
Ziemiemi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.  
I co dnia, z łona Boga, dusz zagasyłych tłumy  
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina,  
Kaźda się w kształty ziemskie kryształy i ścina,  
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,  
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzewiałe twory;  
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie. —  
Patrzac na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,  
Oni widzieli: którzy z łona Boga spadli,  
I po schodzących szczeblach szli w otchłań i bladli.

W duszy dziecinnej, woli czaruksiężka siła,  
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,  
Niewyjawiona słowy, często w ludzi biła:  
Zaczarowanie wola, nazwali — zacyciem.  
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,  
Którą, z klęczących dziewic natrafiwszy losem,  
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;  
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,  
I pośród tłumy ludzi, jej wzrok w zadziwieniu  
Nieobłądnie rzucouy, na twarz dziecka padał,  
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał;  
Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,  
Mówił: „Słyszysz mój luby, jak obecna chwila

Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy?  
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla  
Smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną!  
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,  
Niż gdy w sercu zamknięte — moje myśli gasną,  
Słów nie cierpią — lecz nieraz w godzinie tajemnic,  
Tłumnomi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,  
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic;  
Abyś je wywiódł na świat, słów otworzył drogę.  
Niech mi świat da poezję — dać mu jej nie mogę.  
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czezą myślami,  
Przepaść ciemną, głęboką; napelnę ją życiem —  
Jeżeli nie wystarczy? biada! ciąglem gniciem,  
Stanę się myśli grobem — lub umrę przedwcześnie.  
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie:  
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.  
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,  
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów;  
Myśl moja, niewstrzymana, w te krainy goni!  
Chciałbym jak duch w kwicistej roztopić się woni;  
Chciałbym jak liść nieznaną paść tam w głębi lasów.“

Gdy tak marzył — to wianiec i kwiaty ogrodu,  
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła,  
I wkrótce marzeniami ognistemi wschodu,  
Zamknęła go w płomieni kole i obiegła.  
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,  
Gdzie długo patrzył w Koran, zwierciadło Kalifów;  
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,  
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.  
Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.



Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma,  
Poznało miłość.... Pierwszą i ostatnią była,  
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła —  
Widziałem go przy stopach dziewicy-aniola —  
Czarnemi weni oczyma patrzała i bladła,  
Myśląc o dziecku życiu, bo z wielkiego czola,  
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.  
Więc odwracała oczy, a wtenczas lzy lała.  
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała,  
Czerniła się na wieki miłością daremną.  
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną,  
Ze wspomnieniami szczęścia, chciała zbroić niemi  
Przeciwno własnej duszy, i czczym chwilom ziemi.  
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,  
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,  
Ze we wspomnieniach dziecka złane, dały dźwięki  
Podobne do miłości zeznanej wyrazu,  
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,  
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,  
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.  
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,  
I rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia  
Wnosił, jaki blask przyszło wspomnienia nadadzą  
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą  
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,  
Smutny i połamany przyszłością niepewną,  
I na wesołą chwilę twarzą patrzył rzewną;  
A nieszczęście przyjmował pół-smutnym uśmiechem,  
Patrząc na nie z przyszłości. Był to wzrok wędrowca,  
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,  
I ztamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatował ciemne,  
Gdy pod ich kołmi iskry sypały się z glazów;  
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,  
Jak do snu kołysani, marzący jak we śnie.  
A dziecię bólem uczuć złamane przedwczesnie,  
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumem.  
I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosa  
Kładło się bladą twarzą, sosen słuchając szumu;  
Tam uspionemu myślą, wiatr rozwiewał włosy,  
A myśli rosły wielkie, ciemno, tajemnicze,  
Jak gwiazdy ogromnemi płynące obroty.  
Lub w niebo kładł się twarzą — wtenczas na oblicze  
Padalo światło lasów — promień słońca złoty,  
Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.  
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity,  
Nad głową mu odmykał gąłężyste bramy,  
Zkąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach, ów drugi młodzieniec powrócił,  
Biegły wschodnich narodów tłumaczyć się mową.  
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił,  
I rzekł: „odjeżdżam na wschód, w krainę palmową“  
A potem umilkł nagle. O jakże odmienny  
Od marzącego dziecka: pobladał, jego oczy  
Oblakane jak dawniej, lecz wzrok miały senny;  
Widać, że myśl co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,  
I wbija go do ziemi. Jakaś tajemnica  
Niedocieczona spała w rysach martwych lica.  
Mało mówił — tylko raz wpośród dzikich sosen  
Wykrzyknął z oblakaniem: „Ginę marzeń zdradą!  
Wysylają mię w kraje bez zim i bez wiosen —  
Chcą mię zabić!“ — A potem uśmiechnął się blade,  
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.

Potem wzięwszy uściski matki, druhów, bratnie,  
Odjechał i w drugiego dziecka imionuiku,  
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:

„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,  
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawiał,  
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,  
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci“.

Wkrótce potem, pamiętam, o księżycu wchodziło,  
Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy,  
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy.  
Z drzew opadały liście, i w całym ogrodzie  
Zaledwie kilka kwiatów szronami srebrzystych;  
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych —  
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.  
Tego wieczora dziecię, ustami drżącemi  
Aniła snów dziecinnych zęgnęło na wieki;  
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,  
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,  
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,  
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,  
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,  
Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy  
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,  
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem —  
Serce jak kryształ w setne poryło się skaży,  
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby  
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie;  
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,  
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;  
Lecz nie było w niej wiary w szczęście, ani w Boga.  
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.  
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,

Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny;  
Ta budowa, ciężkimi myślami sklepią,  
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,  
Musieli wprzód jak wiecey szatani Miliona,  
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...  
Wzniósł twarz — już nad nim młodej nie było dziewicy!  
Długo dumał — bo księżyc pół nieba przepłynął,  
I patrzył drugą stroną dębowej ulicy,  
Jak lampa w końcu ciemnej klasztornej arkady.  
Młodzieniec zadumany, patrzył w księżyc błady,  
Potem nagle uspioną budząc się pamięcią,  
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią;  
I przy księżycu świetle czytał nieruchomy,  
Na nieznanym liście, podpis nieznanomy.  
A w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel wysłany w piramid krainy  
Jako drogman poselstwa, zjechał po drodze  
Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni hawił —  
Niewinnej wesołości długie puścił wodze,  
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.  
Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem  
Jak po jesiennym liście chodził smutny, cichy —  
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,  
Potem wielkie, strzemienne, podano kielichy —  
Zegnał się — za lzy dawał wesołe uściski,  
I puharem o nasze puhary uderzył.  
Odszedł. Wtem uczynujących strzał przeraził blizki —  
Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył!•  
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni,  
Spoczywa na rozdrożu — wśród leśnej ustroni.

Książd grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,  
Ze samobójstwo było w młodzieńcu chorobą  
Obląkania, ciemnoty, szału, nierozumu....  
Ten wypadek dom cały napelnił żałobą<sup>4</sup>.

Oto jest romans życia, niesklamany w niczem —  
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,  
A drugie, z odwróconem na przeszłość obliczem  
Rzuciło się w świat ciemny....

Powieść nieskończona. —

1882.



## P A R Y Ż

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona  
Powstają gmachy połamanym składem;  
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,  
Gdzieniegdzie ulic przeświecone śladem.  
Gmachy skreconym wydają się gadem,  
Co zębem dachów, łuską się najeża.  
A tam — czy żądło oślinione jadem?  
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?  
Wysoko strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodom! pośród twych kamieni  
Mnoży się zbrodnia bezwstydną widomie!  
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,  
Lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie —  
Sto dział go poszle. — A na każdym domie  
Kula wyrzje straszny wyrok Boga;

Kula to mury przepali, przełomie,  
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,  
I większa jeszcze rozpacz — bo to kula wroga....

I już nad miastem wisi ta dział chmura,  
Dlatego ludu zasępione tłumy,  
Dlatego ciemność ulic tak ponura,  
Przeczcuciem nieszczęść zblakane rozумы;  
Bez echa kona słowo próżnej dumy,  
O wrogach ciągle toczą się rozmowy —  
A straż ich przednia, ich północne dżumy  
Obrońców ludu pozwiewały głowy,  
I po ulicach ciągly brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic  
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,  
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,  
Luni ponurzy, bladzi, krwią ociekli —  
Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli.  
Lud cały kona, katy i obrońce.  
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;  
I przeczuwając krwawej zorzy końce,  
Jak Jozue wołali: dnia trzeba, stój słońce!

I nie stanęło — pomarli przedwcześnie,  
Lecz zostawili pamiątki po sobie,  
Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,  
I lud, nie po nich, ubrany w żalobie.  
I krwi trójęc w jednej wcieloną osobie — <sup>1)</sup>  
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,  
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,

---

<sup>1)</sup> Napoleon.

Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma  
Sięgnął, tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,  
Tysiące ludu sławą się dzieliło,  
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,  
Każdemu było dosyć, nadto było...  
Maizą o dawnej sławie nad mogiłą.  
I pod kolumną spiżu wszyscy posną; <sup>1)</sup>  
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło.  
Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną,  
Chwasty z liljami Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,  
W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.  
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany.  
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.  
A całej nędzy nie wyjawię światu —  
Twarze z marmuru, serca marmurowe.  
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu,  
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę —  
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

.....

Zdala od miasta szukajmy napisów,  
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze. <sup>2)</sup>  
O! jak to smutno, kiedy wśród cyprysów  
Poblądle w cieniu chowają się róże!  
A pod stopami — dalej — miasto w chmurze,  
Topi się we mgłach gasnących opalu —

<sup>1)</sup> Kolumna Vendome.

<sup>2)</sup> Cmentarz Père la Chaise.

A dla żalobnych rodzin przy tym murze,  
Przedają wianki z płótna lub perkalu,  
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz na mgłę miejską — oto wież ostatki,  
Gotyckim kunsztem ukazalona ściana <sup>1)</sup>  
Rzekłbyś, że zmarła matka twojej matki.  
W czarno brabanckie koronki ubrana,  
Z chmur się wychyla jak duch Ossyana —  
Ludzi się dojrzyysz. — Lecz nad mgłami fali,  
Stoją posągi (gdzie plynio Sekwana) <sup>2)</sup>  
Jakby się w Styksu łodzi zatrzymali,  
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali —

Tam gmachy Luwru gdzie tron Baltazara,  
A na nim siedział wyrobnik umarły;  
Przez dnie lipcowe panowała mara,  
U nóg jej ludzie snuli się jak karły;  
Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły  
Wielkość olbrzymią — był to król narodu.  
I aksamity krew mu z czoła starły.  
Lecz jego dzieci umierały z głodu.  
Zaczął dynastją trupów, był ostatnim z rodu. <sup>3)</sup>

1831.



<sup>1)</sup> Kościół katedralny Notre-Dame.

<sup>2)</sup> Most zgody, albo Ludwika XVI. z białemi posągami.

<sup>3)</sup> Po wzięciu Luwru, na królewskim tronie lud położył trupa.

L I S T

DO ALEKSANDRA H.

(pisany na łódce nilowej)

Rozdzielił nas gościniec plynnego szafru:  
Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.  
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie  
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;  
Razem odwiedzać mumii balsamiczne składy,  
Razem oczy w nilowe rzucać wodospady,  
I razem, jako dawniej, kończyć spór zacięty:  
O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.  
Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz;  
Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;  
A twój brak tak mi serce w podróży oziębia  
Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.  
Nad leniwą więc myślą używając musu,  
Już zapisałem listem listek papyrusu.  
Kupcząca ludzkim ciałem łódź, płynąca z Nubii,  
Dostarczyła posłańca, co błękitem lubi  
Nosić listy, wracając pod rodzinne palmy;  
Tak więc piszmy do siebie; przeczytawszy — spalmy.

A naprzód, pytam ciebie, gdzie mułowy wrątek  
Wexbranych fal na Nilu ma bieg i początek?  
Bo gdym o tem rozmawiał z nad-nilowym żeńcem,  
Rzekł mi: „Nimfa, lotusów ustrojona wieńcem,  
Siedząc smutna pod skałą czarnych Etyopów,  
Ostrożnie sący dzbanem ojca naszych snopów;  
Lecz kiedy się zapatrzy twarzą na kochanka,  
Wtenczas z przechylnego Nil wybiega dzbanka,  
Aż się na polach naszych strumieniem roztoczy.“  
Powiedz mi, czy widziałeś tę Nimfę na oczy?



Czy taka, jak wiezione Abissy na sprzedaż?  
Czy nie zostaniesz przy niej? czy serca jej nie dasz?  
Lękam się, że ta Nimfa do zniknięcia skora,  
Zbliżka widziana w błotne zmieni się jeziora,  
Z których każde w dolinie, bez kwiatów i drzewa,  
Przez rok cały, deszczami tropików nabrzmiowa;  
Aż zwiększone ulewą i skalnymi ścieki,  
Rzuci wszystko Nilowi gardłem białej rzeki.

Wroście wszystko to twoje „positive“ rozwiąże.  
Ja wiem tylko, że dla mnie Nil dotąd wód księżo;  
Piękny kiedy błękitem żeni się z palmami,  
Co stoją wiatrem lekko wahane nad wsiami;  
Piękny, gdy pokazuje płaskie pustyni łądy,  
Gdzie o słońca zachodzie przechodzą wielbłądy,  
Mrówki pustyni. Piękny dla oka pooty,  
Gdy stojące nad sobą białe miaroty,  
Podwójnie i w błękitach pokaże odwrótno;  
Gdy ma senne bociany, jak za Polską smutno;  
A jeszcze bardziej oczy i duszę zachwyca,  
Gdy w nim za-palmowego widzę wschód księżycy.

Piękność Nilu dla ciebie małą jest zaletą,  
Którego Nilem wiodą Strabo i Manetho.  
Epok nie mierzysz dniami, ni wypadków czasem,  
Era Franków: „gdy jeszcze cesarz był kapralem,  
Małą dla ciebie, który dziś patrzysz z wysoka  
Dalej, niż ludzie krótszej pamięci i oka,  
Ja także będę z tobą jak w rozmowie szczery:  
Należę do liczących czas na krótsze ery.  
Ja chcę prędkich rozkwitnień owoców i zgonów!  
Gniewa mię nieruchomość długa Faraonów;  
Wolę dzisiejsze czasy burzliwsze, choć dla nas

Król jest każdy jak dziwnie rosnący ananas:  
Zerwiesz koronę, owoc odkąsasz.... o wiośnie  
Z korony odkąszonej nowy król odrośnie.

Dla mnie rzecz mało-ważna i z niczem ta sama,  
Że Manes był zjedzony przez hipopotama;  
Chciałbym tylko dziś widzieć królobójcę zwierzę.  
Mało dbam, że ze wschodu przybyli pasterze,  
I laski zamieniwszy na berła lub dzidy,  
Kładli na piasku kamień pierwszej piramidy.  
Że z Egiptu wygnani przez rodzime syny  
Założyli w Judei straszne Filistyny;  
I tam mniej twardą sztuką stawiali budowy,  
Kiedy je hardy Samson mógł rzucać na głowy.  
Jednak widzę wypadek jeden.... okiem wieszczą:  
Mojżesz królowi wolę Jehowy obwieszczą!  
Pomiędzy rzędem Sfinxów czoło wzniosł ogniste,  
Król go słucha.... nad królem słońce idzie mgliste;  
Obląkane w szarańczy zwichrzonej motyli.  
Tam dalej Nil, lecz zobacz co niesie? krew w Nilu!  
Przy tronie Faraona, z pokręconym słupem,  
Stoją królewskie syny.... jeden pada trupem.  
Krzyczą matki, poblady starych ludzi twarze, —  
Takich obrazów stary już świat nie pokaże.

Wielkie czasy, gdy w królów zanicione lochy,  
Z królewskich ciał nie mogły uczynić się prochy.  
I stała się na ziemi trupów nieśmiertelność!  
I pod ręką ważących glazy robotników,  
Zaczynała się wieczność światowa pomników.  
Na ziemi trup odbywał sądzenie Erebu,  
Można było królowi zaprzeczyć pogrzebu:

A że znalazł się człowiek tak wielkiej odwagi.  
Świadczą w łonach piramid próżne sarkofogi.

Ten wniosek, może wniosków uczonych nie bliski,  
Rzuciłem w porfirowe umarłych kołyski.  
Gdy wejściem pod sklepienia piramidy dumny,  
Przy świeczniku Araba zaglądałem w trumny.  
A ty może zaprzeczysz zdań uczonych różność,  
Rzucając w gadającą piramidy próżność?  
I wielkie echa, ludzi nie mogąc przekonać,  
Będą w łonie grobowem budzić się i konać.  
Wyznam ci, że mi widać głębiej i wyraźniej  
Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.  
Jakże się pięknym zdaje przy dumań pochodni:  
Makbet, ta granitowa piramida zbrodni!  
Ludziom na nią wchodzącym błędną z trwogi twarz.  
Płaczesz nad piramidą nieszczęścia w Learze.  
Z niczego, a zazdrością już szatana bliski,  
Otello, jak bodzące niebo obeliski.  
Jeśli gmachy piramid miały otwór ciemny,  
Zkąd gwiazdy niebios człowiek wyśledzał tajemny,  
W Szekspira gmachach równie zostawiona droga  
Patrzącemu się oku na błękit i Boga.

Jako skarby zakłete, strzeżone przez gryfy,  
Stoją dotąd nieznane światu hieroglify.  
Trup od wieków uspiiony, gdy zeń wieko spada.  
Zdaje się, że w balsamach śpi i przez sen gada,  
Lecz nie możesz zrozumieć! Z długimi przestanki  
Idąc, prawie połowę drogi uszli Franki.  
Już wiadomo, że w tamtą stronę czytać znaki.  
W którą lwy ryte patrzą, w którą lecą ptaki.  
Sto razy napisane Psametyk i Psychon,

Wyświecili dziwaczny wieków akrostychon,  
Od zwyczajnego pisma narodów odrodek,  
Zlany z liter, wyrazom trzymających przodek.  
Lecz taki sposób pisma miał sobie zaletą,  
Że pisarz mógł się zrobić w literach poeta.  
Tak w imieniu wyrytem nad marmuru brusem:  
M. rycerskie lwem było, dziewicze, lotusem.

Piękna dziś, gdy się skreśli na łonie błękitu  
Mumja myśli, z jednego wycięta granitu,  
Strażniczka niemyślących grobowców od wieka,  
Która na dawnych panów zbudzenie się czeka  
Z dawnymi wspomnieniami! Kiedy patrzę na nią,  
Chciałbym z tobą wiekową nurkować otchłanią;  
Być tam, gdzie podpalmową zrobiła się chatką  
Saia, będąca niegdyś Ateńczyków matką.  
Pojąć, jak ci wychodnie, nazwawszy się Grecy,  
Od mglistych horyzontów palmowych dalecy,  
Smutni, że kolumn żywych brakowało oku,  
Zaczęli ją z kamienia malować w obłoku.  
Porównać Luxor z domem współczesnym Ewandra,  
Egipt dać Persom, Persów bić przez Aleksandra;  
Widzieć wojsko w egipskim pogrzebane pyle,  
Króla synem Jowiszem — i prochem w mogile.  
I Egipt odkruszony w Ptolomejów dłoni,  
Laur naukowy długo noszących na skroni:  
Aż zanurzeni w czasie i wypadków rzekę  
Oddali się z berłami w Cezarów opiekę.

I patrz, człowiek zrodzony w Tentyrze nad Nilem  
W Rzymskiej sadzawce walczy z wrogiem krokodylem!  
Płaz olbrzymi nań leci, już go chwytą w paszczę,  
Ilot nań wskoczył, zabił... Koloseum klaszcze.

Na plażie pokonanym usiada gladiator:  
Palmy, Nil, kolumnowy kościół boskiej Athor,  
Zonę, dzieci i chatę przypomniał glinianą;  
Na plażie, pod klaszczącą z żywych ludzi ścianą,  
Oczy zakrył przed ludźmi, czy przed słońca blaskiem,  
I pojął, że się można urągać — oklaskiem.

Wzięty z pomiędzy ruin, prochów, pogorzeliś,  
Pożedł po obcych krajach błąkać się obelisk,  
Wygnaniec, już jakoby samolub z kamienia,  
Zebrakowi na czoło nawet... nie da cienia!  
Z nikim nie gada, stoi myślą w krajach ducha;  
Gdy na księżyc fontanna rzymska pod nim bucha.

Dziś gorsi, i podobni do Mojżesza plagi,  
Cudzoziemcy wynoszą z grobów sarkofagi.  
Anglik dumny w szterlingi zmienione na piastry,  
Rzuce trupy, trumiane bierze alabastry,  
I w Londynie zachwyca zgrają zadziwioną,  
Wstawiwszy świecznik w próżne alabastru łono.  
Rzekłbyś wtenczas, że wszystko płaskorzeźby rusza  
Chrystusową nauką ożywiona dusza,  
Ze pełny nauk, ciemną przyszłością straszliwych,  
Grobowiec oświecony stał się lampą żywych.

„Nie ma go tu“ powiedział anioł Magdalenie  
Zazierającej w grobu skrwawionego cienie.  
Taką odpowiedź tobie Arabi wyniosą  
Z pustych katakumb: „nie ma ich tutaj“ lecz gdzie są?

Zamiast balsamu tego, co trupy przechował,  
Chrystus nam łona naszych dusz nabalsamował;  
I duszę ludzką... duszą namaściwszy własną.

Uczynił ją na wieki niezgonną i jasną.  
Już na palmie egipskiej naukę zaszczerpił,  
Już się był tym balsamem Egipcyanin krzepił;  
Już z grobowców nauki uczyniwszy pszczelnik,  
Na Tebaidzie święty zamieszkał pustelnik,  
Czyniąc mogiły... wiary podobne latarniom,  
Gdy Omar straszny głowom, gmachom i księgarniom,  
Kraj, sto razy różnymi pługami przeoran,  
Pod ogniasty proroka dał bułat i koran!

Lecz dosyć już, bo sądzę, nowy księżyc przyjdzie  
Oświecać nas w grobowców pełnej Tebaidzie;  
Tam niech inni o życia rozmawiają fraszce,  
Pałac świecę w poźółkłej pustelnika czaszce.  
My, chcąc pojąć jak niegdys żyli ludzie sławni,  
Staniemy się myślami i rozmową dawni,  
Aż się tak obłąkamy w wypadkowym lesie,  
Jak w palmach biały gołąb, co ten list poniesie!

1836.



## H Y M N.

Bogarodzico! Dziewico!  
Słuchaj nas matko Boża,  
To ojców naszych śpiew,  
Wolności blyszczy zorza,  
Wolności bije dzwon,  
Wolności rośnie krzew.  
Bogarodzico!  
Wolnego ludu śpiew  
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos rycerze!  
Niech grzmą wolności śpiewy,  
Wstrząsną się Moskwy wieże:  
Wolności pieniem wzruszę  
Zimno granity Newy;  
I tam są ludzie i tam mają duszę —

Noc była. Orzeł dwugłowy  
Drzemał na szczycie gmachu  
I w szponach niósł okowy —  
Słuchajcie! zagrzmiały śpize  
Zagrzmiały — i ptak w przestrachu  
Uleciał nad świątyń krzyże.  
Spojrzał — i nie miał mocy  
Patrzeć na wolne narody,  
Olśniony blaskiem swobody  
Szukał cienia — i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam Litwini  
Jeżeli w Gedymina grodzie,  
Odpocznie ptak zakrwawiony,  
Głos potomności obwini  
Ten naród — gdzie czczą w narodzie  
Krwia żarzewiałe korony.

Wam się chylić przed obcymi,  
Nam we własnych ufać siłach;  
Będziem żyć we własnej ziemi  
I we własnych spać mogiłach.

Do broni bracia! do broni!  
Oto ludu zmartwychwstanie!  
Z ciemnej pogrzebienia toni,  
Z popiołów Fenix nowy  
Powstał lud — błogosław Panie!  
Niech grzmi piciań jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!  
Słuchaj nas matko Boża  
To ojców naszych śpiew.  
Wolności błyszczą zorza,  
Wolności bije dzwon,  
I wolnych płynie krew  
Bogarodzico!  
Wolnego ludu krew,  
Zanieś przed Boga tron.

1830. Grudzień.





## P I E Ś Ń

LEGIONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!  
Słońce dla niej błyszczy chwałą,  
Tyle serc dla Litwy bije,  
Tyle serc już bić przestało!

Trzeba być glazem! trzeba być glazem,  
Cierpieć to więzy rdzawione pieśnią,  
Myśmy się za nie mącili żelazem,  
I wolną myślą, i wolną pieśnią.

Zadrżały wrogi

Pieśń to ponura

Te żmudakie rogi:

Jezus Marya! naprzód! hop, hop, urra!

Nauczyl nas Teutony  
Śpiewać jako nam śpiewali.

Legiony! Legiony!

Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!

Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,  
Jakże się rozstać z ojców grobami?

Chyba odwiecznym powiemy prochom:

Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!

Zemsta na wrogi i t. d.

Gdy car groził Olgierdowi,  
Odrzekł posłom Olgierd stary:

„Nieście pochodnię carowi,  
Nim zgaśnie powitam cary.“

I za posłami tej samej nocy,  
Obozem stanął na Moskwę górach;

Panował miastu jak orzeł w chmurach,  
Wszedł z jajkiem kraśnem w dzień Wielkiejnocy.

Zadrżały wrogi,

Pieśń to ponura,

Te żmudzkie rogi:

Na grom Perkuna! naprzód! hop! hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy

Nam rozkwitnie kobiercami;

Trud zapłaci wzrok dziewicy,

Pomięszany śmiech ze łzami.

A kędy baszta mchami okryta,

Zbudzony pieśnią kamień z tej wieży

Może się zerwie, do stóp przybieży

I Giedymina wnuków powita.

Dalej na wrogi i t. d.

Nikt nas teraz nie obwini,

Nikt na świecie nie zapyta:

Czy jeszcze żyją Litwini?

Oto Pogoń nasza świta!

Lecz nie pytajcie: czemu tak mała

Garstka chorągwią mężnych powiewa?

Więcej nas było — lecz z tego drzewa

Burza niejednen liść oberwała.

Zemsta na wrogi i t. d.

Ho! zaszumy proporcami

Co wolności barwą świecą;

My lecimy, a za nami

Orły! orły! orły lecą.

Na nasze głowy jak szronu kiście

Spadają gromy — legion umiera,

Jak laur zdobiący grób bohatera...  
Kto cheiwy sławy — rwie lauru liście.  
Zemsta na wrogi,  
Pieśń to ponura,  
Te żmudzkie rogi:  
Jezus Marya! naprzód! hop! hop! urra!

1880.

~~~~~  
K U L I K.

Oto zapusty! dalej kulikiem.
Každy wesoly a každy zbrojny,
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem palaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej! kulika w przyjaciół chaty —
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziawać balowej szaty
Ani okrywać czoła żalobą.
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą —
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska — rade nam dwory —
Nie trzaskaj z biczka — niechaj śpi lichu.
Szybko po drodze tak jak upiory
Śmigajmy szybko — cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą
Jak blyakawica,
W okrąg księżycą,
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą.

Cha! cha! cha! jak nam wesolo.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie —
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać — więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie. — My bez pomocy
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej! — i t. d.

Stójcie tu! stójcie! oto dwór biały
I światło w oknach — dam znak — wystrzelę.
Odpowiedziały mnogie wystrzały.
Ha! dobra wróżba — wszak tu wesele.
Tu szlachta pije, wyprawia gody
Drużby za nami! swaty za nami!
Od młodej panny chodź panie młody,
Lecz nie patrz na nią — zalana łzami,
A trzy kobiece zmiękcza ci serce —
Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce
Teraz za nami — tak z bukietami,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica
Dam znak, wystrzelę — nie, ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy —
Przebóg! tu pogrzeb — bliższy gromnica —
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna — a koło truny,
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło —
Ha, ha! co robić? tu nie wesolo
Lecz po co długie prawić androny:
Mój panie synu prosimy z sobą.
Daj na pacierze — zostaw na dzwony,

Zabierz przyjaciół. — Z czarną żalobą
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szalencie zamieszkał — więc drzwi uchylę —
Zielonym suknem stolik wybity
A na stoliku świecą pamfils.
Panowie szlachta! do diabła karty —
Dalej do broni! a karty w kąty!
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I delfin, grają — może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucal papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną. — Mości panowie!
Niech w karty sami grają królowie!
A my do koni — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maskary;
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory —
Słuchaj no! słuchaj! mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie — mniejsza o to: Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna —
Już w oknach wszelkie światło pogasło.

Dam znak, wystrzelę, nie, po co hasło?
Tu śpią, nie słyszą — nie nasza wina,
Ze sen przerwiemy. — Stukam wo wrota —
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
— „O nie — on nie śpi — pan mój i dzieci,
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze;
Wyszli na czele zbrojnej czeredy —
A teraz cicho, pusto we dworze,
Wyszli na wroga, czy wróca kiedy?⁴
Widzicie bracia, myślą pozory;
Takiemu panu błogorzław Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! i. t. d.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą, a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżycy,
Droga skończona, oto granica,
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa....
Oto jest kulik Polaka.

1880.

~~~~~  
D U M A

O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,  
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem.

Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba  
Odwiedzał proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.  
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,  
I stał przed kościołem, i kornem bił czołem,  
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,  
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,  
Błądzący po świecie zaufał w sztylecte,  
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,  
By odciąć drabinę wziął sztylet kochanki;  
Choć broń była żeńska, lecz stał Damasczeńska,  
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,  
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.  
„Żyj długo — bądź zdrowa, dziewico stepowa,  
Twój sztylet połóż mię w grobie.

Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,  
Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,  
Bo dzięką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę.  
Twój sztylet mieć muszę przy sobie“.

Smutnego uniosły arabskie latawce,  
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce  
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie  
I białą zastonę... O Lachu

I nocą obaczył kraj unity rodzony,  
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony  
W noc nawet i ślepy poznałby te stepy,  
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,  
I marzył, że wierny drub wyjdzie przed wrota.  
Lecz druhów nie było.... Pod zimną mogiłą  
Posnęli — gdy błędził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu;  
Lecz jeszcze z dziedzina, od wrót swego domu,  
Odwrócić chciał konia i jechać na błonia  
Gdzie błędzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkuto od krzemion,  
I koń był zmęczony.... Więc skoczył ze strzemion  
I wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,  
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały  
Nad ciemnym Smotryczem — gdzie orzeł żył biały,  
I wil sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,  
Po nieba szybując błękiecie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,  
I żłoby pozłacał — z kryształu dał ściany.  
Przed cara żołdakiem, mógł uciesić tym ptakiem  
Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał  
Szybkiego tak konia; więc każdy oniemiał,  
I był jakby głazem, pod cara rozkazem.  
A były rozkazy co krwawsze.



Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,  
Ten Emir arabski w dzień Pańskich Narodzin,  
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem  
Połamał opłatek i spożył,

A potem jak przodków święcono zwyczajem,  
Wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:  
„Żyj Polsko wiek sławy!“ Wtem goniec z Warszawy,  
Przyleciał — zawołał: kraj ożył!

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,  
A za nim na koniach buńczuczne kozaki,  
W czerwieni i bieli, po stepach płynęli,  
Po smutnych kurbanach przeszłości.

I cały ten szereg błyszczący od stali,  
Zrównanym galopem jak morze się wali;  
Gdzie słycać dział huk, tam lecą buńczuki,  
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira kozaki gdy błędzą przez wrzosa,  
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.  
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,  
Pieśń grzmiąca: „Ho! urra! nasz Emir!“

Do cara pieśń doszła — wściekłością się pienil,  
I głowę Emira na ruble ocenił,  
Bo myślał, że w kraju, z hordami Nogaju  
Czyngiskan szedł, Batt, lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stopowy,  
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,

I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali,  
Podkradać się, bić i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali, pod Daszów,  
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszków,  
Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem  
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybito się słońce,  
Ujrzeni Moskalów, straż przednią i Dońce.  
Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota  
W bagnety porosła jak zboże.

I cicho. — Wtem bomba śmierciami ciężarna  
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna.  
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,  
Do nieba wołali: „O Boże!”

I razem bomb tysiąc zaryło się w stopy,  
Rozpękłe wręciami ciskały czerepy,  
I grzmiały dopokąd piechoty czworokąt  
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ścisnął, w telazno brał skręty,  
Przednimi nogami na bagnet koń wspięty,  
Tak jak oczerety, połamał bagnety,  
W złamanych miecz wiał błyskawica.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny —  
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:  
„Konnica na skrzydła!” zwinęli wędzidla,  
Odbiegli, ostygli w zapale.

I popłoch się wniósł. Ów co był przyczyną  
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.  
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,  
I sam się zastrzelił na dziale <sup>1)</sup>.

On może, wśród bólów ostatnich zgryzoty,  
Pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty.  
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła  
Ma lzy a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,  
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni.  
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczyby nie miecza  
Powlekły, jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły, rodzony,  
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.  
„Leć prędzej po błoni, odpoczniesz mój koniu,  
Gdy w ziemi staniemy tureckiej...”

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?  
Czyś może się rozkuł deptając bagnety?  
Czyś złamał w kul wiatrzo? stój koniu, opatrzę  
Czy niema gdzie kuli zdradzieckiej?”

„Ha zdrowy! — to dobrze — lecz jechać w noc trudno.“  
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.  
Koł zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty  
Zmęczony, zalegał na ziemi.

<sup>1)</sup> Orlikowski, kapitan artylerji konnej, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył jak powyżej duma opisuje.

I zasnął głęboko, bo trud go osłabił —  
Śpiącego od cara najęty chłop zabił,  
I sztylet dziewicy do złotej głowicy  
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś Emirze nie oddał kindżała  
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała.  
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali  
Na wicki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,  
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.  
Cieszył się car ruski, że Emir Rzewuski  
W stepowym śpi cicho kurhanie.

1831.



DO  
AUTORA TRZECH PSALMÓW. \*)

Podług ciebie, mój szlachcicu,  
Cnotą naszą, znieść niewolę.  
Ty przemieniasz ziemską dolę  
W żywot ducha na księżycu

\*) Zygmunta Krasieńskiego.

Głosem dziecka wołasz: czynu!  
Czynu, czynu naród czeka.  
Lecz ty wiesz, bez ducha gminu  
Jaka słaba pierś człowieka...  
A ty, który budzisz czyn, <sup>1)</sup>  
Gdy spojrzales w ludu oczy,  
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!  
A kto inny jest, niż gmin?

Nie tak, nie tak, mój szlachetny,  
Bo czyn ludu, nie piosenka.  
To nie w herbie z mieczem ręka,  
To nie ród imieniem świetny,  
To nie pieśni próżny twór.  
To nie buntu próżna mara,  
To nie chmurny lot Ikara,  
Gdzie zastugą upaść z chmur!  
To nie na słońce, gwiazd granicy  
Z kochankami mdlejąc latać,  
Włosy splatać i rozplatać,  
Technienie tracić w błyskawicy;  
Ale twardo, ale jasno  
Śród narodu swego stać,  
Myślać bić, chorągwie rwać,  
Świecić czynu tarczą własną!

---

<sup>1)</sup> Zamiast czterech ostatnich wierszy tego ustępu znajdują się w rękopisie dopisany na boku taki wariant:

Lecz drżysz, gdy z ducha gminu  
Błyśnie w ogniach twarz człowieka...  
Drżysz, gdy od kos ukraińskich  
Długi, smutny brzęk zaleci  
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,  
Straszy teraz twarz Kilińskiob...

W drogę, choćby niepowrotną,  
Ale prostą, naprzód twarzą,  
Z piersią czystą, choć samotną,  
Choć ją sztyletami rażą,  
Z twarzą smętną, ale białą,  
Chrystusową, choć zwiędniałą,  
A ciągnącą lud do siebie  
Niesłychanym bożym czarem;  
Takim duchem i sztandarem  
Być na ziemi, jest być w niebie!

Jam spróbował na mej głowie  
Nakształt gwiazdy kałakuckiej  
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej  
I z tą gwiazdą żyć surowie.  
I przybiegli Aniołowie,  
Aniołowie Betleemscy,  
A odbiegli ludzie ziemscy  
I drzwi moje pożegnali  
I przeklęli... me domowe  
Duchy, serce, moją głowę:  
Każdy włos poprzeklinali...  
A jam przecież bez ich wiedzy  
I bez serc ludzkiego ciepła  
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.  
Ani na rozstajnej miedzy,  
Która świat od Boga dzieli,  
A do przyszłych idzie światów,  
Rosło mniej tęczowych kwiatów,  
Choć suszyli ją i klęli.  
I dlatego, żem się umiał  
Pohamować, być nad zgrają,  
Wichr przeleciał i wyszumiał

I leżał martwy... a ja wstaje;  
Bo ojczyznę mam w łańcuchu  
Widząc, miałem tę pokorę,  
Zem żadnego nie kładł ruchu...  
Czuł gorących — bo sam gorę,  
Modlił się o czasy nowe,  
I o wrogów mych zwycięstwo,  
Choć groziło mi męczeństwo  
I w sąd... mogło pójść o głowę.  
Bo ty nie myśl, że z Anioły  
Tylko Boża myśl nadchodzi;  
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,  
Czasem rzuca przez Mongoły!

A ty, jasny jakiś panie,  
Bo cię nie znam, ale słyszę,  
Słyszając twoje wierszowanie,  
Ze ktoś jak perłami pisze,  
Ze ktoś nakształił się proroka  
Stawia ludziom — ale modny,  
Jak historyk świata, chłodny,  
Obejrząwszy świat z wysoka,  
Wieszczę rymy, jako cugi  
Posłał na świat równym klusem  
I napelnił wóz Chrystusem,  
Jak Owidyusz Faetonem,  
I rozesał swoje sługi  
Swe kolory cześć pokłonem.

Honor myślałem, z których błyska  
Nowy duch i forma nowa!  
Bo są światu... jak zjawiska,  
Jako jutrznia są różowa,

Jak ogniste meteory  
Stopom ludu podścielona,  
By gościńce Irydyona  
Pielgrzymowi, który od nich  
Bierze ogień i kolory,  
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniej dana  
Poetyczna karm dla ludu,  
Objawienie pełne cudu;  
Myśl, jak mara niespodziana,  
Z piersi naszej wychodziła,  
Naksztalt gwiazdy, lub miesiąca,  
Narodowi dźwiękiem miła,  
Ludu sen wspominająca.  
To jak słońce w półobłoku  
Oczom wschodziła i rosła,  
To jak róża na potoku,  
Albo lekki Sylf bez wiosła.  
Jakaś siła niewidzialna  
Przez poetę na świat lana,  
Wolną, jako Anioł Pana!  
Silna, jako skra zapalna!

Dziś co? każdy wieszcz z rozkazem,  
Każdy patron... lecz za sobą,  
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,  
Nie duch-duchem, lecz osobą.  
Kiedy gore świat cierpieniem,  
Kiedy wzbiera czynu fala,  
On się kładzie sam kamieniem,  
Na ruch ludzki nie pozwala,  
Chce zawrócić w stare łożo

Nowe fale, rzeki boże;  
Do zboliałych serc nie wnika  
Gromu ludu nie ma w dłoni,  
Ale w uszy formą dzwoni  
Albo dzwoni — albo syka.  
Jego dźwiękiem, jego mową  
Nie odetchnie pierś szeroka,  
Nie pomyśli jego głową,  
Skier nie weźmie z jego oka;  
Tylko nędzne ujrzy płachty,  
Zamiast wieszczą, sztandar jego,  
I krzyk: „Na Boga żywego!  
Ty kto jesteś? Nie rój szlachty!”

Któż i gdzie zagroził nożem?  
Któż i gdzie ci stanął sporem?  
Możesz spotkał się z upiorem,  
Z całym dawnym Zaporozem?  
Możesz widział pochód głuchy,  
Krzyki krwawe i namiętne,  
I księżyc nad krwią smętne,  
I sokoły w mgle, jak duchy?  
Może tobie zastąpiły  
W poprzek twojej sennej stecki  
Same tylko ich mogiły,  
A ty zląkł się! wódz szlachecki!

Może tylko w noc półjasną  
Upiór jaki nadlatywał,  
Strzały sobie z ran wrywał  
I mgły krwią czerwienił własną,  
Hełm rozpalil w błyskawicę.  
Miecz potrzasał purpurowy,



A okropne cztery głowy,  
Jako perły zausznice,  
Z twarzą nieznajomych plemion,  
Niby róże, niósł u strzemiom,  
— A ty zaraz, w rękę kord,  
W kosach przed nim cała wieść!  
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!  
Duch ten, to czerwony mord!....  
— Nie mord, nie rzeź: to z girlandy,  
Co leciała ponad Lidą,  
Jakiś sługa dziewczki Wandy,  
Jakiś złoty husarz z dzidą,  
Jakiś krzyża kapłan świecki,  
Z tęczy widzeń oderwany,  
Zuów powracał na kurhany,  
A ty zląkł się! syn szlachecki!

Duchy lecą i nie giną  
Czasem pełne snów czerwonych:  
Czy ty jeden z przestraszonych  
Ręką rzezi, gilotyną?  
Zkądże taka w tobie trwoga  
I od ludu rów i przedział?  
Prawdę mówisz?.... Nie, na Boga,  
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!  
Tylko jakieś sny czerwone,  
Zaludnione czartów gminem  
Twych firanek karmazynem  
Owionięte, osłonięte,  
Jak róż jasne, jak sen płonne,  
Pełne, mówię, mar szkaradnych,  
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,  
Przestraszyły się, żeś krzyknął!

„Stójmy tak, na ojców kości!“  
I twój Anioł już w przyszłości  
Zabłyśniony, jak sen zniknął. —

Jeszcze co? ani zamachu —  
Naród cały hasła czeka,  
A krzyk pierwszy z ust człowieka  
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.  
Bo to sen na końcu pieśni,  
Ze magnaty kiedyś staną  
Z wielką tęczą chorągwią,  
Otrząśnięci z wieków pieśni,  
Z wielką myślą w sercu, w głowie,  
Chatom, niby Aniołowie;  
I bunt święty rozplómię, i  
I świat cały od nich zgore....  
W tych magnatach serce chore:  
Waż im sercem, a proch rdzenia!....

Kiedyś ze sto was tysięcy,  
Było szlachty z serc i z lic; i  
Dziś jednemu znał szlachcica,  
I kraj cały nie znał więcej.  
Jeden tylko serca męką,  
Zamiarami, choć nie skutkiem,  
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,  
Pełną zawsze darów ręką,  
Smętną jakąś nieszczęść sławą  
Był szlachcicem i miał prawo....  
Dziś i ten nie został z wami  
I godności swej nie trzyma;  
Poszedł guńć między królami,  
Już go niema — i was niema!

Nie myśl, że wszystko na naszej łące  
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,  
Ze nietoperze ociemniające  
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,  
Gdzie znajdują lampę, skrzydły zaduszą,  
Gdzie znajdują ciepłą polską krew w żyłach,  
To ją wysmoczą, serce wysuszą.  
Mózg o warjackich zostawia siłach.  
Nie tak, tu nie tak, jak ci się może  
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość,  
Orla i żywa  
Ogniem porywa  
I z ducha czerpie.  
Nad nią, na sierpce  
Z blasków księżycy  
Boga Rodzica  
W zorzy czerwonej,  
Na wywróconej  
Tęczy porannej!  
A pod nią mgła  
Z ognia i szkła  
W skrze nieustannej  
Bałwany wznosząca,  
By znieść ją z miesiąca  
Z gwiazdami złotymi  
Postawić na ziemi,  
Ogłosić królową,  
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową.  
Wyszła, wyszła z za obłoku,  
Ludom się pokaże,

I na żniwie i na toku,  
Ujrzą ją żniwiarze!  
Cała w słońcach, cała w błyskach  
Z kwiatem złotym w dłoni;  
Pastuszkowie przy ogniskach  
Zaspiewają o niej!....  
Ujrzą ją na polu trzody  
I smętnie zaryczą;  
Zadrzą drzewa, staną wody,  
Sny z niej tęcz pożyczą!  
I zgromadzą się włodarze  
Z kosami na roli;  
Bo się w sercach, w śnie pokaże  
Człowiek dobrej woli....

Bądźże żywotniejszej cery, <sup>1)</sup>  
Bo cię żywym być przymuszę;  
Wygnań z myśli Maryusze,  
Cezary i Robespiery.  
Z komet, z meteorów cyfer  
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,  
Nie bądź w przyszłą noc pogody.  
Jako gwiazda zła, Lucyfer,  
Gdy słoneczny wóz wyciąga  
Jak pies, węża mając szyję,  
I zła skrzy.... i w oczy bije  
I bezsensnym się urąga.  
Bo my z bezsensnego łoża  
Wzrok rzucamy gorączkowy,  
A ty łyskasz blaskiem noża,  
Dziecko, lub zły duch Jehowy.

---

<sup>1)</sup> Bądźże mi weselszej cery, wariant.

Bo nam tworzysz czarną marę  
I w zrodzoną — rodzisz wiarę.

Ten kto ojcu powie: raka!  
Ten przeklęty! więc się bój!  
Polski lud, to ojciec twój.  
Zeń, jak z cierniowego krzaka,  
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,  
Z wichru mając twarz i lice,  
I na ciebie jak na święcę,  
Iść, i dalej pójść, i zdmuchnąć!

Więc się bój: bo nie ja grozę,  
Marny człowiek i twój brat,  
Ale jakiś straszny świat  
I widzialne światła Boże  
Z ciszą, z wiatrem, i z szelstem  
Rzucające się na lud  
Strachy, które mówią: cud!  
Ognie, które szepcą: jestem!

Więc się bój: bo duch się wdziera  
Zewsząd i podważa wieże.  
Słaby, mówisz, rzeź wybiera;  
A czy wiesz, co on wybierze?  
Może ludów zatracenie,  
Może nam przyniesie w dłoni  
Komet wichry i płomienie,  
W których drży król, matka roni,  
Działa, wozy, hufce, konie  
Ogień pali, ziemia chłonie;  
A nikt z mogił nie korzysta,  
Jeno wszczynający ruch.

Wieczny rewolucjonista,  
Pod męką ciał — leżący duch.

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,  
Odpuść nam nasze winy!  
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;  
Przez nas czyn Twoje czyny!  
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,  
Niech się święci trzy razy!  
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci  
Dla naszych ran i zmayı.  
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,  
A ducha-śmy nie dali:  
Nie poznałiby ojce naszych bolesnych twarzy,  
Gdyby z grobowca wstali.  
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,  
Jak gołębice: „nie cisnij!”  
Duchy, jak gołębice rozleciały się w chmury;  
Zatrwóż! niech wróca!... błysnij!  
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się, i zdaleka  
Brat pozna swego brata,  
I wejdzie nieśmiertelność jako Anioł w człowieka  
I stanem ludem świata!...

A tu niżej  
Pan poniżej  
Namiętnych.  
Głos uciszysz  
A usłyszysz  
Jęk smętnych.  
Zebrzydowscy  
I Zborowscy  
W czerwonych deliach,

Błyskawice  
I dziewice  
    W bladych kameliach.  
Chór przychodzi,  
Zda się, w łodzi,  
    O brzegi trąca.  
Nad smętnymi  
Lampa ziemi  
    Okrąg miesiąca.  
Zegar świata  
Ptak Pilata  
    Godzinę pieje.  
Strach i nudności,  
W grobach drżą kości,  
    Bezdech szaleje.  
Duch uciska  
Mroczy i błyska  
    Aż uzupełni  
Wick idący,  
Bogiem błyszczący  
    Jak miesiąc w pełni.

W takim hymnie wieszczu stój;  
Bo pieśń taka pójdzie górą,  
Nad podlejszych dusz naturą  
Panująca — boży strój,  
Do którego Bóg nagina  
Wszystkie tego wieku struny,  
Złączy dźwięki i pioruny,  
Świat co kocha i przeklina,  
I błękitu rzuci na tła,  
Przemienioną krwawość w światła.  
Anioł się z Aniołem zetrze,

Chrystus wyjdzie na ciał złamy  
I z Chrystusem się spotkamy,  
A spotkania plac.... powietrze!

Lecz dopóki ty i twoi,  
Duchem Bożym nieskrzydłaci,  
Chcecie stać na głowach braci,  
Tak jak szatan dotąd stoi,  
Ciałem, formą, która kuta  
Od tysięcy lat we świecie,  
Choć spróchniała, duchy gniecie,  
Wyrobiona i przeżuta,  
Przeświecona piekłem mara,  
Dla was święta tem, że stara....  
Póki wy, jakby z kamienia,  
A kryjący strach kobiecy,  
Opieracie wasze plecy  
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,  
Który się jak słońce pali  
I lud niesie, a was wali,  
Lecz dotychczas jeszczezczędzi  
Najpiękniejszych od zagłady,  
Aż nie mogąc, dusz gromady  
Przerazone z ciał wypędzi:  
To ja, pomny na potrzebę  
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,  
Którym każdy stary narów  
Kładł pod nogi kamień, glebę,  
Męczenników pełną chatę,  
Swoją interes i prywatę;  
To my święci, to my młodzi  
Jutrzenkami i błyskaniem,



Charonowej twojej łodzi  
Pełnej trupów — poprzek staniem!

1845.



DO

MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO,

PODPÓLKOWNIKA WOJSK RZECZYPOSPOLITEJ KOLUMBIJSKIEJ

poświęcając mu powieści geodzie

MNICHA I ARABA.

I znowu ciebie ziemia przywołuje stara,  
Z Kolumbijskiej krainy, z grobu Bolíwara;  
Z nowych światów, żadnemu nieuległych panu,  
Gdzie pył tronów nie spada jako proch Wulkanu,  
I nie pokrywa grodów — ani grom tronowy  
Szuka pomiędzy tłumem wyższej nad tłum głowy.

Dopóki światów nowych ludzie nie przeculi,  
Myśl nie śmiała biedz skrajem przewróconej kuli.  
Na kartach kładł rytownik chmurną dłoń olbrzyma. <sup>1)</sup>  
Myślano, że Bóg ziemię tamtą stroną trzyma  
Jak czarę, wrócym stworzeń napelnioną tłumem.  
Dopiero Genucńczyk przeniknął rozumem  
Tajemnicę tej dłoni i z jej skrępyłych palców,  
Wyłamał świat drzew, złota, brylantów, padalców.

<sup>1)</sup> Na kartach przed odkryciem Ameryki kroślonych, na ogromnej przestrzeni Atlantyku rysowano dłoń olbrzymią z otwartymi palcami. Ta dłoń przerażała rozognioną podówczas fanatyzmem wyobraźnię ludzi.

Europejska zbrodnia napełniła lasy,  
Pod Korteżów mieczami padały Inkasy;  
Czarni misjonarze duchownemi berły,  
Z łona muszel skrwawionych nieraz pruli perły;  
Potop krwi religijny świat wyludnił młody.  
Dzisiaj z krwi odrastają zielone narody,  
Snać płodne serce nowej ziemi nie ostygło.

Lecz myśl twoja żeglarską obłąkana igłą,  
Zwracała się na północ.... Przebywasz otchłanie  
Drogą, po której niegdyś biegli Luzytanie.  
Myślą budzisz tajemnic tłum na dnie koralu,  
Oczyrna Kamoensa czytasz w drżącej fali.  
I może przed delfinem napierśnym okrętu,  
Powstał duch Luzyady, ów olbrzym odmetu,  
Co niegdyś wróżbą nieszczęść tłukł Hiszpanów statki,  
A dziś może ci wróżył śmierć ojczyzny matki <sup>1)</sup>.

To ład! czy słyszysz ztamtąd jaki gwar i wrzawa?  
To stary świat! spruchniały jak rozbita nawa.  
Zagiął, który ją nosił przez wypadków falę,  
Spruchniał dziś na odległej mórz zatknięty skale;  
Dziś go ziele zarasta. — Stara, obumarła,  
Długowieczną płodnością ziemia się pożarła —  
Walcząc o skąpe reszty płodów się wysieczem!  
Tu drobnych państw granice karły kreślą mieczem.  
Z tą dąką ziemią kraj twój porównywał złoty:  
Tam słońce twarz ociemnia, tu czernią zgryzoty;  
Jak struś co głodny gardziel żwirem pustyń dławi,

<sup>1)</sup> W Luzyadzie olbrzym duch morza, grozi Hiszpanom i śmierć przepowiada za to, iż odwatają się zapuszczać w jego królestwo.

Tu człowiek kamień wzgardy połyka i trawi.  
A to, co na świat stary szbladłem patrzy licem,  
Słońce Europy, pięknym nazwałś księżycem.

Tyś smutny? o! szaleństwo ciemnej twarzy rysem,  
Pobielanych tu grobów stawać się cyprysem.  
Skoń lica do uśmiechu, w tej szalonej zgrai,  
Zamaskowana boleść łatwo się utai.  
Tu śmiech jest znakiem życia... Śmiać się nauczyłem  
Gorżko; niszczyć się, skonam i nie powiem: „żyłem.“

Lecz twoja dusza marzyć przyuczona szczytnie,  
Jeżeli uschnie obecnie, wspomnieniami kwitnie;  
Myśl wraca po błękitnym oceanów szlaku.  
Teraz się wahaś lekko w jedwabnym hamaku <sup>1)</sup> —  
Tu mangolji róża, a pod palmy cieniem  
Skrzą czarne oczy, światła przecięte promieniem,  
Jak gwiazdy nad odbiegłym od kraju żeglarzem.  
Teraz płocha, z piór złotych uwitym wachlarzem,  
Prysnęła wonią kwiatów, czyta myśli z czoła,  
Smutna, jeśli uśmiechu śmiechem nie wywoła.  
Tyś ją opuścił? jako perła odrzucona,  
Będzie gasła powoli — i zamrze — i skona.  
Gdy pamięć zadaleko w kraje marzeń wkroczy.  
Nim ją odwołasz, łzami zalane masz oczy;  
Lecz te łzy muszą oschnąć w rzeczywistej burzy.  
Tu świat jak ciemny obłok gromami się chmurzy.  
Wzmagaj siłę ciężarną pracującą w ziemi,  
Dawniej fanatyzm, wolność czasy niedawnemi;  
A gdy się ta rozwiąże, wałem otocz grody,

<sup>1)</sup> Rodzaj krzeseł używany w Kolumbji i stosowany do gorącego klimatu tej krainy: jestto siatka jedwabna zawieszona na dwóch kwicistych drzewach.

Na prędko-stawnych mostach rzucaj szyk przez wody;  
Niechaj ulotna para z paszcz działowych gromów,  
Rzuca zgon, nakarmiona pożarami domów.  
Czy maską tajemniczej zemsty osłoniłony,  
Jak dawny sąd tajemny, w same królów trony  
Zapozew przed sąd Boga wbij ostrzem sztyletu.  
Czekaj! może muezin <sup>1)</sup> z szczytów minaretu,  
Ogłosi pacierz zemsty wśród murów Stambułu.  
Czekaj! może z dzikiego w Kaukazie Auł, <sup>2)</sup>  
Ujrzymy błyskawicę.... Ciszej! — Zdradzam myśli,  
Które mi wyobraźnia, które zemsta kręśli;  
Zemsta chciwa pokarmu, drżąca jak zmysł głodu.

Chcąc myśl odbłakać, czytaj dziką powieść Wschodu,  
A choć odbiegiesz treści, dźwięk rymów powrótny,  
Będzie jak szmer fontanny: bezmowny lecz smutny! —

~~~~~  
WZANEK Z GRECKIEJ PODRÓŻY.

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona,
Wtóruje myśl posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona;
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. Jak mi smutno!

¹⁾ Muezin, zwołujący pieśnią lud na modlitwę Proroka.

²⁾ Auł, wioska Czczeńców.

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wieczne słyhać!
Druidyczna ta z głązów wielkich grotą,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przedziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie:
Sykają. Straszny jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy —
Jest objawieniem — jest i pieśnią cizy.

O! cichy jestem jak wy! o Atrydzi!
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy!

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębio,
I listkami się czarnemi zieleni —

I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara,
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności
By ją ułović i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów! ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc to los mój: na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych,
To los mój: senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych,
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru — tententu!

Na koń! Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy;
Ze łzą i z wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wichur gwał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie —
Jeżeli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;

Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla mało wiernych serc podobne snowi.
Więc jeżeli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej....

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju, gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju, gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych,
Zostaje smutne pół-rycerzy żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wózowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Ze serce kruszy watyd — w każdym Polaku,
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem —
Nie — pierwej skonom, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą?
I pokazawszy mi swe piersi krwawę,
Potem spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego, i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym;
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
Póty mieć będziesz hyenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie.

Zrzuc do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę,
A wstań jak wielkie posągi bezwstydney,
Naga — w styksowym wykąpana mulc!
Naga — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Ze taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Garlżący śmiercią wzrok, życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami ludzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą;
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu, gdzie nie trwa myśl nawet godziny,
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklinj! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida przez węzowe różgi.
Boś ty jedyny syn Promoteusza —
Sęp ci wyjada nie serce, lecz mózgi,

Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczęknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną, zwinie się w lęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwyć;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

1836.



LAMBRO
POWSTANIEC GRECKI

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

L A M B R O.

PIEŚŃ PIERWSZA.

--- Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find
To our destruction; if there be in hell
Fear to be worse destroy'd...

MILTON,

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po tej drodze puści żagłów loty.
Kołysz go falo i łódkę Majnoty
W samotną morza obłąkaj krainę.
I tam mu powiedz: ja nosiłam floty
Na moich skrzydłach, aż pod Salaminę;
Płynęłam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad niemi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,
I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.
A ludzie cierpią, że umrzeć nie śmieli;
Twarz ich boleści rysem naznaczona.
Gdyby tu blyszał dawny wzrok Meduzy,

Gdyby ci ludzie jak są skamienieli,
Ileżby nowych posągów przybyło,
Łamanych wiecznym bólem Laokona!
Tu, nad pomników i ludzi mogiłą,
Księżyc posępny płynie co wieczora.
Gdy góry światłem błękitnem przeniknął,
Mgły zasłonią doliny ośnieżył,
Szuka posągów, które widział wczora,
Do których twarzy wiekami przywyknął;
Błady jak starzec, co na ziemi przeżył
Zagaste, mrące co dnia dzieci koło;
Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie,
Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
Ze się nie chmurzy żalem, ani bladnie,
I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieńiec różowy,
Lekkich kaików przerzynają wiosła.
Jak dawne Nimfy, tak dziś te ostrowy,
Przed tureckimi uciekając gwałty.
Odmienne pierwszym biorą na się kształty.
Jak niegdyś Dafne w liść lauru porośla,
Tak dzisiaj Hydra zielona laurami.
Ipsara błyszczy skalnym stroma brzegiem,
Podobna córce glazowej Tantalą;
Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,
Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem
Kryształowemi upłakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłem snycerza
Ze skał ciemnego łona wydobyte,
Barwy ma szare od tła nieodbite,

I lasem masztów na poły schowane.
Gdzieniedzie lekka minaretów wieża,
Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
Tam rzędy okien, od łuny zachodu
Jak mnogie lampy rozpalone, drżące.
Co chwila bledsze, co chwila gasnące,
Już zaszył mrokiem — ale szczyty grodu
Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło;
Chociaż to miasto na pół obumarło,
Gwar słychać w mieście, bo bezładne gmachy
Głośniejszem odgłos odbijają echem;
Gwar smutny, rzadko pomieszany śmiechem,
I tajemniczy jako te odgłosy,
Które wiatr z martwej muszli wydobywa.
W głębiach haremów lśniące perłą rosy
Pałają różę, smutno słowik śpiewa;
Przez szczyty murów na ciche ulice
Wonnych akacyj zwieszają się kwiaty;
Czasem pochodnia błysnie z poza kraty,
Księżyc turbanu olśni bawelnicę.
To Turek dąży w znajomą gospodę,
Co inne gmachy przenosi wytworem;
Gdzie wielkie kotły wracają źródła wodę
Leją w kanały złotym dziwotworem;
Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
Opryska warem, parą ją omoczy.
Wprzód nim zezwoli iść do wspólnej wanny.
Tam woń arabskich napojony duchem
Przechodzi Turek w marmurowe sale;
Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,

Kłamane dalej w zwierciadł krysztale.
Tam Grek usłużny obiega wokóło,
Ma muzułmanów nie szczędzi ukłonu;
Do ziemi chyląc osiwiiałe czoło,
Nalewa mokkę w łono z róż Japonu;
Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,
Chowając aspra, do czary nalewa
Napój z makowej tłoczony rośliny,
Co śmierć sprowadza — jak cień tego drzewa,
Które usypia snem głębokim zgonu.
Mrok spada w dymu stambulskiego chmurze —
Gdzieniegdzie tylko z Etrusków wazonu,
Widać w polowie wychyloną różę;
Gdzieniegdzie błyszczą sztyletów głowice —
Tam nieruchome wyznacców turbany,
Porosły kołem jak łąk tulipany;
Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsarjota —
Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;
I na ramieniu miał kapotę z płótna
Niegęsto niemi przetykaną złotą.
Widać z gitary, znać po blasku oka,
Że z pieśnią siola i grody przebiega...
Wnet go tłum Greków dokoła oblega;
Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
Greki i Turki zarówno ciekawi
Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
Czy ich upiorów powieścią zabawi?
Czy brylantową bajką Al-Raszyda? —
Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
Jak gdyby liczył tureckie turbany;

A potem spojrział w mnogie Greków twarze
I gdy w nie patrzył — znalazł dźwięk w gitarze.

~~~~~  
POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,  
Miłość ją kraju i rozpacz uprzedły.  
Tu zółkłe twarze — może serca zwiędły?  
Miałem tu znaleźć ludzi — widzę trupy.  
Niedzolni z życia wybić się skonaniam,  
Wyście odważni — lecz na pół otrucia,  
Wyście przywykli zabijać pół uczucia,  
I zmartwychwstawać, lecz półzmartwychwstaniem  
Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.  
Pieśń często z kajdan iskry wydobywa,  
Więc będę śpiewał i dążył do kresu;  
Ożywię ogień jeśli jest w iskierce.  
Tak Egipcjanin w liście z aloesu,  
Obwija zwiędłe umarłego serce;  
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;  
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,  
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,  
W proch nie rozsypie.... Godzina wybije,  
Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,  
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dzień.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,  
Jest jako fala umarłego morza;  
Co jej powierzysz, wnet wyrzuca z łona,  
Lecz barwą ciemnych głębi przyodzieje,  
Da nieśmiertelność kamiennego łoża —

Kwiat w niej, nie tracąc barwy, kamienieje.  
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,  
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;  
Często podobny sam do zimnych głązów,  
Choć pieśń ognista w myśli się wylęga;  
Często go słuchacz odbiegnie wesoly —  
A pieśń co ledwo dopłynie połowy,  
Jak mórz zamartwych owoc rubinowy,  
Bezplodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie,  
A potem chytra bezsilnych odbiegła.  
Widziałem walkę — widziałem to błonie,  
Gdzie siła naszych rycerzy poległa.  
Ja byłem dzieckiem i patrzyłem z chaty —  
Powietrze chmura proporców krajała,  
W tureckich szykach łanił księżyc bogaty,  
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa.  
Ztamtąd huk leciał, ztamtąd ziemia grzmiała,  
I grad pocisków wyrzucały spiże;  
A ztąd, zachodnim złocone promieniem  
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,  
Z upornem, z głuchem rozpaczy milczeniem.  
Potem je dymy spiżowe pożarły —  
Mignęły w ogniu złote — i poblady.  
Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,  
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważały szale —  
Lambra tureckie ominęły gromy.  
Wdarł się na skałę — całą noc na skałę

Patrzył na groby, na groby bez końca!  
I tak nazajutrz jeszcze nieruchomy  
Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca....  
A ztamtąd poszedł błakać się po świecie.  
Lecz nie samotny: znalazł się ktoś drugi,  
Co przy nim giermka podjął się usługi,  
Kto to był taki? — może odgadnicie.

Po długich latach, z krainy wygnania  
Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wyścigi,  
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania:  
Pieśń grzmiała w dzwonach — była to pieśń Rygi.  
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy,  
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony —  
Gdziekolwiek snuł się Kleft — lecz zakrwawiony,  
I z krwią miał rozpacz przyschniętą do twarzy.  
Płacz, narzekanie, wstrząsa Greków chaty,  
Echami skał się rozplakały łona:  
Jutro, wołają, na maszcie fregaty,  
Haniebną śmiercią młody Ryga skona.

## VII.

Na dzikich brzegach skalistej Ipsary  
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;  
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,  
Ostatnie słońcem złocą się filary.  
Kolo klasztoru, bez czoła kolumny  
Stoją, jak palmy pozbawione liści.  
Tam mnich pracuje kolo własnej trumny,  
Tam od tureckiej uciekł nienawiści —  
Ów dzwon co dzisiaj ogłasza pacierze,  
Nieraz do broni powoła majnotę;  
Nieraz od Turków okrążone wieże,



Czoła dzał srebrnym uwieńczają dymem —  
Z tych okien błyszczą spiżu paszcze złote,  
I mnich pokorny staje się olbrzymem.  
Nieraz rozpaczy naglony potrzeba,  
Rozwała miną poświęcone ściany;  
Rzekłbyś, iż mnich ten chce zdobywać niebo  
Skał odłamami, jak dawne Tytany!

Na niższych skałach cmentarz muzułmanów  
Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,  
I dłutowanych w marmurze turbanów,  
Jak odłam z rajskich oderwany światów  
I przesadzony na skalne urwiska....  
Tam byłem wczoraj. Słońce zachodziło....  
Za marmurowe skryty grobowiska,  
Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą:  
Widziałem klefta i Greczynkę młodą.  
Ona, do Peri podobna urodą,  
Jak była piękną, wyraz nie okréśli!  
Gdy długo, długo patrzałem w jej lica,  
Kiedy się potem obudziłem z myśli,  
Tak byłem tęskny, rozmarzony, smutny,  
Jak gdybym długo patrzył w twarz księżycy.  
Snać, że jej życie był to czas pokutny,  
Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;  
Miała na twarzy smutek — lecz nie żalność,  
Barwę koloru łąz nieoplukaną;  
Rumieniec tonął w bezpromienną białość —  
I w białych szatach stała między drzewa,  
W pół-oświecona blaskami zachodu,  
Podobna srebrnej fontannie ogrodu,  
Z której wiatr mgliste warkocze odwiecwa.

Kleśt, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem.  
I wierne rysom członków nosił szaty:  
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,  
Co się od słońca w różne barwy łamie.  
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.  
I miał kapotę rzuconą na ramię,  
Białą jak śniegi — i pas złotolity;  
Nogę złożonym wiązaną rzemieniem,  
Małą misiurkę, której aksamity  
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem —  
Na niej z misternie ułożonej zwici,  
Węzeł w złociste rozpadal się nici.

Choć stłumionemi przemawiali słowa,  
Mogłem dosłyszeć ułamków rozmowy.

### VIII.

„Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę —  
Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam;  
Na twojem czole z przerażeniem czytam,  
Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.  
Blask twego oka nie odbłyska z duszy.  
Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,  
W każdym odłamie iskra się zawiesza,  
A każda czystem lśni tęczy promieniem:  
Lecz na twem czole jakiś szatan mięsza.  
Rozpacz ze śmiechem, śmiech blady z cierpieniem —  
Ty jesteś z ludzi, których serce żywi  
Lzami — gorzką trucizną laurową.  
O! bo też prawda, że my nieszczęśliwi,  
I czasem czuję, że pociechy słowo  
Ma dźwięk szydery i na serce spada.

Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,  
Widzę jak przy nas stojąc, rozpacz blada  
Czekała szczęściem niepełnej godziny,  
Aby się poznać z nami, i być z nami —  
Czekała długo — przyszła, choć nieskora;  
Ze wspólnych myśli jednego wieczora,  
Myśmy się w stronę rozbiogli myślami.  
I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,  
Milczysz? —

— „Dziś nie chcę zabijać słowami  
Bo każde słowo do serca utonie,  
I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;  
A potem długiem rozpamiętywaniem,  
Jak żar piekielny rozpali się w łonie,  
I potem, potem — cała przyszłość twoja  
Stanie się długiem i ciężkiem konaniem.  
O! patrzaj na mnie — ta złociста zbroja  
Dzikiego klefsta nigdy nie stroiła,  
Zmieniłem szaty — tyś serce zmieniła.  
Winnas wyczytać na poblądnem czole,  
Myśli ukryte i obecne bole,  
I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!  
Tak jak wędrowiec wśród grobowych glazów,  
Nie umiesz czytać napisów cmentarza?  
Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali...  
Jam dzisiaj królem błękitnawej fali —  
Mszczę się. Dziś czarna bandera korsarza  
Rzuca cię śmierci gdzie dosięgną działa;  
I zapomniałem zetrzeć z mego czoła,  
Cieniu, co dzisiaj rzuciła nań rano;  
Otarłem tylko szablę krwią skalaną,  
Kłócę niebaczny spokójność anioła —

Napół przeklęty, napół zapomniany,  
Rozpalam ogień miłosnej pochodni,  
I wiązę serce dwoma talizmany,  
Wielkością nieszczęść — i wielkością zbrodni.  
Mój obraz kształty przybierze olbrzymie  
W głębi twej duszy — jak anioł upadły,  
We krwi skalany, w dział omglony dymie,  
W blasku brylantów i złota wybladły.  
O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!  
Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,  
Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,  
Kędy pod stopą ztółkle liście kruszę,  
I gardzę liściem, co ścieżki pozłaca  
Barwą uwiedłą — lecz szum ich zasmuca!  
Wolę niech moja łodzią fala rzuca,  
Niechaj mi wzgardą za wzgardę odplaca.  
Morze — to wielka mogiła stworzenia,  
Dumającemu na niej, myśli płyną —  
Nieraz na fali umieram z pragnienia,  
Jak obciążony Tantalową winą,  
I mogę niebo przeklinać — i morze.  
Usiałem sobie rozwahane łoże,  
Co mi piastunki daje kołysanie;  
Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz  
Często mię zorza śpiącego zastanie,  
I nie obudzi skrawem światłem... Nieraz  
Działo mi dając ranne powitanie,  
Zbudzić nie może — często sen przedłużę,  
Aby w tem życiu być jak najmniej — nie snem.  
Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,  
Lina zerwana ujęciem niewczesnym!  
Mam jeszcze czucie — bo dziś mię rozczuła,  
I lzy mam w oku, gdy rozryje kula

Masz, z którym długie przebiegałem drogi,  
Wycięty z rosłej Epiru topoli,  
Co mi rodzinne wspominał rozłogi;  
Lecz gdy mną majtki wtenczas poniewoli  
Na moich ustach błyszczą uśmiech dziki,  
Jak gdybym szczył, że niezręczni byli  
Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli  
Ze mną, przez długie lata trosk, cierpienia,  
Jak krwi tygrysy, druchy, niewolniki...  
Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,  
Skamieniałego serca nie poruszy.  
Ze złotem stawię człowieka na szale,  
A potem złoto rzucam w morskie fale,  
Jakby w tem była jaka wielkość duszy.“ —

XI.

Słucha dziewica — jej rumieniec mgławcy,  
Zrazu rozkwitał i blasku nabywał —  
Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy  
Twarz jej oświecił, we łzy się rozplwał,  
I znów powracał tak w odcieniach zmienny,  
Ze słów kochanka wydawał się echem;  
A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,  
Gdy obumierał zadumaniem senny,  
Podobną była do niewiasty Lota  
W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem,  
W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,  
I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona...  
I tak posągów brała kształt nieżywy,  
Tak opuściła bezwładnie ramiona,  
Ze z ramion szata płynąca do ziemi,  
Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usta drżącemi  
Mówił: „O luba! wybac, że te słowa  
Zanadto czarną malowały duszę;  
Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,  
Patrzeć jak cierpią i śmiać się szalenic.  
Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,  
To już nad moje siły, nad sumienie!  
Czy wierzysz luba! ja się wyznać wstydzę,  
Ja korsarz krwawy! ja, ludzi morderca!  
Ze się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,  
Że mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,  
Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.  
O luba! teraz niech się ludzie boją,  
Niech się przed czarnym chronią pawilonem;  
Znajdę ich, zbudzę, jeśli nagłym zgonem  
Bóg wielkiej we mnie myśli nie rozłamie.  
Na mojem czole widzisz dumy znamię —  
To jest przeczucie sławy; tam, tam w dali  
Widzę okropną przyszłość — ale sławną!  
Precz te obrazy.... Luba! jakże dawno  
Z tobą po obcych bładziliśmy światach?  
Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali,  
I w oberwanych po liściu róż kwiatach  
Naszej przyszłości? Z tobą moje losy  
I z tobą dotąd wiązę myśli moje.  
Często przed ludźmi w kajucie ukryty,  
Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,  
Szaty poprawiam, brylantami stroję,  
Bo widzę jasno, widzę w twych marzeniach,  
Mój własny obraz wyraźnie odbity;  
Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,  
I póty śmiechem rozjaśniam jagody,  
Aż póki czyste wróci mi zwierciadło

Obraz twych wspomnień z twarzą mniej pobladłą  
I mniej posępny i smutny i młody“.

„O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy  
Dla tych co płaczą czy to krwią czy łzami.  
Chroń się ty świata — bo on nie był z nami  
W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;  
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,  
I nie przebacza tym, co toną w błędzie.  
Patrz jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma,  
Ja ci wynajdę mieszkanie w klaszorze;  
Zamknij się w cichej celi i ze skały  
Patrzaj nocami na rozległe morze,  
I błękitnemi po fali oczyma  
Mojego statku ścigaj żagiel biały.  
A gdy zagrożą fali niepokoje,  
Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwoga,  
Razem popłyną w niebo, jedną drogą,  
Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

„Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek:  
Jutro, nim zorza świtem się rozpali,  
Przyjdź do mnie sama, tam, nad brzegi fali,  
Odziana płaszczem bogatych Turczynek.  
I miej kalemkiar ciemny z musselinu,  
Lub czewrę gęsto haftowaną złotem;  
Niechaj się z wiatru nie wznosi połotem,  
Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.  
Jutro — pamiętaj! — tam łódź moja czeka,  
Gdzie się przy skale załamało morze.  
Ja sam przebrany w tureckim ubiorze,  
Płynę na pogrzeb ostatniego Greka“.

Skończył — a kiedy z ostatnimi słowy  
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,  
Zda się, widziałem, kilka łez upadło.  
Nie wiem — to może z silniejszym powiewem  
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?  
Nie wiem czy płakał, czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem  
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,  
Potem, portową groblą odłamane,  
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;  
A brzeg wysoko szarzeje granitem....  
Wyżej palm błyszczy zieloność wesoła.  
Te palmy w niebo sięgające szczytem,  
Jako nam istność malują aniola:  
W mgłę mają stopy — a w błękicie czola.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,  
Co się z cichogo morza wydobywa!  
I ten las masztów, jako las jesienny,  
Z którego burza północy gniewliwa  
Połowę jaśnych liści poobrywa,  
A pozostałym da rozliczne szaty —  
Liść Sztatudera złotem się pokrywa,  
Róż Albionu płonia się szkarłaty,  
Szronem się Franków osrebrzyły kwiaty.

Słyszac szum żagli, słyszysz jakby we śnie  
Gwarzące różnym językiem narody —  
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,  
Jakby mówiły doznane przygody,  
I przeciągnięte z wiatrami zawody.



A fala milczy — choć może w niej tonie  
W tej chwili okręt nadziejami młody;  
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie  
Uczuła fala — lecz zamknęła w łonie.

XI.

Okręt, troistą opasany spiza,  
Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,  
Omglił się dymem, dział rozesał huki:  
I wtenczas niby szatana był tronem.  
Gdy wiatr poddany dym unosił chyżo.  
Wszystkie go maszty witały pokłonem:  
A okręt ucichł, pił dumy kadzidla.  
Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,  
Srebrne po masztach zawieszala skrzydła;  
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.  
Niema wyrazów język niezaskarbny  
Malować słońcem ukazano czary.  
Jako rozkwitłe Nilu nenufary,  
Z kwiatów kobierzec wiążą różnofarbny;  
Jak odświeżone muszle i kamyki  
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,  
Wiążąco się razem w jasne mozaiki,  
Spłynęły żagleń oskrzydłone łodzie.  
Tam turban kita, ozłocony świetną,  
Tam srebrna dziewięć zasłona powiała;  
Od łodzi fala różny połysk brała,  
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru....  
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną,  
Była doliną, szalem kaszemiru.  
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,  
Pod maszt fregaty, gdzie ma skonać Ryga.  
I tak jak chciwe sępy, albo kruki,

Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli  
W bogatych łodziach po morskiej topieli,  
Z męczarni Greka różne brać nauki.  
Wielu jest w tłumie co się śmiać nauczą,  
Śmiech taki wrzkomo wielkość serca kłamię!  
Wielu ztąd wróci i miecze rozłamie,  
Co jutro w królów miały tonąć łona.  
Gdy tacy zemstę aniółom poruczą,  
Nieliczny może z męczarni wylamie  
Prawdę, że skonać nietrudno — i skona.

### XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród Janczarów.  
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali;  
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,  
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry,  
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,  
W szmer się zamienił gasnący — ponury —  
I była cisza.... Z ciszy wybląkana  
Pieśń, między Turków urodzona tłumem,  
Na kilka cichych głosów rozłamana,  
Rośnie i z fali kołysze się szumem.  
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła:  
Powstańcie Grecy! ale Grek nie słyszy,  
Powstańcie Grecy! brzmiało — ale ciszej —  
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.  
Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,  
Lecz radość widna z twarzy i z postawy  
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy —  
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy?

### XIII.

Widziałem, ja sam widziałem, o Greki!  
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,

Widziałem wszystko — i tłumilem łkanie;  
On był tak młody — nie zmrużył powieki,  
Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa!  
Jeszcze go widzę jak zasłone zrywa,  
Jeszcze go widzę jak pod nieba stropy  
Na rusztowaniu stanął — i smutnemi  
Oczyma dawał pożegnanie ziemi,  
Siłom młodości, marzeniom młodości.  
Wtem szczeble pękły wymknięte z pod stopy....  
Nie mam wyrazów.... Któż mu nie zazdrości  
Śmierci, teutońską sprowadzonej zdradą?  
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawalo na wschodzie,  
I promień z rannej otrząśniony rosy,  
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,  
I na ramiona spływające włosy.  
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,  
Uratowaną z męczarni rozbicia;  
Na twarzy walczy senna boleść życia,  
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

#### XIV.

A w tłumie widzów, jedna łódź ożyła;  
Jak po jeziorze trzciniami zarosłem,  
Wężową ścieżką z tłumu się wywiła;  
Turek ją pędził obustronnem wiosłem,  
I bawił Turków, rzucając nad głowy  
Tysiączne kręgi wodnistych obręczy,  
Umalowane kolorami tęczy.  
A łódź jak delfin w wodzie rozigrana,  
Czasem tonęła w odmęt lazuruwy  
Równa powierzchni morza tak, że piana

Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty  
Po wierzchu fali szedł ptasiemi loty,  
I coraz bliższy fregaty sultana,  
Nie bacząc, że tu pod srogimi kary  
Wzbronione ludziom granice przechodzi.  
Nie śmieli strzelać strzegące janczary,  
I od płynących zdrady się nie bali;  
Bo w tej złocisto malowanej łodzi,  
Ujrzeli postać dziewicy — i głośno  
Śmiejąc się wszyscy — wszyscy przeklinali  
Szatę turecką, zamkniętą, zazdrosną,  
I ów kalemkiar z musselinu biały.  
Tak gęsto lánącym haftowany złotem,  
Że go powiewy wiatru nie odwiały,  
Ani łódź szybkim odsłoniła lotem.  
Ta pod zasłoną róża niewidoma  
Snać z ciekawością dziecinną haremu.  
Może przejęta zgrozą, nieruchoma,  
Chciała się bliżej przypatrzeć zmarłemu?  
Może się pod tą zasłoną ukrywa,  
Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?  
Z takim uśmiechem liście róż obrywa,  
Z takim uśmiechem te ziemskie anioły  
Widzą zgon róży, serca — lub człowieka.

A wtem — okrętu piersi niedaleka  
Łódka, uczuła silny popęd wiosła,  
Biegła po fali — z fregatą się zrosła:  
I wnet z jej łona dym się wybił szary,  
A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzył na pożary;  
A gdy mu płomień ramiona otoczył,

Odrzucił turban i do fali skoczył.  
Za zbiegłym setno strzeliły janczarki;  
Przed kulą w morzu zanurzony zginął —  
Po chwili błękit pianą się zakłócił,  
Majtek na fali powierzchnie wypłynął.  
Pobladłym Turkom śmiech szyderczy rzucił —  
A gdy śmiech echo okrętu powtarza,  
Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła;  
Śmiech ten poznałem — był to śmiech korsarza,  
I twarz poznałem — to twarz Lambra była.

XV.

Splonęła łódka, a w dymie z lazuru  
Błękitna siarka błyska — zrazu blada  
Całuje okręt jak czarę z marmuru,  
Jąc się nie może, ślizga się i spada —  
Wgląda na pokład — potem z trzaskiem nagle  
Czerwona dębu zajęła się ściana,  
I w dymu kłębie iskra zablakana  
Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.  
Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,  
Spodem okrętu roztwiera szczeliny —  
Pękały szyby i rwały się liny,  
I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.  
Odgłos rozpaczy w trzasku się rozlega,  
A tysiąc jęków było jednym jękiem.  
Ucichły razem — huk płomieni głuchnął;  
Ciszą się zdawał gdy doń słuch nawyknął.  
Nagle — w płomieniach nowy blask wybuchnął.  
Jak tknięty różczką czarowną aniołów,  
Z gromem wulkanu cały pożar zniknął —  
Zostawił przepaść — i w niej wrącą pianę.

I wszystkie łodzie burzą kołysane,  
A na nie chmura upadła popiołów.

### XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem....  
Nie poszedł pruchnieć w marmurowe lochy,  
Stos miał wzniesiony pod błękitnem niebem,  
Z dębów i trupów; jako do łzawicy  
Do czary morza spadły jego prochy.  
Lecz jak okropna śmierć młodej dziewicy!  
Anielskim niby ożywiona duchem  
Kiedy ją ogień dokoła obchodzi,  
Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,  
Bez jęku prochem opadła do łodzi.

### XVII.

A Lambro w morzu przechował się cały,  
Do korsarskiego dopłynął okrętu;  
Przywołał pazia — i na pół omdlały  
Padł na kobierce, mówił, a z oddechu  
Myśli zburzonych płynie mowa skora,  
W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita....  
Mówił do pazia: „Już pora! już pora!  
Zmienić banderę.... Ale czy powstaną?  
Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta,  
Może powiedzą: szalony! za rano!  
Więc dla niczego tyle znieść męczarni?  
Paziu! idź w góry, gdzie się klefty kryją,  
Do marmurowych zazieraj kawiarni,  
I pieśń im śpiewaj — i zobacz czy żyją?  
Zobacz, na grobach czy płaczą mścicielo?  
Lecz wróć jak zwykle łać napój makowy,  
O każdą kroplę napoju się spierać;

Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,  
I ciężar myśli — wypiłbym za wiele  
Dzisiaj chcę marzyć dłużej i spać dłużej —  
Ale żyć muszę — z Grekami umierać....  
Idź dobre wieści przynieś mi z podróży.“  
Poszedłem.“ —

Śpiewak cały się zapłonił,  
Czuł, że się słowem niepotrzebnem zdradził:  
Kryjąc zmięszanie silnie w lutnię dzwonił,  
Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.  
Obejrzał koło Greków, myśli czyta,  
Zaśmiał się gorzko, rzucił wzgardy okiem,  
I wyszedł. Za nim śpiesznym wyszła krokiem  
Jakaś Greczynka zastaną okryta.  
Może ciekawa pieśni tajemnicy  
Za odchodzącym pazurem zawołała?  
Potem z nim długo, długo rozmawiała,  
Na osrebrzonej księżycem ulicy,  
A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,  
Snać gorącemi prosiła go słowa —  
Musiał zezwolić, bo na jego rękę  
Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

~~~~~  
PIEŚŃ DRUGA.

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa.
Piekło to było — i te same słowa

Co na piekielnej wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;
Bo kto tu wejdzie, zagna się z nadzieją.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny.
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenia powiązał łańcuchem,
To się rozprysną — ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.
Jest ktoś w kabinie, bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącej istoty,
Lecz słychać często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy?
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgrzyzoty;
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł, postawił na stół lampę kryształową.
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
I zadrzał, bo to światło z marzenia go budzi,
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
Co widząc blade czoło, o szaleństwo woła.
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,
Twarz jego jakby z kruszczu łamała się twardo,
Malowana naprzemian śmiechem, bólem, wzgardą,
A potem się w bezwładną spokojność przybrała:
Jeżeli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.
I spoczywał bezwładnie na stole oparty —
Przed nim rozwite światła znajomego karty,
Cała ziemia ramieniem Lambra opasana,
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

— A te ściany są krwawą powieścią korsarza.
Lampa co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu.
Tam dalej blask księżycyca rzucony na progu,
Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
I różne pawilony z obcej wzięte nawy,
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
A tam — lampa oświeca pergaminu kartę,
Firman złotem w sultańskie ustrojony słowa;
Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,
Od sultana samego głowy mało mniejsza,
Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.
Dalej złotem wybite, krwią rdzawe oręże,
Nad czarami ze spiżu okręcone węże,
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
Z tych ścian wyczytaj zbrodnię wygnańców z ojczyzny.
A sumieniem kajuty są ściennie zwierciadła,
Których powierzchnia parą wilgoci poblądła,
I co dnia zasłonami grubszemi ciemnieją,
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją.

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.
W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha.
Jego myślom w dalekie rzuconym zawody,
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,
Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,
Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

III.

Czegóż paź czeka? — powinien co nocy
Podawać czarę, w niej napój makowy.
Bo Lambro co dnia bladzy o północy,
Szaleje trucizn namiętne wypiciem,

I życie mieni na sen gorączkowy;
Sen tak jasnymi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.
I co dnia czara o kroplę pełniejsza,
Te same widma i sny mu dawała.
A choć twarz bladła — źrenica świetniejsza
W ciemność wlepiona, krwawa, potem biała,
W krainę duchów biegła — i wracała
W krainę myśli — wtenczas cierpiał, szalał
Zebrał u pazia trucizny nad miarę,
Lecz paż jak dziecku groził, nie pozwalał,
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła
Paż jak zazwyczaj nie podaje czary?
I korsarz milczy, choć mu twarz pobladła?
Snać, że się lęka ze wspomnień zwierciadła
Zamglić szaleństwem gorączkowej mary
Owego widma płonącej fregaty,
Co stoi przed nim pełna jęków, wrzasku
Przeraźliwego, wśród płomieni blasku,
Dotknięta palcom anioła zatraty.
Więc nie chce trucizn — ale czy wytrzyma
Przez noc zwyczaju przelamać narowy?
Obląkanemi spogląda oczyma,
Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy,
Niepełnym żagleń brał wiatru pieścizoty —
Powietrze szkliste pełne tajemnicy,

Księżycowego blasku i tęsknoty.
I tak się błękit ochylił do koła,
Ze maszt najwyższy, schylony u szczytu,
Nie śmiał jakoby wznieść dumnego czoła,
Pod kryształowem sklepieniem błękitu,
A w drżącej fali jak srebrne delfiny,
Igrały wkoło blaski księżycowe,
A dalej mgłami błękitne krainy,
Archipelagu wyspy cytrynowe;
Na widokregu nieraz czarna skała,
Albo w lodowej, albo w gwiazd koronie,
Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonio.
I nieraz z szumem fali doleciała
Pieśń, którą słowik napętnia og-ody;
I róż woniami, co na brzegach kwitną,
Nieraz wiatr drżącą falę zakolysze.
I wszystkie barwy topią się w błękitną,
I wonie, w zapach tajemniczy wody,
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
Długo, ciekawie śledzi rysów lica —
Twarz jego straszną badością przeraża,
Pobłękitniała od blasku księżycza.
Odeszli... Lambro, osłoniony w żagle
Patrzył na morze, na odległe skały,
I patrzył długo, dumal — potem nagle
Zachwiał się, chylił, i upadł — omdlały.

VI.

Wnet go tłum majtków dokoła otoczy —
Błądy był strasznie, na poły nieżywy.
I pał krzyk wydał z piersi przeraźliwy

Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbiegła na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu rozlała, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta, mówił nieprzytomnie :
„Kto tutaj jęczał — kto tu płakał po mnie?
Jeden znam tylko taki głos na ziemi
W płaczu z miłosnym pomieszany dźwiękiem?
Paziu! płakałeś łzami nie twojemi,
Ty mię zabijesz takim drugim jękiem!
Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie,
Dziwnym połamał myśli moje kształtem;
I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
Z letargu wstałem — gdzież ona? — tu była?
Nie, to paż tylko.... Jakże mię boleśnie
Noc ta urokiem ciszy przeraziła!
Noc księżycowa — czemu nie ciemniejsza?
I noc przekląłem i morza zwierciadło —
Morze tak ciche, czemu burz nie miało?
Gdy w nie patrzałem — moje czucie mdlało;
Patrzałem w czucie, moje czoło bladło,
I mgły na serce spadały jak śniegi.
Lecz to minęło — niechaj noc przemarzę.
Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
Niech wiem przynajmniej, że w obitej czarce,
Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami;
Nie spełnię całej — chociaż drżącej ręki
Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,
Lecz nie chcę skonać póki ziomków jęki,
Będą pacierzem i grobu hymnami“ . —
Wnet paż posłuszny rozkazowi pana
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
A czara była kształtnie dłutowana,
Niepełna, z roślin wytłoczonej śliny ;

Chwycił ją Lambro i pożerał okiem,
Blady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita;
Z czoła zasłony opadają mgliste,
W źrenicy płomień obłąkania świta —
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,
Ze można było przejrzeć w nie daleko,
Straciły barwę, stały się iskrami
I gorączkową rozpalone spieką,
Kryształowemi pokryły się łzami.
A potem czoło wsparł na drżącej dłoni —
Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne;
I wszystkie żyły wyblisły na skroni,
Jakby gałązki bluszczu powiązane;
I wszystkie włosy, jak liście jesienne
Drżały na czole, wiatrem nierozwiane;
I w marmurowej napozór postawie,
Rozkołysanie widać zmysłów pianie.
A o czym inni śnią, widział na jawie —
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały,
Rozcięte widma jednym życiem drgały.

Ciszej! bo właśnie teraz sen czarowny
Rzucił go lotem po nieba błękiecie —
Dzikiej rozkoszy urok niewymowny,
W nagłonym tchnieniu zamknął zmysły, życie,
Słowo poczęte śmiech porywa, łamie —
I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
Bo to nie skrzydło, ani silne ramię,
W lekkiej powietrza pławilo go fali;

Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął — i nagle tysiące błyskawic
Wieniec ognistym mignęło do koła.
Rzekłbyś, że tysiąc zamachniętych prawic,
Wiało tysiącym mieczem archanioła!
Pogasty — w błękit stopiły się ciemny,
Tak przezroczysty, głęboki, tajemny,
Jak nieskończoność... I słychać szum morza.
Potem z ciemnego błękitu przestworza,
Wykwitnął mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tysiącnych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony —
Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całym niebie. A jedna połowa
Uwiana była z promieni księżycy,
Jasna i biała jak noc księżycowa.
Cała w przezroczu błękitnawo-szklista;
A druga strona posępna, ognista,
Jak piekło. Wielkie zwierciadło Egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod nim schylone duchów karjatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem.
Zbliżka ogromne jak ciemni szatań,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze — i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani.

A Lambro nie śmiał tchnąć bo choć wyniosła
Była duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala,

W otchłań człowieka technieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał — i technienie polykał do łona,
By czarownego nie zamglić zwierciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Klefstów oddawna pomarłych widziadła.
A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
Bładzi — posępno-srebrni, lub ogniści,
Lekey i liczni jako chmura liści
Wiatrem zwichrzona, wiazali się w tłumy.
Ale dotknięci żywego oczyma,
W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.
Widać, że znaczni rysami Kaima
I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,
Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów,
I przed oczyma Lambra, napół sini,
Napoly lśniący od złota, szkarłatów,
Ziemiemi barwy, jak oazis kwiatów
Stali na srebrno-ognistej pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
Milionowe patrzyły nań duchy;
I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
Pałace uczuł znamię duchów wzroku,
I drżał — gdy szmerem rosnącym potoku,
W ciszy setnemi głosy zawołali:
„Czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali?“

VIII.

Straszna twarz Lambra, łamana cierpieniem —
Otworzył usta, chciał mówić — i nie mógł,
A potem słowo złamane westchnieniem.

To słowo „żyje“ rzucił z głębi łona —
I wstał z dywanu, wyciągnął ramiona,
Widać, że walczył ze snem i sen przemógł.
Spojrzał w około. — „Paziu! daj mi czarę;
Za mało trucizn zapalonych piłem,
Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem —
Że nie zginałem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie....
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,
Co razi serca tonące w zachwycie!
Być jako wieko przysypanej truny,
Co zrazu każdej garści zapomnienia,
Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;
A potem milczy... Paziu, chcę marzenia!
Lej mi trucizny — pić będę, pić będę,
Póki się wszystkich myśli nie pozbędę,
I tej ostatniej co serce przejada.
Paziu, daj czarę“.

— „Próżno błagasz panie;
Tej czary żadna nie zdobędzie siła;
Bo dziś jak niosło twoje rozkazanie,
Jam czarę (kłamał) do morza wrzuci....“

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem,
Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
I pochylony naprzód, stąpił krokiem.
Patrzył w twarz pazia i krzyknął: „to ona —
O nie, to widmo z piekielnej otchłani!
To mi upiora przystali szatani,
Aby tak za mną wiecznie szedł po świecie —
Ha! wy anieli piekiel! wy nie wiecie
Że ona żyje — i tylko dziś rano,

W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;
I tym podstępem omyliłem strażę.
Palnego statku Turcy nie poznali....
O! gdyby ona płonęła w pożarze,
Chciałbym z morskiej wynurzyć się fali? —
Po cóż to widmo? — we mnie, lub koło mnie
Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
W jej twarz się mienia? Paziu! chodź tu do mnie
Chodź! niech przy lampie —“

Lecz paż nieprzytomnie
Nalewał napój w pozłacaną czarę,
I z drżącej ręki nieliczonych wiele
Kropel trucizny, upadło nad miarę.
I szedł zachwiany i stąpał niesmięło,
Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
I tak przed lampą stanął, że ja cieniem
Swojej postaci nachylonej mroczy....
Lambro miał usta spalone pragnieniem;
Oczy, sennemi tłoczono ciężary,
Z oblicza pazia — upadły w głąb czary.

IX.

Wypił. Wnet całe splonęło mu lice,
W tym blasku, w oka obłąkanym rzucie,
Nieodgadnioną widać tajemnicę;
Jakby niepewne boleści przeczucie
Znów mu się sennie ukazały barwy:
Ciemno-ognista i miesięcznej bieli,
I znów te same widział klestów larwy.
Stanął w ich kole, słuchał — lecz milczeli.
A przed klestami stali dwaj anieli:
Jeden ognisty jak piorunu strzała,
Bezkarne wzrokiem człowieka nietknięty,

Był w Lambra myśli jako płód poczęty,
I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
Drugiego istotę księżycowa, biała:
Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.
Widać, że kiedyś był Boga aniołem;
Lecz barwy skrzydeł spłowiwały, poblady —
Musiał je zrosić ów anioł upadły,
We łzach człowieka nad świata padolem.
Ma w ręku czarę, z której błękitnawy
Płomyk wytryska i lice mu bieli...
I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
Śpiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA ZEMSTY.

* Falo ludzi! falo ludzi!
Przewracasz się, pieniąz, mętna
Bez wiatru usypiasz — ktoś ciebie obudzi?
Czy sława paląca, czy miłość namiętna!
Falo ludzi! falo ludzi!
Przed tronami niższą czołem,
Przerzedzona mieczem wroga;
Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.
O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu,
Na ustach zmarłego... Ja stoję przy grobach;
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach;
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mię więcej i więcej niż Boga.

Płynęła od wschodu,
Szarańcza złowroga.
Niszczona od głodu,
Na Stambul upadła;
Z tej chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,
Wybito się wień tysiące;

I rzekłbyś, że wielkie olbrzymy milczące,
Szarańcze rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady,
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła —
Myśl zemsty mrącego narodu.

A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały,
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;
Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,
Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,
Gdy głosne też będą rozpaczę;
Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,
Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
I będzie go zgraja przeklinać sptakana,
Że z nimi na grobach nie placze.

Wylany ze łzami
Mój duch obumiera
Mnie światło dnia płami
Mnie księżyc otwiera.

Jak kwiaty, co kwitną nocami.
Ja czekam aż Turki wychodzą z meczetu,
I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte.
Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
Ja mieczem ognistym anioła,
Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
Co o krew woła.

HYMN ANIOŁA ZARAZY.

Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
Drży, przebiegane falą szóstawą płomyków,
Tam ja byłem na spickłym urodzony wietrze,
Tam jak szakal pilnuję gryzących się szyków.
A kiedy trupami pustynię pokryją,
Nim księżyc się w niebie wysrebrzy dwa razy
Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
Ja marzczę się umartwych — jam Anioł zarazy —

I lecę ich tony zabijać i dzieci,
Ażebym niedługo umarłych płakały.
A moje skrzydło krwi płamami świeci,
Ani ich morza opłuczą kryształ.
I lecę miasta zamieniać w pustynie;
A w miastach ludzie czują, że ja lecę,
W srebrno-błękitnej, w nadpowietrznej rzece,
Co nad krętymi ulicami płynie.

Z Sultana powracam ja grodu,
Sto głów sultański ściął miecznik:
A każda na postrach narodu,
Z bram miasta jak złoty słońcecznik,
Spogląda za słońcem zachodu.
I oczy wlepiły w mgłę białą,
Co kraj im rodzinny zakrywa;
I każda się zda jakby żywa —
Krwiał płaczą, gdy im łez nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem —
Mścicie się, rzekłem, dam broni —
Czarnym zarazy łańcuchem,
Sultańskie grody związały,
W meczetów zakradły się woni.
Za bramy wybiegł lud cały,
Na bramach była zaraza;
Lud martwe dał jej pokłony.
Głowy, jak królów korony,
Świecą na słupach z żelaza,
I mają poddanych — trupy.

Z syryjakiemi łupy,
Ja okręcił przez wały,
Po morza błękitcie,
Do portu zawiąłem.
I stał oniemiały,
Nie spuścił szalupy,
A na żaglu szczyt,
Nad cichemi trupy,
Ja anioł siedziałem.
Lud widząc bitny,
W grobów popiele,

Chciałem by groby otwarli.
Złoty aniele!
Rzekli umarli,
Weź z naszych grobów płomyk błękitny,
I mścij się za nas.... Duch grobów wziętem
I lecę mściwy,
Bo lud nieżywy
Nazwał mię zemsty aniołem.

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia —
Lambro je we snach gorączkowych składał.
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jak gdyby w piersi marzeń brakło technienia.
Wstał, chciał się zbudzić, lecz padł na dywany,
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obłąkany,
Rzebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonej w bieli,
Nawet szatami marzeń się przelekna.
I rzekł: „O duchy! — o, ciemni anieli!
Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wachodnich odalisk;
Bo w mojem sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną — ona będzie żyła!
Dla niej utworzę, pośród myśli zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden. —
I nie sam będę — choć klasztorna krata,
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą —
Szalona zemsta! — burzę świat sam jeden,
Mamte być znowu piekiel Danaidą
I krew lać wiecznie do tej czary świata,
Co się krwią nigdy napętnić nie może?
Cayż się bezemnie sam nie zemścisz Boże!
To są anieli Twoi.... ci, przedemną

Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,
Całą na czołach ogniem wypisaną;
Ale nie mogę wyłamać z niej słowa.
Słuchajcie ludy! mścić się nie za rano —
Nie — dziś nie mogę, dziś mi cięży głowa.
Jutro.... dziś w marzeń upływam potopie!
Jutro.... Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką — potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu i dam czarę ludom —
A one może w chwili obłąkania,
Odepchną czarę — wieczna im mogiła!
Jeżeli czarę od siebie odrzucą,
Jeżeli usta dla tego odwróca,
Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,
Chociaż tak była bezcenna i droga,
Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
Lecz niech ją pojme, niech przeniknę jasno,
Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów,
Zemsta człowieka i zemsta narodów....
Jest w sercu, w myślach — moje myśli gasną....
Znow mię ogniste porywa marzenie;
Widzę je sercem i okiem zamkniętym.
Powietrze zda się wielkim dżumentem
W którym kolory grają i płomienie.
Szatani! o ciemni szatani!
Jak płyną wirem obrazy!
To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani
W skrzydlate widmo się mieni;
A z prawej strony anioł zarazy,
A z lewej anioł ognisty!
Liny z promieni....
I morza obrus błękitno-szklisty

Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
I okręt białemi nie szumi żaglami;

I tylko czuję, że płynę,
Jak duchy w północną godzinę,
Pośpny, okryty mgłami.
I mgła błękitna pobiela —
Uciekające wstecz brzegi;
Topią się, nikną jak śniegi.
Znów widno.... tam palma drżąca,
Jako kapłan Izraela,
Do cichej twarzy miesiąca
Wznosi dłonie — twarz odwraca,
I mówi modlitwy szmerem.

Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
Odblyskiem swego lica ciemny brzeg pozłaca.
Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
I brzeg cały przeraża pożarów ogromem —
Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny.

A tam — Kolonny wybrzeże,
Białe posągów narody,
Wśród kolumn tureckie wieże,
Na gmachach las ostów szumi,
Jak Babilońskie ogrody —

I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,
Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
A tam gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa,
Wybłyśka jedna, druga i czwarta kolumna,
Szczęty gmachów Jowisza ściętą mają głowę.

Jakaż to jaskółka dumna
Na te gzymsy marmurowe
Zaniosła guiazdo? — Skonała
W tych gmachach wiara i chwala,

A ta jaskółka nie skona?
O nie — to chata Santona
Na gzymśów zawisa szczycie.
Pospępna wokoło cisza —
Przed chatą postać derwisza,
W nieba skreślona błękiecie,
Jako posąg meruchoma —
Modli się — depcąc świątynię.

Lambro marzył — a w twarzy zgryzota widoma
Czerni się i iza wstydu po licach mu płynio.
Patrzył w anioła zemsty, w anioła zarazy,
I oba stali cicho, posępnie — jak głazy,
I w ich postawach ogień potępieńców bladnie
„Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie“.
Rzekli, i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami,
Turków stolica w Bosforze.
Tysiące gmachów — meczetów,
I tysiące minaretów,
Jakby złotemi głoskami,
Jakiś napis alkoranu
Pisały w nieba błękiecie.

Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu —
Anioł zarazy siada na sofjskim szczycie.
I patrzy na stolicę — Gdzież sen mój? ciemnicje....
Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,
W którym czytałem wszystko na te oczy.
Rozbić musiałeś, bo wszystko tak mgleje,
Czerni się, pierzcha, rozbija, pobladło —
I coraz grubiej wrok mi się zamroczy,
Tak, że nie widzę nic prócz myśli własnych —
O męka, męka! z tych obrazów jasnych

W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma!
O jak głęboko pośród myśli tłumu,
Wzrok mój zabiega — jeszcze dna nie trzyma,
To wzrok ocknienia, to promień rozumu
Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty —
Tu korsarz zamilkł — sam w sobie zamknięty,
Długo na łożu leżał rozciągnięty.
Potem się zerwał, krzyknął: „jam otruty“.

X.

Zrazu się wahał i myśli przedziwa,
Żadnemi na jaw nie śmiał wydać słowy;
Jakby się lękał aby śmierć skwapliwa,
Nie rozwiązała wpeł zaczętej mowy;
I widać było jak na jego czole,
Ze snu chmurami łamały się bóle.
Chwyta za sztylet złotem wybijany,
A tak był drżący, że go ledwo dźwignął;
I krwi gwałtownem rozigraniem chwiany,
Nad bladym pazim dłoń wzniesioną trzyma.
Palił się cały — potem cały stygnął.
Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.
„Paż błękitnemi ściga mię oczyma
On ma twarz Idy — zabić go nie mogę!
Idź w świat — tam ludzie wszyscy ciebie godni.
Obludą w serca wkradaj się tajemnie;
Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,
Na Boga! szczęścia nie ucz się odemnie.
Idź — weź to złoto, może niem zapłacisz,
Za snu godzinę, za czarę trucizny.
Weź i tę czarę — wśród domowych zacisz,
Jeżeli kiedy dozwiesz siwizny,
Niech do tej czary twoje dzieci własne,

Cypryjskich jagód nalewają wina;
A może zasnieesz jak ja teraz zasnę.
Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
Śmierć od trucizny, bezsławna i marna,
I nadto wczesna. — Głębi mego łona
Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
Dał samobójczą myśl — ta wykarmiona
Rosła jak bujne, gęszące rośliny,
Stała się zmysłem duszy — rozkwitała.
Czekałem tylko szczęśliwej godziny.
A wtenczas, dusza rozwiązana z ciała,
Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń,
Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.
Wtenczas koło mnie stałyby wokóło,
Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
Niechby widzieli, że śmierć była w czarze.
Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem,
Śledzili we mnie męztwa — nie dostrzegli —
I dziś, dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli,
Widzę ją, widzę, tam, z błękitnem okiem,
O nie! to szatan ubiera w mgłę ciemną,
Takie obrazy. Wścikłość mię porywa!
To paż — to ona — martwa — jeśli żywa?
Ja konam! konam! — chodź ze mną! chodź ze mną!“
Paż upadł we krwi. Lambro drżący, błądy,
Przebił sztyletem — szedł — i niezatarte
Stopami krwawe powyciskał ślady —
Pot miał na czole, usta w pół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przekłęci.
Na czole myśli biegające tłumem,

Niepowiązane czuciem i rozumem,
Zlały się w ciemną niepewność pamięci,
Niepomny zbrodni, którą był wykonał,
Sennemi słowy trzykroć pazia woła;
Paż jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
Westchnął głękoko — chciał mówić i skoła.
Lambro spalony truciznami, bladnie,
Potem się drżący przyczolgał do stoła.
Chwycił za czarę — w czarze znalazł na dnie
Męty napoju — wypił je i ożył;
I sen od powiek na chwilę oddalił,
Śmierci przyspieszył — lecz marzeń przysporzył;
Jak lampa, blaskiem ostatnim się palił.

XII.

„Oto mój żywioł — ta ciemność ponura;
Już do otchłani myśl moja należy.
I nieskończoność jako ciemna chmura,
Świat opłynęła — myśl, gdy w nią pobieży,
Wraca zbląkana i znów się zamyka
W sennych marzeniach — moja nie wróciła....
Już nie mam myśli — odbiega mię — znika.
Raz nad świat wzbita nie jest częścią świata,
Zna nieskończoność, znała piekło — żyła.
Niech jak zabójca pierworodny brata,
Leci płomienną naznaczona blizną —
W malej z początku żywiona iskierce,
Kiedy w popioły obróciła serce,
W proch się rozpadło dotknięte trucizną —
.....
O jak tu ciężko — poco pod sklepienia
Zamknięto kwiaty? — ta woń kwiatów nudzi!
Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia

Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
Rozbić te okna! — rozbić szklane stropy!
Czy mi się zdaje? żali w tym wazonie
Rosnące róże i heliotropy,
Podobne z siebie do krwi dają wonie?
.....

Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie:
Sławę i zbrodni przebieżone stopnie
I krew — O sława! sława! to okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie.
.....

Wyście mię wplekli w koło Ixyona,
Wyście się po mnie wiele spodziewali;
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumie zanurzony fali,
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum — cierpiałem.
Precz ludzie... dajcie spokojnie mi zasnąć!
Ha! i ta lampa chce ze mną zagasnąć —
Świeć blada lampo, kiedy ja się mroczę,
Świeć — i świeć jutro nad korsarza ciałem —
Dotknąłem lampy i całe przezrocze
Krwą poplamilem. Tu wrogi być muszą —
Wpadli na pokład i krew się rozlała,
Słyszę nad głową jak się deski kruszą,
Jak pierś okrętu rozbijają działa.
Chodźcie tu wszyscy... choć mam twarz pobladała,
To nie od trwogi — Chodźcie wszyscy razem!
Jeszcze nad głową powieję żelazem —
O jak mi ciemno! więc wszystko przypadło?
Przekleństwo temu co pomiędzy tłumem,
Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął,
Przekleństwo fali, co z piekielnym szumem

Drze się, szczelinę rozwierając kruchą,
I okręt z głębi łona westchnął glucho —
W głąb idę....“ Upadł na dywan i zasnął. —

XIII.

Lampa zagasta. A korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki.
A teraz.... słychać tajemnicze kroki,
Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
Webodzi ostrożnie w krainę męczarni —
„Cicho“? rzekł, „cóż to, oboje uśpieni?“ —
Więc nieco tajnej otworzył latarni,
Rzucając kolem kilka mdłych promieni.
A gdy te biegły po ścianach komnaty,
Gdy od zwierciadeł wróciły przezroczy,
Widać przychodnia — pazia nosił szaty,
Do zabitego szat podobne krojem,
I równie blizki postawą jak strojem;
Ale miał czarne, jak noc czarne oczy,
I mniej był młody i piękny na twarzy;
Bo na niej uśmiech i bladość korsarzy,
Jako na miękkim wosku odcisnięte,
Świadczą, że bólem przed latami dojrzał;
Ze miał już serce na czucia zamknięte,
Stał, słuchał chwilę, potem ku drzwiom spojrzal
Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę,
I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
Zuów się odwrócił, z potu otarł lice,
I wołał coraz głośniej: „pani! pani!
Już ranek świta. — Pani! o na Boga!
Uciekaj ze mną — korzystajmy z cieni —
Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,
I on się zbudzi.... korzystajmy z mroku —

Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
Za sto pierścieni, nie chcę czekać kary!
Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
Bo on jak człowiek, on się mści bez miary.
Pani! odpowiedz — chwil mamy nie wiele —
A korsarz.... Cóż to? podłoga zroszona,
I krew.... na martwym potknąłem się ciele.
Lampę odkryję.... O Boże! to ona!
Sztylet ma w piersiach — to ona — zabita.“
Umilkł, tysiączne uczucie nim miota;
Martwy z przestrachu — przerażeniem ożył.
Spojrzał przez okno, krzyknął: „świta, świta!“
I z oblakaniem chwycił za wór złota,
Wybiegł i rygle za sobą założył.

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu,
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy,
Deszczem spadały do morza błękitu —
Inne, blask zorzy płonącej pochłonał.
Lambro otworzył mgliste snami oczy:
Połową uczucia jeszcze we śnie tonął,
Połową myśli sen przenikał zdradny,
Rozkołysany pośród burzy wrażeń.
Lecz boleść była nicią Aryadny,
Po której wyszedł z labiryntu marzeń.
A szatan ciemny co się karni łzami;
Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
I chwil boleściom okradzionych snami,
Więszem cierpieniem i bólem dogonił.
Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
Lambro krew ujrzał, stał nad martwym ciałem,
I rzekł: „sztyletu główicę poznałem.

To jam go zabił, to mój sztylet własny.
Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
Z tym tłumem ludzi, że nawet samotny
Umrzeć nie mogę — ale w tłum wnięszany
Konam — i ludzie koło mnie padają,
Jak oberwany z drzewa liść stokrotny?
O! boleść! boleść umierać ze zgrają,
Jak pod gruzami zawalonej ściany!
Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie,
Głościami jęki ludzi zagłuszone;
Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie
Nie na człowieka lecz na tłum upada...
Wzniosę ten zawój, pióra zakrwawione,
Ujrzę twarz pazia — czy mściwa i blada?«

XV.

Lambro schylony z drzeniem i nieśmiało,
Zdjął zawój pazia ze strusiem pióry —
I uderzony jak gromem, o mało
Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
Na pół otwartej żrenicy lazury.
Upuścił zawój — sztyletu się ima —
Potem przypomniał śmierć, sztylet odrzucił —
Bo miał na ustach gorycze napoju.
I z obłąkaniem odszedł — i znów wrócił,
I znów rękami od śmierci drżącemi
Zdejmował zawój — wtenczas z pod zawoju
Włos uwolniony sypał się po ziemi
Ze smutnym szmerem, i dokoła twarzy,
Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
Okropny widok! Ta krew, co się warzy,
Co poplamiała jej szat aksamity,
Na twarzy smutek i miękka omdlałość.

I przezroczysta alabastru białość;
Kilka uwiedtych kwiatów w martwej dłoni
Trzyma na piersiach — a drugą dłoń dała
Jak śpiące dziecko za wierzchołkiem skroni —
W takiej postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
W serce wzburzone, z boleścią się łamią.
On, tak jak ludzie, co przed sobą kłamią
Moc wielką duszy — wstydzi się cierpienia.
A gdy mu własne serce zlitowane,
Niosło jałmużnę łez i utalenia,
On ją odrzucił, on sercem hartownie
Boleści ciała brał i nie wydawał.
Ale po chwili — nowych cierpień nawał
Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
Ręką bił w piersi — i krwawemi ciosy
Rozdzierał w bojach odebrane blizny!
Zkądże ta rozpacz? oto w głębi łona
Uczuł niktące cierpienie trucizny,
I myśl okropną, że siłami ciała
Bole zwycięży, truciznę pokona,
Że się wylamie śmierci — zabijała.

„Tak“ rzekł posepny „pochowam ją święcie,
W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.
Sam dałem rozkaz, aby na okręcie
Pod tą zasłoną pawilonu krwawą,
Nie przeszła stopa ani cień kobiety —
Miałbym pierwszy łamać dane prawo?

Mogliby ze mnie urągać niegodni!
Przed nimi trzeba kryć wszystko — prócz zbrodni“.

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
Siadł nad cichemi morza zwierciadłami.
Morze się lśniło ciemno-lazurowe,
Złociste słońcem — osrebrzone mgłami;
I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.
Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki
I długo z martwą rozstać się nie umiał.
To patrzył w odmet ciemny i głęboki.
To na jej lice zwracał smutne oczy;
A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze,
Mgłą rozwiewaną jej długich warkoczy;
Wtenczas czuł włosą wonie tajemnicze,
I dumał długo cichym wspomnień zalem.
Ani go zmarłej twarz razila zbladła;
Na płeć jej niegdyś płonącą koralem
Śmierć blade barwy, ale piękno kładła.
Widząc jej kształty, zda się że upadła
W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
I tylko drżąca tuli się do łona,
O nadto skore rozstanie lekliwa.
Zda się, że szumem morza przerażona.
Od grobu lice odwrócone trzyma;
I z okiem Lambra, wiąże się oczyma,
I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
O! patrząc na nią musiał czuciom kłamać
Jeżeli lzy nie miał na cierpienia nowe!
Gdy przyszło z objąć martwych się wylamać,
Odrzucić z szyi ręce lilijowe:
I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury!

Przeżył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył...
Rzucił ją w morze i patrzył ponury,
Jak się krąg fali złamanej rozszerzył;
Patrzył jak odmęt zraszał się rozbity,
A martwe ciało na polu widome
Na pół morskimi przykryte błękity,
Wzruszonej morza fali się bronilo,
Łamiąc się w kształty życiem nieruchome —
I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro — on był szatanem czy głazem!
Lambro schylony nad takim obrazem,
Śmiech miał na licach, wesołość na czole.
Ten śmiech ustami wydany blademi,
To były trucizn wracające bóle.
Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanic,
Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
A potem głośno w obie dłonie klasnął,
Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
Lambro rzekł: „Majtku! niech pop okrętowy.
Zapali lampy jak o wielkiem święcie;
I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,
Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidl dymie
Za tych co mają skonać na okręcie,
I co skonali“.

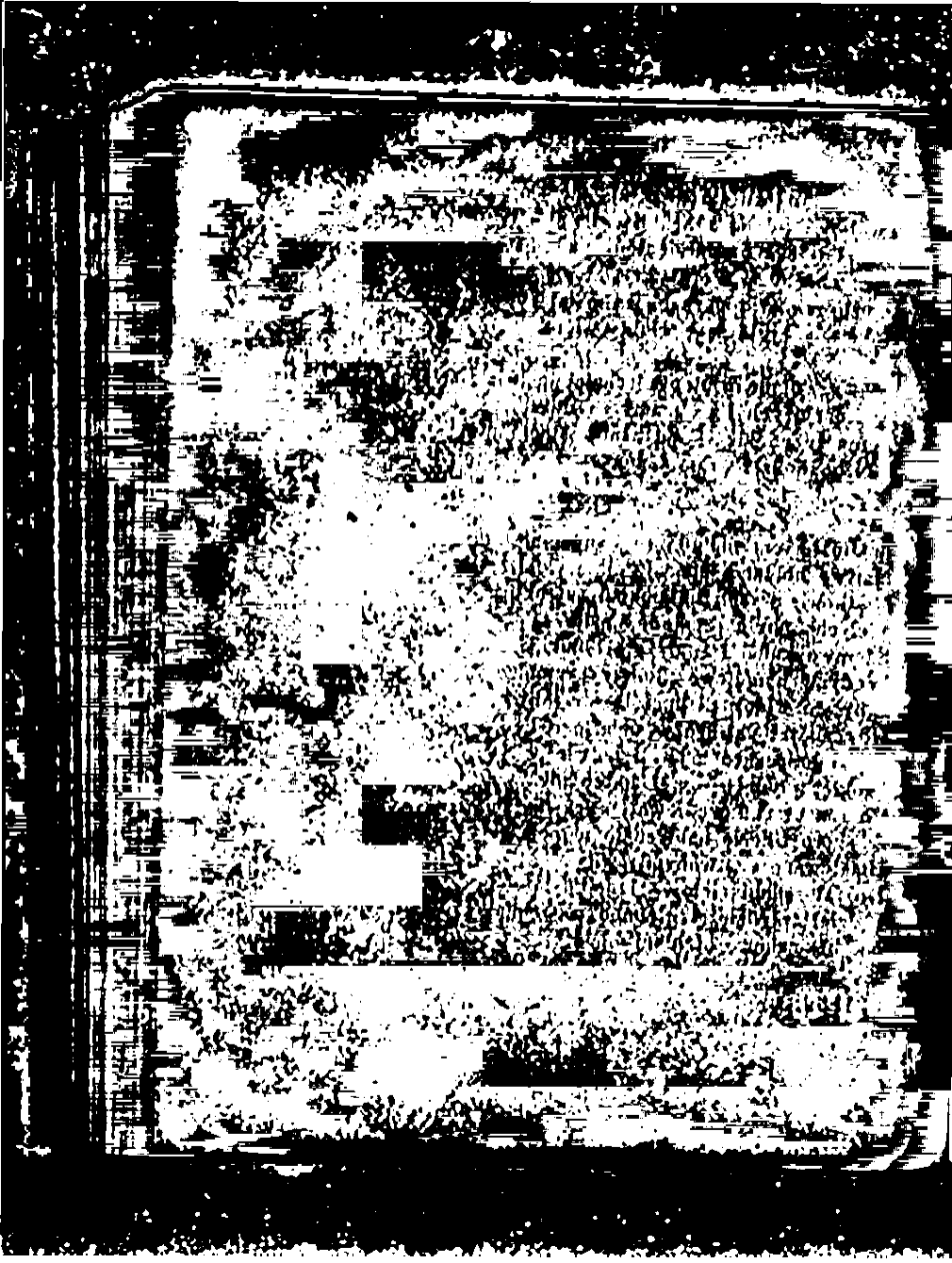
— „Panie! jakież imię
Wspomni w modlitwach? czyż nie gaśnie życie?“
— „Powiesić pazia na masztowym szczycie,
Za niego modły niech wzniesie do Pana“.

„Lambro! twój rozkaz spełnić się nie może.
Twój paż gdzieś uszedł i zniknął od rana,
Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
Lecz choćby w Pera ukrywał się wioze,
Choćby się w gmachach zamykał sultana,
Nakarmię kruki jego ciała ćwiercią“ —

— „To nic.... Pop niechaj odmawia pacierze
Za konających i za zmarłych duszę;
Teraz ty odejdz — ja sam zostać muszę“
I cicho dodał: „sam jeden — ze śmiercią!“

XIX.

Oto na czarnej okrętu banderze,
Martwe korsarza spoczywają zwłoki.
Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słyhać było szeptańc pacierze;
Szarawe kadzidl snuty się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok piękności straszliwy,
Gdy majtki patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice,
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.
A skoro trzecie zabłysnęło zorze
Umalowane czerwonymi świty,
Do fal rzucili ciało — i zniknęło —
I dział trzydzieści głęboko westchnęło
Na bez-echowe otchłani błękity.



ANHELLI.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańce na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenił, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą kraju; chyba Bóg zechce.

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny; ujrzeni raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz jakoby i tabór i sanie zaprzężone psami i trzoda renów z gałęzistymi rogami i ludzie na łyżwach niosący oszczepy; był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i koralach; na głowie zaś miał wieniec z węzów nieżywych, zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: Witajcie!

„Oto ja znalazłem ojców waszych także nieszczęśliwych widziałem jak żyli bogobojańie i umierali mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

„Więc chcę być przyjacielem waszym, i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

„A z ojców waszych już nie żyje żaden oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka ztąd daleko w samotnej chacie.

„Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostaną z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwi.“

Mówił jeszcze dłużej starzec ów i uszanowali go i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siólach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: „Zaprawdę nie znalazłem tu czegom szukał; oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

„Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś Boże?

„Ażaj każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? dla czegoż ci ludzie mają ginąć?

„Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

• „I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.“

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady rzekł: „Odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się jak znosić głód, nędzę i smutek.

„Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

„A to o czem pomyślicie wypełni się, i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

„Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spruchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę — będziecie piękni.

„Tak jak ojcowie wasi którzy są w grobach; bo spojrzycie na każdą czaszkę ich: nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

„Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci co przyjdą, widzieć was będą.

„Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

„Powiedziałbym wam dlaczego żyjecie i dlaczego się rodzą miliony dusz nowych i na jaki cel dane jest ciało: lecz nie pojmiecie mnie!

„Lecz mówię wam: bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.

„A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci — choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.

Rzekły więc do Szamona zgraje: „Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? Oto mamy między sobą księży, do nich należy słowo boskie.“

Na to im odpowiedział Szaman: „Słyszeliście o Mojżeszcu i o cudach które czynił? Jam jest Mojżesz między sybirskim ludem, a cuda czyniłem straszniejsze niż tamten, co przed wiekami.

„A nie wyszedłże z zorzy północnej anioł, kiedyś go wywołał z płomieni? Spytajcie ludu mojego.

„Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce zczerniało jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

„Aby was wkrzesił mówię i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.“

Tak mówił Szaman; i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą, obudził Szaman Anhellego mówiąc mu: „Nie śpij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.“

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy, ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A w środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholeta odpowiadały mu przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu Szaman rzekł:
„Powiedz! nie przebrałże miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

„Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzieczą do chleba jak małe szczeniátka, szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

„Powiadając, że car jest głową wiary i że w nim jest Bóg i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch święty.

„Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dzieciátka.“

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu, i wyszły mu z piersi płomień, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniomy koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potem wzdrygnąwszy się zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owem pruchnie człowieka chodziły skry — jak owe iskierki które są na spalonym papierze: błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciátkom rzekł:

„Nie lękajcie się; Bóg z wami.

„Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciała wasze już wędły.“

I wyciągały do starca rączki owe dziecińcy krzycząc:
„Staruszkę weź nas z sobą!“

I rzekł Szaman: „Gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci; chcecież abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed panem Bogiem?“

Odpowiedziały mu dzieciátka: „Weź nas i zaprowadź nas szerokimi gościńcami aż do matek naszych.“

I wszystkie krzywoć zaczęły z wielką dumą: „My Polaki! odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych!“
Aż Szaman począł płakać, uśmiechając się.

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu i na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy kozacy patrzali w zadumieniu na owe dziecko; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustemi drogami Syberji, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni, przez kraty parzących się na niebo, smutne i blade.

A przy jednej z onych turm spotkali ludai niosących trumny i zatrzymał je Szaman każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhellim widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach i rzekł: „Szamanie, oto się boją, żeby nie smartwychwstali ci umęczeni.“

„Obudź którego z nich, albowiem masz siłę cudów. Obudź tego starca z siwą brodą i z białemi włosami; bo mi się zdaje, że go znał żywym.“

A Szaman spojrzawszy surowo rzekł: „Cóż więc? Oto go wkrzeszę a ty go znów zabijesz. Zaprawdę i dwa razy go wkrzeszę, i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.“

„Lecz niech będzie jak żądasz, abyś wiedział, że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały a znalazły nas martwemi.“

Tak mówiąc, spojrział Szaman na starca w trumnie i rzekł: „Wstań!“ A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas Anhellim rzekł: „Witaj całowicku możny niegdyś w radzie i jeden z najmądrzych“

„Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczyl przed władzą i uczynił owe wyznanie winy, o którym słyszeliśmy?

„Dlaczego zaparłeś się serca twójgo i przeszłości twojej? czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżś uczynił?

„Zaszkodziłeś nam; albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

„Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.“

A gdy to mówił Anhelli stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów jękujący umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: „Zabiłeś go Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którym nie wiedział przed śmiercią.

„Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż, abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.“

To powiedziawszy zbudził umarłego, i podniósł się ów człowiek w trumnie, lzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: „Przebac, bom nie wiedział, że mówię obmowę i oszczerstwo.

„Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

„Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyluszczaście ziarno praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

„Przebac mi, że was równam ptakom bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

„O nieszczęśliwi! Oto jeden na cmentarzu sybirskim szuka spoczynienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie! — i rozłączeni i umarli.

Usłyszawszy owe słowa, wskrzeszony krzyknął: „Mój brat“ i powalił się w trumnie i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: „Na cóżes mu powiedział o śmierci brata? Oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

„Stało się! Niech zakryją te trumny i zanosą je na cmentarz. A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych, którzy śpią i odpoczywają.“

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrowkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącymi lasami Syberji, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosn.

A Szaman ujrawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej rzekł: Oto widzisz tę płotkę co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

„A teraz opowiada siostrom swoim na dnie, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę między inszemi rybkami.

„Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku.

„Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozpowiadającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami; a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawane są.

„A choroba zgubną, mówię, jest melancholja i zamyślenie się zbytecznie o rzeczach duszy.

„Dwie są bowiem melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

„Mówię ci o tem, albowiem poddajesz się smutkowi tracisz nadzieję“.

Tak mówiąc nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu mówiąc: „Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy nie widząc ciebie między nami.

„Zostań przez tę noc a zastawimy wieczerzę i poświęcimy ci łożo w łodzi“.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błabe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościnnie złoty ku południowi:

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej mówiąc: „Oto opuściłeś nas! i nie robisz więcej cudów między nami“.

„Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary, i wątpimy nawet czy jest w nas jaka dusza“.

Na to Szaman uśmiechnąwszy się rzekł: „Chcecież abym duszę pokazał oczom waszym?“

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: „Chcemy; uczyni to!“

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego rzekł: „Cóż uczynisz z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uspił i duszę twoją wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom?“

Anhelli odpowiedział mu: „Czyni jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.“

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

„Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!”

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu kazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: „Panie: widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza która jest z twego ciała.

„A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca; i nic jaśniej migającego oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

„A nawet uczuliśmy woń: jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalij“.

Słyszając o tom Anhelli obrócił się do Szamana i rzekł: „Prawdaż to jest?” a Szaman rzekł: „Prawda — opętanyś jest przez anioła“.

„Cóż więc“ zapytał Anhelli, „uczyniła dusza moja będąc wolną? Powiedz, bo nie pamiętam“.

Odpowiedział mu Szaman: „Oto poszła po tym gościńcu złotym co jest na wodzie od księżycy i uciekała w tamtą stronę jak człowiek co się spieszy“.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać mówiąc: „Oto chciała powrócić do ojczyzny“.

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anbellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców Barskich — ostatni.

Chata jego ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd głębokich, i śpiewająca od świerszczów, ustronna była i spokojna.

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleb i jabłka czerwone, a potem zaczął jak zwykle rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tem będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach, które mu się zdarzyły za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków, które nazywają czerwem; i z nich płacił podatek carowi — był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie późnej zajechał przed chatę celnik, i napiwszy się ze dzbanu, dopominał się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczyć podatкови i sługę onego zбоgacił.

A zabrawszy wszystko celnik wychodził z chaty mó-

więc: „oto masz jabłoni owocami okrytą, muszę z niej wziąć dziesięcinę“.

To powiedziawszy sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

„Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych co trzęsą drzewem, aż się moc boska pokaże“.

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jablek czerwonych jak człowiek spokojny.

A oto jabłoni okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo, nie upadały więcej.

I gołębie śpiące obudziły się, myśląc że już jest godzina ranna i umywszy pióra wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestrachu i wsiadłszy na wóz odjechali.

A Szaman zawoławszy Anhellego rzekł: „Chodźmy ztąd, albowiem gospodarz pytać nas będzie jaką władzą to czynimy; a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest“.

Tak mówiąc otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: „Oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy Bożej, która w nas jest, ale płakać będziemy; bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.“

„Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie wierzą. W dekrete co je potępił napisano było: Na wicki!“

„Oto są kopalnie Sybiru!“

„Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen:“

„Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem i o lanach gdzie mu się zboże kłaniało jak panu swemu; i szczęśliwi są teraz przez sen.... lecz się obudzą.

„W innych kopalniach wyją zbrodniarze; lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

„Łańcuch co tu szczęka smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa, i jedno echo które mówi: „żałuję was.“

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiących do pracy.

Powatali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonei głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem: „Kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.“

Na to mu odpowiedział człowiek bladej i arezantant: „Ten o którego pytasz, księdzem był, ja go znalazłem; spowiadał żonę moją i dzieci w ojczyźnie.

„A gdy przyszła wojna siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosami nogami; a gdy był ogień, przed szeregiem stał, krzycząc: za ojczyznę, — za ojczyznę!

„I przywołał go biskup i wydał katom w ręce, ale wprzódę zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał.

„A katy pochwycili człowieka bożego i wepchnęli go w ciasną siernięgę, a potem go w niej zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

„Więc przywieziono go do kopalni, i udawał że mu jest dobrze na sercu; ale ja widział, że był bladej i smutny.

„I poddał się rozpaczy i secht jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego rzekłem: Bój się Boga! dla czego się gryziesz?

„I rzekł mi z wielką tajemnicą jak człowiek obłąkany: Zapomniałem wyrazów pacierza — i pogroziwszy mi palcem abym był cicho, odszedł.

„I zobaczyłem go raz, że brał w ciemności olów zgnity i truciznę ową poływał.

„A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach jak zmoczone płótno namiotu; oczy zaś miał błyszczące.

„A dziś nie wiem jak umarł, bo oto spałem przy nim, a nie słyszałem, aby choć westchnął.

„A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam; był człowiek uczeiwy.“

Więc Anbelli obróciwszy się do Szamana rzekł: „To samobójca!“

Lecz Szaman zasłonił oczy i podniósłszy kawałek ołowiu z ziemi rzekł: „Ten olów zabójcą jest i doradcą złym, bo mówił: weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.“

„Ten olów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspokaja.

„A przekłety, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się!... podobny strzaskanej kolumnie.

„Lecz przed wichry silnemi i wam padać wolno — będziecie żalowani.

„Cóż więc! odmówią wam poświęconego cmentarza? kto wie jaki jest sen w niepoświęconej mogile?

„Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą — i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych, i mieć godzinę cichą.“

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarzo i rzekli: „Dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przyslanym od Boga.

„Więc oto wiedz, że przed pięciu dniami upadła skała i zawałiła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny, stary, z pięciu synami — a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem mówiąc: to długa praca, niech umrze.

„A my stajemy co dnia przy owej skałe słuchać, czy jeszcze żyją; lecz nie słychać nic w tej jaskini, nawet jęku.

„Jeżeliś jest człowiek boży, odwal kamień: może jeszcze żyje ojciec, lub które z dzieci jego.

„Spraw przynajmniej zadziwienie katom naszym, uwolnwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.“

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skałe i stało się wielkie milczenie, a Szaman podniósłszy oczy w górę modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wyrzucił skałę tak, że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wzięwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeni widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte, błyszczały jak szkło; a czworo innych umarłych leżało w bliskości, jedni na drugich.

I spojrzawszy na nich Szaman rzekł: „Co uczyniłem? Oto ojciec żyje a synowie pomarli już. Dlaczegożem się modlił!“

To mówiąc wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc dalej, ujrzeni wiele ludzi białych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszedli nad jeziora podziemne, i postępowali brzoгами ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzie niegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: Jestże to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie są rybakami nieszczęścia?*

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody, z twarzą zadumaną odpowiedział: „Pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imięninny królewskie i dzień wytechnienia.

„Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

„A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionem i te wody milemi mu były.

„Człowiek to był błądy, z błękitnemi oczyma, wychudły i pełny ognia.

„A oto przed siedmią laty ogarnął go pewnej nocy duch prorocstwa i uczył wstrząśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez noc całą to co widział, śmiejąc się i płacząc.

„A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: Oto smartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! I to powiedziawszy upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

„A we dwa lata później, powiedzieli nam nowi wygnañcy co się stało, i policzywszy nocę poznaliśmy, że ów prorok nam prawdę mówił; więc ochcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

„Szanujemy więc ten krzyż nie mówiąc więcej: oto człowiek, który leży pod nim, był warjatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to?*

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu rzekł: „Czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?*

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: „Oto jest dzwonicie po umarłym

proroku! Oto jest Anioł Pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.*

I podniósłszy oczy, rzekł: „Boże! Boże! prosimy Cię aby nasza męka była odkupieniem.

„A nie będziemy Cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że twój sąd nad nami jest zapadły. Lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się Boże!

„A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weslimy się jak męczennicy; bo nie powiedziałeś czy męka nasza policzona nam będzie za ofiarę; lecz powiedz, a rozweselimy się.

„Bo cóż jest życie, aby go żałować? czy to jest Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

„Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić.“

I rzekli na to nędzarze: „Oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem swoim przybyła i cierpi za serce człowieka.

„Chodźcie! a pokażemy wam wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

„Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka.

„A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem klękawszy przed cesarzem błagał o życie; i dano mu je pogardziwszy nim.“

Tak mówiąc przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zacerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go: „Coby to było, ów szczęk żelaza i bicia?” A zaś aresztant odpowiedział: „Kara jednego z nas.

„Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta bożkiego, pędzą przez łańcuchy.”

A udawszy się na miejsce męki, Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi, stojących z łańcuchami w rękę, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a w środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha, i szczęk drugi wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary, i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze, jakoby dane przez ludzi litośnych.

Lecz starzec odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: „Mój ojcie!”

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej —

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej, w niebytności Szamana klócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny!

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabelle, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i klócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrążając się, że u pierwszych dowie się jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: „Oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo“.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego jakie było w tym kraju drzewa, i wystąpili trzej męczennicy po jednym z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba jakoby wichur, pytając: „Co czynicie?” lecz go ci ludzie nie przelekli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ówiewkami; a ten co był na prawo krzyża: równość! a ten co był z lewej krzyża: krew! wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami czekając co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całą niebios połowicy, i ogniaste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: „Źle czynimy! godziź się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?”

I przeraziły się zgraje mówiąc do siebie: „Oto umierają i nie skarżą się”.

Rzekli więc do tych co byli ukrzyżowani: „Chcecie a zdejmujemy was?” Lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych co uciekali nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwo i umęczone. Zorza je czerwieniła — zostali sami.

A właśnie wtenczas Skaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej, i zadziwili się spostrzegłszy na ognistych niebiosach trzy krzyże, i rzekli z przestachem: „Co się stało?”

A przyzedłszy bliżej strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał.

A powstawszy rzekł do Anhellego: „Oto mi duch Boży oznajmił winę tego ludu, i wiem dlaczego tych ludzi ukrzyżowano: lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmujemy je i zaniesiemy na cmentarz.

„Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż go oczyścił“.

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skończone na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił, i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł siedzący na szczycie wzgórze skinał skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozplakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana: „Co to za Anioł z białymi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym ucichają grobowce?“

Lecz nie mu nie odpowiedział starzec; zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu Aniołowi, spojrział na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego spotknął się na niem, i krzyknął boleśnie; ale poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: wstań! nie jest jeszcze czas spoczynku.

A powstawszy Anelli, oglądał się wokoło i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek co się wstydzi, mówiąc:

„Otom zobaczył Anioła podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

„A mitowałem ją w czystości serca mego; dlatego lzy mię zalowają kiedy myślę o niej, i o mojej młodości.

„Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski co się boi; i nie wziętem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko; jak gołąb mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

„Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie; sąż to gwiazdy te same, które mię widziały młodym i szczęśliwym?

„Dlaczegoż nie powstanie wichur co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dlaczego ja żyję?

„Oto już jednego włosa nie ma na mojej głowie z tych, które były dawniej; oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

„A nie ma jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

„Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego co ze mną uczynił, myśląc: że oto już nie narodzię się raz drugi.

„Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstawać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

„Oto więc mi smutno, że ujrzałem tego Anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.“

A Szaman zapatrzwszy się w gwiazdy rzekł: „Zaprawdę, że jak dawniej wielu było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły.

„Cóż zrobię? Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał, i pozwolę aby weszły w lilje wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych; zamieszkały w tem co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

„A wiesz-li kto jest ten Anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloë, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylała była nad narodami.

„Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej i wnuczce Marji Panny... jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły waszo i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów; ona jest pasterką renów.

„Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stapać przy blasku księżycy; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.

„Zaprawdę, że dla tych co są smutni, ta kraina piękną jest i nie bezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

„Tu przylatują mewy, i gnieżdżą się, i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna.“

Tak mówił i podniósł jedną z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptaszek.

I wyciągały główki przez niejace, gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość śpiącego człowieka.

A wzięwszy ją rozgniewany Anhelli, rzucił o ziemię mówiąc: „Precz kościele zhańbiony.“

A płomień z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim, i w ubraniu biskupiem z infulą i z krzyżem na głowie; a wszystko ogniście.

I rzekł z wielką zgrozą: „Oto przyszlście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?”

„Ręce moje łamały hostję, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę mówiąc: bądźcie przeklęci burzyciele grobów.

„Aż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie, i na biskupim oparty pastorałe, modląc się za kraj, który miał ginąć jak człowiek potępiony?”

„Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc: oto jest krzyż.

„Nie poszedłem na wygnanie jak człowiek czysty? Któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegoż więcej chcecie od ludzi co umarli?”

„Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z nimi.

„A to jest moja kość, ta kość spruchniała. Ludzie ją nigdy szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja; a dzisiaj mewa w tej czaszce uwita gniazda i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

„Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? Gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberji, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej.”

Tak skarżył się — i przeproszał go Anhelli za obelgę kości jego mówiąc: „Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie.

„Myślałem, że się smuczisz za wzdargę kości twojej.... Jest to świątynia pełna ptasiego wrzasku? Lecz niech tak będzie jak się Bogu podobało.

„A nie powiem ci co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym i poszedłbyś jęcząc po świecie.

„A teraz przostań być latarnią grobu własnego, i zrzuć ogniście szaty, i rozbierz się z płomieni.“

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli wołając: „Powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie.“

Skoro to wyrzekł, usłyszał z pod ziemi jakoby głosem tym co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellogo Szaman mówiąc: „Wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.“

I zeszli ze wzgórza mogli, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki i śmiech, i wrzaski, i szczękanie kielichów, i brudne pieśni. A stanąwszy Szaman pod oknami słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichła; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić zapalając się w smutku:

„Cóżście uczynili, rzekł, bezemnie? widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

„A nie zostanę z wami, lecz to co powiem, zostanie z wami: Bądźcie potępieni, kłótlivi ludzie!

„Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Pomrzecie!

„Zbliży się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego. Zbliży się dzień sybirski i słońce zatracenia.

„Dla czegożście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają ojczyzny?

„Oto obraziliście ludy tej ziemi — i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.

„Spotkałże z was kiedy kto Oatyaka i obszedł się z nim łagodnie i po ludzku? Zaprawdę! koto psa nie przeszedł żaden, nie uderzywszy go nogą jak węża. O ludzie bez pamięci i serca!

„Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

„A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

„Wyostrzcie wasze topory, bo potrzebne wam będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

„Zbliża się wielka noc i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach lecz jaką krwią? Zaprawdę nie krwią baranka!“

Gdy to mówił Szaman, niektórzy się przelękli, lecz jeden z pijanych chwyciwszy za dzaban gliniany, rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ujawszy więc za topór Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman mówiąc: „Bądź cierpliwy.

„Kto tu za rok powróci będzie płakał nad nimi; dla czegoż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości.

„Boże, nie karz ich.“

Tak mówił, a jeden ze zgrai zawołał: „Czarowniku, urzekłeś nas! oto dzaban był pełny i wysychł.“

A inni zajrzawszy w dzabany, potwierdzili to zgodnie mówiąc: „Odczaruj nas albo cię ukarzemy śmiercią.“

I stał się wielki wrzask i groźne podniosły się przeklinania; a jeden wzięwszy nóż wrzcił go w piersi Szamana mówiąc: „oczarowałeś nas.“

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta Ellenai, która kiedy była zbrodniarką.

A gdy wyszli na miejsce oświetlone gwiazdami, przemówił starzec: „Nieście mię blisko grobowców, bo już zasną.“

Położyli go więc na jednej z mogił, i zimno śniegu ożywiło go, a kobieta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I otworzywszy oczy starzec zawołał po trzykroć: „Anhelli! Anhelli! Anhelli!“ — a głos jego był smutny.

I rzekł mu: „Weź reny moje i pójdz na północ, znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.“

„Weź z sobą tę niewiastę, i niech ci ona będzie siostrą; ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę, aby zginęła jak tamci.“

„Cóż ci mówić będę! Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.“

„Boś czysty był jak lilja biorąca z wody liście i koloru niewinne; boś mi był jak syn dobry.“

„Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojej, ani płacz myśląc, że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.“

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stapanie po śniegu i rzekł: „Ktoś nadchodzi? czy to śmierć stąpa głośno?“

Lecz był to reu, który stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy nappełnił wielkimi łzami; i odwrócił się od niego Szaman płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń Anhelli, wziął go za rękę i poczuł, że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu, i obróciwszy się do niewiasty, rzekł: „Chceszli mię wziąć za brata? Chodź ze mną“. A ta mu do nóg upadła mówiąc: „Aniele mój!“

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na północ, a za nimi szli renowie Szamana, wiedząc, że za nowymi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc Anhelli z ową niewiastą i renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej,

A po krótkim pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liściami i doła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popelnivszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarzącą się jak płacz niewinnej dziewczyny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystymi mówiąc: „Oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeżeli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.“

Przyszła więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło lecz biegło niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białym czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był, jakoby głos Boży, odzywający się na wysokościach, do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu, zaczęły się nocy w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy zalane łzami wielkimi, rzekła Ellenai. „Umiałam cię bracie mój i opuszczam.“

A powiedziawszy gdzie ją miał pochować, że pod soną, która była w smutnym parowie, leżąc pragnie, rzekła: „Czemże ja będę po śmierci?“

„Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie Anhell; pajęczkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

„Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze. Ale grobowiec wszystko kończy....

„Nie zapominaj o mnie, bo ktoś o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ten, któregom doła, zalewając się łzami.

„Jeżeli wiesz gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

„Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją?

„I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała kołyska twoja.

„Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata.... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

„A oto patrzaj, nad łóżem mojem ta szyba lodu słowcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to Anioł złoty stojący nademną?”

„Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łóżę śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

„A teraz podniosę oczy do Królowej Niebieskiej i będę się modliła do Niej.”

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanję do Matki Chrystusowej, i właśnie wymówiwszy „Różo złota!” skoła.

I na znak cudu, upadła żywa róża na białe pierś umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łóża, płakał.

„A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łóża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczerzone lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!

Lecz róża owa cudowna dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrziała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzyząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

W trzy zaś godziny po północy, usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i odwaliwszy bryłę wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego Anioła, który mu był przypominał miłość dla niewiasty, pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloë: „Wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moja jest.“

Odszedłszy więc AnHELLI do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed Aniołem.

A Eloë uklękawszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabedzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc AnHELLI do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach,

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój, i rzekł: „Idźcie na równinę Syberji.“

A patrząc w światło Boże, zrozumieli Aniołowie jaka była wola Pana, i zesłi w krainę mglistą, ukrywszy w sobie światłość.

I przysali na miejsce gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bładych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się Aniołowie, ujrzeni ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieczy.

I wdrygnawszy się rzekli: „ludzie, co czynicie? Ażak to jest ofiara Bogom piekielnym“.

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: „Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a Bogiem, który go przyjmie jest głód.“

„Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządził nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani król.“

„A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszymi, i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności?

„Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyźnie i w ziemi, gdzieśmy się urodzili?

„Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. Przeklęty!”

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew święta! A na to zaś Anieli:

„Nawróćcie się, rzekli, i proście Boga! albowiem pokazemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.”

I roześmieli się głośno ci ludzie, nie wiedząc, że z Aniołami rozmawiali, i rzekli: „Jakż jest znak?”

A wyciągnawszy rękę Anieli pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios, mówiąc: „Oto ten jest.”

I straszliwie przerażenie zdjęło te ludojady na widok rzeczy tak pięknej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich jakoby szklane nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł że byli od Boga, i czekał co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: „Poznałem was, nie kryjcie się, Aniołami jesteście.

„Przychodzicie-li pocieszyć mię? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?”

I rzekli mu ci młodzieńcy: „Oto przyszlśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

„Przyszlśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność niż jacy ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

„Przyszlśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

„A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekami przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

„Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

„Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszlśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.“

I rzekł im odpowiadając Anelli: „Zaprawdę, urągacie mi mówiąc o Piaście i o początku, wtenczas kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem nędzę!

„Czy przyszlście przerazić mię wołając: ciemności nadchodzą! Nacóż wam przerażać tego co cierpi? Nie dosyć że jest przerażenia w grobowcu?

„Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z bóleści po nim, a jam był pogrobowcem.

„Pierwsza lilja na grobie ojca mego jest moją rówieśniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

„Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

„A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem co szeptał.

„Nad kołyską moją był przestрах; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

„Idźcie! i powiedzcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjęta jest, oddaję ją, i zgadzam się, aby umarła.

„Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

„A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskałany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej — to ją dam.“

I przerwali mu anieli mówiąc: „Gubisz się — żądanie człowieka jest sądem na niego.

„A wiesz-li ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

„Możesz jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemności dla przestרחu zgrai?“

I ukorzył się Anhelli mówiąc: „Anieli! przebaczenie mi! uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mię.

„Więc będę cierpiał jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie jak harfa z porwanymi strunami. Do kogóż mówić będę? —

„Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

„A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

„A wzrok mój, jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały pierśią złąknioną.

„Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi idące z latarniami przed panem.

„I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułować którą z płam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

„Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejsza jest. Cóż uczynić?

„O! dajcie mi moc miliona ludzi, a potem mękę miliona tych, którzy są w piekle.

„Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

„Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniósła mię daleko i już nie wrócę, — nigdy!”

A znówu przerwali mu Anieli, mówiąc. „Oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

„Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

„Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiej, że za niewiele godzin umrzesz — przeto bądź spokojniejszy.“

Usłyszawszy to Anhelli, spniął głowę i poddał się woli boskiej. A zaś Aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam Anhelli, zawołał smutnym głosem:
„Więc koniec już!

„Cóż robiłem na ziemi? Byłże to sen?”

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zacierwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanawszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały, jęcząc.

Więc spojrzął na nie Anhelli i zawołał; „Gdzie wy lećcie, o mewy?“

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: „Lecimy do ojczyzny twojej!“

„Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem zapiąć w nocy pieśń nieszczęścia?“

„Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia:“

„Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowca — i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.“

Taki był głos ptaków, i rozkruszyło się serce w Anhellim, i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyższej lecące ptaki świeciły na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tententem.

Śnieg szedł przed nim i przed pierśią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniście litery palily się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: „Tu był żołnierz, niech wstanie!

„Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

„Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

„Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą ówiszczącą i przed wicbrem zemsty ludzkiej.

„Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

„Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

„Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.“

Tak mówił rycerz, a Eloe powstawszy z nad trupa, rzekła: „Rycerzu nie budź go — bo śpi.

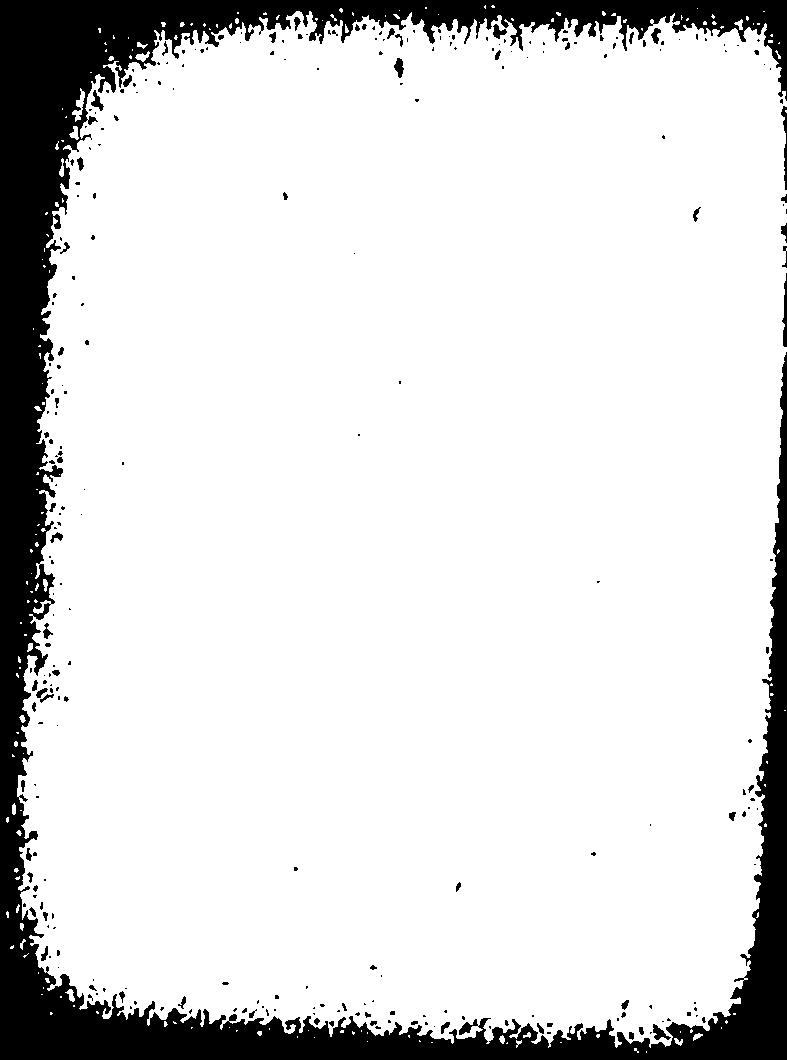
„On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

„Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak dysamentowe źródło, i tak wonne jak lilje wiosenne.

„To ciało do mnie należy, i to serce mojem było. Rycerzu koń twój tętni, leć dalej!“

I poleciał ów rycerz ogniasty z szumem, jakoby burzy wielkiej! A Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.



WACŁAW.

Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie *Marja* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjedną mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemieniać nie jestem zdolny; a dwa poprzedzające poematy¹⁾ przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.



¹⁾ Mowa tu o „Ojcu Zadłumionych” i „W Szwajcyrji”, które wspólnie z Wacławem wydane zostały.

WAGŁAW.

I.

Witaj mi ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
Przez całe stopy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stopy zemstą śpiącą w grobie.
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie;
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy,
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli, że biały Pułaskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni.

Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich, — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusalek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
Czy wiesz, co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowem oku,
Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku?
Czy wiesz, że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednej godzinie rycerskiego życia?
Ze zemócisz syna, ojca, matkę, brata,
W tej błyskawicy, co na szabli lata.
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste,
Niech tylko wprzód nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w siódlach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem w ojczyźnie na straży:
To, chyba w końcu, na takich aniołów
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy;
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole:
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i zdaleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zacieraj w sale,
Bo tam owionie i męztwo ci xetrze

Gorsze niż w grobach zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma co zabija ciało!
Gorsze!.... Choć pałac ten wygląda biało,
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościolki, jeziora błękitne;
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;
Choć róże stoją w jutrzeńki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosa na polach:
Nie wierz zdradzieckiej natury obludzie,
Ten zamek pełny, w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnięcia rodziny Atrydów,
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach,
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było —
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą....
Chciałbym powiedzieć: W Imię Ojca, Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnym kole,
Jak trup wśród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siłą,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;

Gdy wszedł, nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem ;
Ani posłane z poselstwem od matki
Kiedy go w rękę całowały dziatki,
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
Stoją przed ojcem zaleknione ; bladną,
I uciekają nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa,
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury,
Ani wzrok jego dziki i ponury,
Bo na swe dziatki patrząc łyzy miał w oku, —
Lecz przerażenie z boskiego wyroku
Wisało nad nim jako krwawa tęcza ;
A gorzej, wiedział to sam, że odstręcza ;
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa, dziecko, słońce boi.
Więc już oddawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą,
Ujmować duszo, co chcą nienawidzić ;
A nie mógł nimi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział, że tłumną hołotę
Rzucił się sprośny lud na jego złoto,
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynię ;
A wtenczas sercu jego, biczem jędzy
Był brząk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko, jak anioł obrońca,
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,

Jako różyczka przy cedrze więdnije.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafrówemi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma, i wzdycha, i wierzy
W ostatnią pomoc, w moc dziecka pacierzy.
Kiedys zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinę swoją nazwał Eoljonem;
Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy
Wezmą ze złotej kolyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku;
To czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu bladem obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołącznem zwadna.
A w obłąkaniach jak aniołek ładna;
Gdy się uśmiecha, zda się, że do nieba;
Płacze, to myślisz, że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziecięce
Jakieś piokielne mięszają się ręce,

I straszne rzeczy czynią dzioczek mocą,
I dziś, gdy Wacław zasnął, przed północą....
.....

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini;
Z kimże to błądzi po świetle księżycy?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,
Dzieci i męża bezsenne wezgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotno mary
Staje powiewna z lampą w ręku, blada,
Słuchać, co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie, że nieraz jej ręka
Słucha czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą,
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek, nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebca jej skażonej dumie;
To jaki książę, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,

Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem; domem, tronem
Włada; gdzieindziej podobny do węża
Tu zdrajca panem jest żony i męża.
Więc to nie z gachem Dyanna grafini
Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini,
W grocie, co gładkim wyłożona brusem,
Szklanej kaskady zamknięta obrusem;
Szarfa ta wody lecąca z wysoka
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżycy, lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;
Na wszystko miłość waży się matczyzna.
Lecz noc, jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
Lecz ciemność trwożną okryła kobiętę;
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszają ptaszyni,
Gdy woda głośnieją w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiele,
Na głowie wianek stepowego ziela;
Na głowie siwem porośniętej runem
Wiąże się burzan czerwony z pioluncem.
A przed nim kociół, czary i amfory....
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucić, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnemi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiej Frei
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwie pani wargę koralową
Pierwsze i drżące otworzyło słowo,

O! nieba! leci jasnych światel krocie
Z pałacu, ciemną aleją ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu;
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmięsza;
I widzi, jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażącego nieszczęściem człowieka,
To wtenczas дума na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie
Całe rozwiną przeciw wichrom losu.
To wtenczas serce jak z twardego ciosu;
I tem się nawet cholpi boleć sroga,
Ze miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tem się cieszy serce, choćby pękło,
Ze zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słyhać szmery, już wrzawa szalona,
Ze graf otruty, że cierpi, że kona.
Wroszcie okropna wicić do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się, a pani zbladła.
I znów skościli oboje na długo.

Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą.
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżycy ją oblały blade,
Ktoby w jej usta, już nie koralowe,
Ale pobladle, otwarte, surowe,
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha;
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiogła z ludźmi się spotkać i z blaskiem,
I z obwinieniem, co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy,
Ktoby w tej chwili, nie zalane lezką,
Ale pięknnością jasno nadniebieską
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma;
Tenby ją całkiem miał nie potępioną:
Zepsuta była, niewierna — lecz żoną.

X.

Jedno tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżycy się pali.
To właśnie okno grafowskiej komnaty,
Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie.
Otwierać bramy, nim się człek opowie!
Bo to nie djabeł, ani żadna jędza
To kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał, ty księżu Prokopie,
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,

Jak pierska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka.
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przescokczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie,
Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią, że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi;
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści,
Sam mówił ludziom, że otruty kona,
Potem służalców wygnął; nawet żona
Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
A bramę chyba wylamać wypada,
Jak umrze. — U drzwi słuchają... graf gada.
Czasem się jakiś głosik serafina
Niebieską skargą ojcu przypomina;
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia.
Jakiś żalosc szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznom zszedł oczekiwaniu,

Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównymi uczyniła smutnie;
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
Ci, co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

XII.

Oddawna wieści są i poszept głuchy,
Ze z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, pickielne straszdyła,
Mające oczy i włosy i skrzydła!
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylucmi drzwiami na ogród, na kwiaty;
I raz go z wody wydobyła zgraja;
Było to, mówią, w dzień trzeciego maja.
Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią zagnały do wody.
Widziano, jak się topił cały blady;
Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiosniany maja?
A już to od lat wielu takie rzeczy,
Nikt nie przysięgnie i nikt nie zaprzeczy
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
W młodości, słychać, zgrzeszył bardzo krzywo,
Dlatego piorun za nim się pomyka.
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,
Tylko grobowym okraży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestraczem.

A mówiąc o tem, ludzie z twarzą bladą
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą,
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekiel czerwone pochodnie,
A kiedy przyjdą i nad lożem staną,
On się nakrywa chustką krwią zbrzyżaną
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podala w nocy sąd na infanisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pergaminu karty
Leżą przy lożu koło puginatu.
Niech go Bóg broni w rozpaczny od szalu
Biada! o biada gdy przy lożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.
To dość dla serca, co się samo dręczy,
Widm nie potrzeba, sumienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa;
On w nocy wstaje i z otwartem okiem
Po zamku chodzi niesłyszczanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną;
Oczy otwarte, wyiskrzzone mocno;
Lecz jakby co się roilo w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy;
Ani się światła bliskiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękna.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu —
Dunny z piękności, z wysokiego rodu:
Drzewo, co później mogło czekać zimy —
On tak wyglądał jak rycerz Solimy,
Piękny i straszny, kiedy go koń kary

Niósł do kochanki przez burzanów jury,
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał obejrzeć się gdzie na kurhanie,
Myślałbyś wtenczas że to anioł stepu,
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wichur poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony,
Dostała wczesnie anielskiej korony
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomścily się prawa
Śmierci synowej na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? o! Chryste na męce!
Jakie w tym rodzic serca, jakie ręce?
Mówią, że ojciec Graf w turmę zanknięty
Umarł przed sądem, a drudzy, że święty;
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama,
Na takim wielkim rodzic taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem?
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze móżdż odkupić głowę!
Gdy nieraz otów ludzki się zagłębia
W serce orlicy — i za śmierć gołębia,
Niktże tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
Niktże, prócz syna, co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?

Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Ze ojciec własny wroga widzi w synie;
Albo umiera syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony;
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochyłony
Zdrajca narodu przed zbójcą swej żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od sprzedanej głowy wyższa.... krwawa.

XV.

Ale to pewna, że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony.
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny.... nie wierzył.
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie.
Mówią, że myśli o polskiej koronie;
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy
Wielkość wysłedza głos fałszu prorocy.
Jam go opuścił źród tego zamętu
Myśląc: i cóż jest twardość djamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom,
W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo.... burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga ta dusza tajemna
Zamyka w sobie.... przyszłość będzie ciemna!
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła

Mitość go tknęła, boleść nie zabiła;
Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły
A już nikogo kochać.... prócz mogiły.
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca.
Ludu! przetęgnaj tę marę złowrogą!
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli, że anioł ją rzucił obrończy;
Nieszczęściem zaczął.... a piorunem skończy.

XVI.

A dziś.... już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestרחu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota....
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnąc, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona?.... Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama.... Greczyn w Arnauta stroju
Leży na złotem wezglowiu w pokoju;
Jak sultan jaki wydaje rozkazy,
A nie powtarza wydanych dwa razy.
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce.... nieszczęśliwa!

XVII.

„Dyanno!“ Przyszła, stanęła w pokorze —
„Zrzuć teraz, piękna, to ślubne obroże,
Wypogodź teraz czoło lodowate,
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekateę.

A skoro tylko zabłyśnie Fingary,
Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,
I śmierć posyła ludziom z ciemnej grotty.“

„O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
A przecież śmierci męża jam niewinna.
Ona to! ona, ta kobiéta gminna
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
Czarę miłościem zaklęciem urzekła:
Ona.... o! srogi i okropny błędzie!....
I może on mię trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.“
Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie,
Wzedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc jak w świetle twarz się grafa mroczy,
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu (o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi!) promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica,
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś.... okropność! miałżeby Wacława?....
Przy łożu chustka ta leżała krwawa....
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu?.... o nie! ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoljona.

O! nie.... przysięgam, święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny samej przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołuncem,
I zdrajcę takim nakryła całunem:
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w tej kobiecie pękło?
O marmur czoło uderzyło, jękło,
Kosć zadzwoniła gdy czołem upadła
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie.... zadrżał, oczyma nie migał,
Lecz cały zadrżał i cały się wzdrygnął,
I stanął chwilę wo śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał zład o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się.... i poszedł dalej.

XX.

Sen to, czy mara jaka niezbawiona?
Krzyczą po zamku, że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się z czego u Greczyna.
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladeży,
Grafini kona.... mówią.... on nie słyszy.
Złękli się ludzie jego trupiej ciszy,
Trącają.... milczy jak widmo zakłète,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte!
Wzięli, zimnego zanieśli na łożę,

Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej koleci:
Grafini mówią była przy nadziei.
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad dniewprowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,
Tam w błękit czolo chowa się miesiącuno;
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą,
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzopie;
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić,
Cierpieć, miłować, nienawidzić, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce dawno znane
Weszło.... ostatnie.... i nie zaplakane.

XXII.

Graf Waclaw woła. Wybito podwoje,
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Waclaw, przy nim synaczek malenki;
Zbladły Graf woła księdza i trumienki....
Wyszli; pojechał kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.

Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże, co się pod oknami żarzą;
Słońce i kwiaty czy boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko to przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rozpaczę,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?
Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowym powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiej stracie.
I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką.
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi, a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność.
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność,
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez uczucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącemi:
„Księżo! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widział ten komin i tygło?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
Wiem co w tej czarce było — o! anioły!
Ogień miłosny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę

Co? może ojców mych resztki grobowe?
Straszenie pomyśleć, kto napój przyprawił,
Co mię otrulo, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
O czym grobowiec dotąd tylko wiedział.
Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
Co zdrając prochem antenatów struli;
Tym czystym prochem zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.
A jakąż to myśl mieli ci mściciele
Uśpione czucia budzić w mojem ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętą,
Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.
Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?
Jaka rozogni się w krwi mojej zgnilość?
Co wyjdzie na jaw? — zaprawdę nie miłość!
Ale zgryzotę zbudzili i pychę:
Przekląci! serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojno! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wścicklą:
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło:
Wszystko co ludzi przerażało trwoga,
Ale nie miłość — co kochać? i kogo?
Ach! gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
Ta najukochańsza, najśladaza, umarła
Wstała, to serce by moje rozdarła;
Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł, nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
Niż starość ludzka pełna krwi i winy,

Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
Otwiera niebo bez Boga, bez końca.

XXIV.

„Księżę, są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci,
Nie jestem takim jak ludzko niewinni;
Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,
Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia.... Tam małżonka w grobie,
Tam ojca sądzą mojego, o! zgroza!
Na śmierć haniebną, na karę powroza.
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
Wszystko to jedna godzina obali!
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiajbym wolał. o! Boże! przed gminem
Powieszonego się nazywać synem;
Lecz wtenczas! z hańbą grożone zamęcieniem,
Mój ojciec, mój ród, moje imię!... Szczęściem
Mój ojciec umarł. tak jak był powinien...
Czemuś ty księżę zadrżał? jam nie winien...
Że mię widziano tej nocy przy turmie
W księżycowego wichru dzikim szturmie?
Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz.... księżę! rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójde do trumny,
Bo mówię prawdę, lecz przysiądz — za dumny.

XXV.

„Jestem niewinien, ale nie wiem czemu
W pamięci jestem podobny winnemu.

Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niej chwyciłem lakomą
Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzęgło,
Co mi o śmierci tej pierwszej przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć i okrutni
Lubią posępnych słów oglądać skutek:
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w tej krainie cichej, wewnętrznej burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmiennność czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.
Wytlómaczyli to ludzie inaczej,
Ten marmur bólu, tę ciszę rozpaczy.

XXVI.

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,
To nawet wiara nie pochyli głowy,
A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda!
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tem sercu. Na co mnie przywiodła,
Ty wiesz; lecz duszy nie sądzi, bo nie podła.
Jam się nie rzucił jak kół do zawodu.

Ja sam stanąłem przeciwko narodowi,
A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

XXVII.

„Nie uniewinniam ja siebie, o! księżu!
Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane;
Aż sumieniowi uczynilem zadość:
Świadczą te oczy, to czoło, ta bladeść.
O! trzeba było siadać nad mem łóżem,
Gdy we śnie serce mi coś pruło nożem;
Gdy się budziłem w noc bezksiężycową
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową,
Albo widm okiem do łóża przybity,
Zimny, i łzami, i potem okryty,
Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie.
Mówią, że chodził po pałacu we śnie,
Nie wiem; lecz nieraz gdy sen ciężki spadał.
Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,
Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał, i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą.
Nie wiem: bo o tem mi się wszystkim śniło.
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
Na głowie.... Gdzie jest moja druga żona?

XXVIII.

„Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety, ojczu.
Od innych ciosy okropne, zabójcze,

Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny,
Com cierpiał w sobie i com czuł, nie czuła,
Co w sercu mojem zmartwychwstało, struła,
Aż przyszło wreszcie, że dziś jedza blada...
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To na jej sercu, to je kiedyś zrani.
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,
Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru karary łazienka,
To dla niej.... Patrzę, i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo....
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
I z zamkiem i z nią i z wszystkim utonąć;
Zostawić gruzy leżące na pował,
Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie tu błędząc, nie gadał:
Że tutaj zdrajca chodził, dumal, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj lzy ronił,
A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.

XXIX.

„Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą....
Jako tórawie, co łańcuch prowadzą,
Świećniejsze serca wylatują przodem;

Umra — ich duchy lecą przed narodem.
Ich wrzask, ich imię, ich lament, to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umra wygnani — to naród wysła
Posłów zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
I wieczna cisza w grobie nieplakany:
O! ja zazdrozczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca dałem,
O czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
Czemu! Ach! wtenczas, księżo, nie dla sławy,
Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć — na Boga żywego,
Ja bym się teraz nie miał chełpić z czego....
Szyki się były pod Maciejowicą,
Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą;
Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem,
Wreszcie i harmat zakryłem się błyskiem;
I smutny w sobie wpadłem we krwi morze.
Słyszaleś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
O! śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca.
Lont nie chciał harmat przedemną zapalać!
Kule się bały we krwi mojej zwałać,
Lecz omijały świszcząc koło ucha;
Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
Łos miał okropną zbawić mię bezczelność,

Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tem wola Boska, nie odgadnę,
I nie chcę myśleć; lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tem polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, naksztatt siedzącego trupa,
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
Stałem: wtem jeden z niedomarłych, blisko,
Wymówił moje przekłete nazwisko:
Schylam się z konia — patrzę, krwią się broczy.
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy....
Dobylem miecza, o! nie blednij, księże,
Choć syknął na mnie ten — gorzej niż węże,
Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.

XXX.

„Księżę.... gdzie teraz Kościuszko? w mogile!....
Kiedy żył, jeszcze były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy białych lawinach;
Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach;
Smutne tam duchy błędzą w księżyc świetny,
Wolając: ojczyste! — choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, księże! serce mi rozszerza
Lecz pełne, burzę zapowiada ciemną....
Patrzaj co stało się z nim — a co ze mną!....

XXXI.

„Obróć tu, księżo, two łzawo oblicze.
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
Słuchaj, po śmierci kraju, już zhańbiony,
Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
O! co ja czułem gdy lip poczet stary
Zaczął nademną swoje smutno gwary,
Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny....
Ja co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojcze! Ja, co w tej krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;
Wchodzę.... trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, błądy, przejść nie mogłem progu.
Przeszedłem wreszcie, — w komnatach nikogo....
Ściany się zdały napelnione trwogą,
Ze mię tam widzą samego w ciemności;
Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
I coś szeptało: nie płacz! z każdej cegły;
A mnie ogromne łzy po twarzy biegły.
Na cóż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam, o! bogdajbym był sam, o! zhańbienie!
Starzec wychodzi w księżycy promienie,
Poznaję, mój teść.... przy niepewnym świetle
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie:
Twarz jego dzika, okropna, surowa;
Rozwija, patrzę — ojca mego głowa!
Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał,
Wyjął z mogiły trupa i ściać kazał.

XXXII.

„To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,
To tak anielstwo wypędzono z duszy,

To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;
Aż się od hańby obroniłem, — trwoga....
Lecz nie pomogło.... bo jak od zwierciadła
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła,
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.
Więc niech się skończy ten los, co mi ciąży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży
Wszystko straszliwe, co się w serce cisnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanej duszy
Dozna właściwych bólów i katuszy:
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jednym nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc!... Księżo pociesz ty mię przecie,
Czy ty lży tylko masz dla mnie pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,
Co tu widziałem pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnej zrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane,
Z ognia oddechem, z lutniowemi gwary,
Pocałunkami tu gonily mary.
Widziałem moje sny młodości złote,
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczom:
Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczem,
A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szalem:
Myślałem, biedny!... czego się on męczy?
Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,
Umarł, nim zgasiła, nie doczekał nocy,

Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
Długo-echowe i melancholiczne
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila....
Myślałem, że mu skrzydełka motyla
Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim, i w niebo uleci:
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem, że już odemnie ucieka....
Wrócił.... przy nogach mi go ból pokonał,
W godzinie jednej kochał, cierpiał, konał.
O! cud okropny! co — iskrę słoneczną —
W serduszkku dziecka zamknął miłość wieczną.
To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
To go zabiło.... a ja cierpię jeszcze!
I jeszcze Kocham i widzę to jawniej
W sercu, przed śmiercią, że Kocham jak dawniej.
Tu! z krzykiem, księżo! tu stawaj u czoła!
Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła,
Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy....
Przyszła.... tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy.... o! to męki moje
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.
A jednak twarze to może jedyne,
Co odpuszczają mi hańbę i winę,
Co widząc dolą znękanego twardą,
Jak inni ludzie nie patrzą ze wzgardą.
Marjo! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,
Dobrze, żeś mi się duchem pokazała
Taka posępna i cicha i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.
Marjo! czekaj zachodu miesiąca,

Pójdziemy razem.... gdzie?... ja nie wiem. — Księżo,
Wkrótce me ciało już ziemię załężę,
Na długie słowa już mi braknie czasu;
Każ uszyć nową jej suknię z atlasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą.... kobiety....
Pamiętaj.... trumna to od wejścia czwarta....
Patrz, jak ta szata już na niej podarta....
Czy dobrze?... zrób to, nim promienie świtu....
Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

XXXIII.

„Nie mów nikomu o mnie, sługo Boży,
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę.... choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
Albo.... Dla czegoś drgnął przed tym rozkazem?
Powieś tę chustę przed Panny obrazem,
Musi być święta ta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
To mój ostatni jest dar dla kościoła.
I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczce,
Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie się moje.... przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzej jak to, co już było.
W dumie mej jeszcze przynajmniej znachodzę,
Że mię przed śmiercią broni uledek trwodze.
Gdy przy tem łożu nic, tylko rozpaczce,
Gdyby mniej dumny, płakałbym.... nie płacząc;
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,

Z czemby się żadne łzy nie mogły zgodzić;
Wściekłość na siebie, żar co się nie studzi,
A nawet, księżo! jakiś żal do ludzi;
Jak gdyby oni byli winni zdawna,
Ze się krew we mnie zaczęła sławna.
Lecz nie.... i myśl ta nie może pocieszyć.
To wszystko.... Księżo, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesolą,
Czy się odważysz łać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował i nic nie naprawił,
Kraj jeszcze we krwi.... a jam go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć,
Tysiące walczyć i tysiące ginąć;
Po mnie nieszczęścia, więzienia i wojny....
I mógłbym ja w grobie spać spokojny?
O nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie....
A jednak.... starcze ty! módl się ty za mnie!"

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O! domysłów plonność
Na lice wyszła trucizny zieloność,
Ale krew jego już dawno zepsuta:
Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało zwiędle od katuszy,
I nieraz lice trupowi odmienia,
Połanią, poskrzą, zsinia, pozielenia;
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci.
Niechaj spokojność w tłum zmieszany wróci.

Lecz nie, ten zamek wrę skargą i gwarem,
Domysły rosną z niepokojem, swarem:
Mówią, że pani chciała ukryć winę,
Mówią, że miała otrucia przyczynę,
Jaką? nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałaby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie — po cóż przy kołysce mary?

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą zmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wichur wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadechodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między nimi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: „Zdrajco! otóż tobie
Trucizna w przodków wypróchniałym grobie.
Idź trumno czarna z ohydnyim człowiekiem,
Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.

Dzieciątko moje ty i moja żmijo,
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją.
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe,
Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiesz w piekle, ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
A wieczność taka, jak śmierci godzina.“
Tak potęgawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasných światel krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
Mówią, że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoljona,
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tem z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie
Całego w gwiazdach, w promienistym złocie;
Duchy powietrzne za tęczęwą szarfę
Przyniosły jemu zapaloną harfę;
Usiadł.... do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu.
Co cicho konać i cierpieć nie umie.
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,

Wszystkie się razem łabędzie podniosły
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiaździste, z harfą, ze śpiewakiem,
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy
Dosluchać harfy tej, i tej dzieciny.
Nie wiem czy wierzyć, lecz cudy są wszędzie;
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie
I szafirowych wód nie kryją łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eolionem,
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

1836.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.